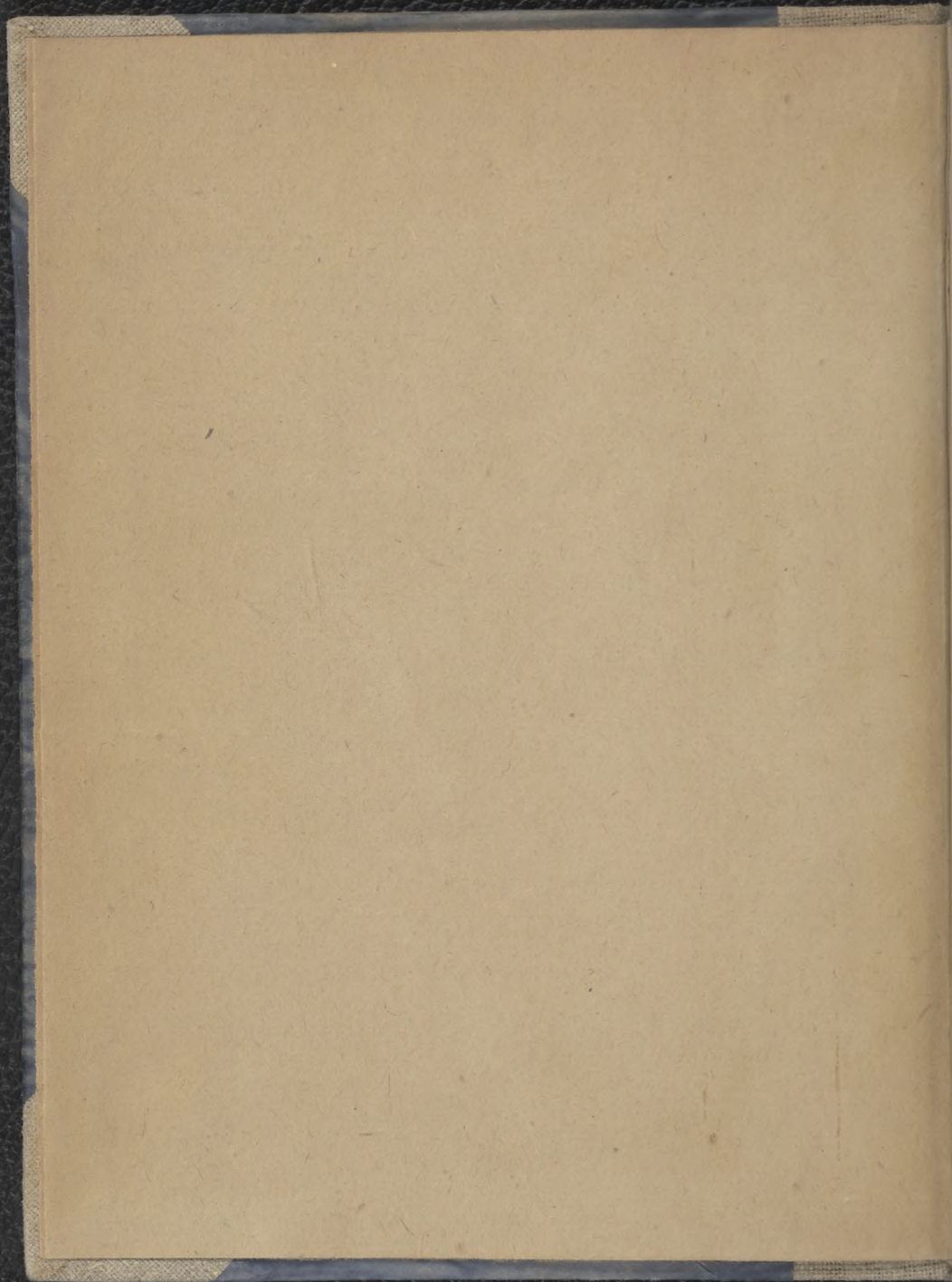


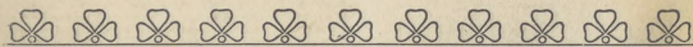


I 2.007.528



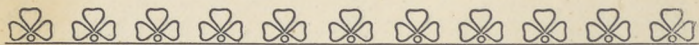
PROZA IRONICZNA

60
18



26751

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



JAN LEMAŃSKI

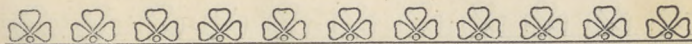


PROZA IRONICZNA

BAJKI ❁ BAJECZKI ❁
PRZYPOWIASTKI DLA
DZIATEK ❁ SIELANKI



WARSZAWA — NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA — 1904



26751

Biblioteka Narodowa
Warszawa

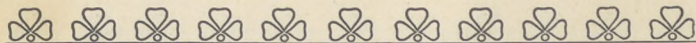


30001012389450

Дозволено Цензурою
Варшава, 1 Февр. 1904 г.

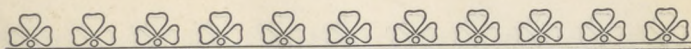


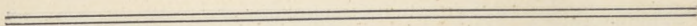
T 2.004.528



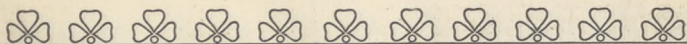
Z PAMIĘTKA

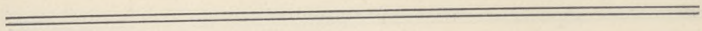
BAJKI



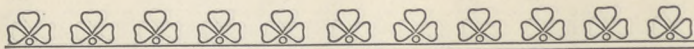


Z PAMIĘTNIKA MUCHY



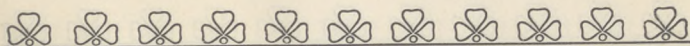


5. PAMIĘTNIKI WUCHY



I.

Urodziłam się Muchą, co entomologicznie zbyt wielkiej zasługi nie stanowi, pod względem prawnym nie zabezpiecza i tę przedstawia wadliwość, że okres trwania jednostki w stosunku do niepożytości gatunku jest śmiesznie mały. Ale cóż robić? Koniec końców, urodzenie — nie nasza to wina. Z pewnością wolałabym przyjść na świat, jako gruboskórzec: jakbym stąpnęła, to ażby jętkło... Skądinąd przecież i moje życie ma swoje strony dodatnie, ma chwile takiej dziwnej wdzięczności nie wiadomo komu i za co, takiego szumnego *joie de vivre*'u, że aż go się *vivre*'em przypłaca. Tak... Mucha nie doznaje trwogi, bo nie zna niebezpieczeństw. Ach, jak to przyjemnie lecieć na słodycz, na rozkosz i blask — lecieć ślepo, bez żadnego musu pamiętania, że to szkodzi, tamto rani, owo zabija... A że się ginie, no to i cóż? Użyło się, 'co można w krótkim żywocie! Oszczędzać się, abnegować, cnoty w sobie szczepić, czy ja wiem?... I co z tego, że ja nie zjem, przypuścmy, tego okrucha



cukru? To zje go francuz, prusak, albo karaluch! Niema głupich...

Ale nie uprzedzajmy wypadków. Ojciec mój nieboszyk bzykał: każda zagadka dopóty zajmuje, dopóki jej nie odgadniemy. Mądry to był owad, rzutki, ruchliwy, jurny... Szkoda tylko, że zginął przedwczesną śmiercią, ugotowany w rosole. Padł ofiarą swojej teorii rzutkości. Muchy — prawil — nic nie wiedzą, zatem wszystko powinny badać, na wszystko się rzucać. Mówiąc to, rzucił się do garnka z rosółem i przepadł. Cześć mu!

Pamiętam ten dzień żalu i rozpacz. Biedna matka była niepokieszona. Dopiero nazajutrz zakochała się w Kantarydze, zamieszkującej krzak pod oknem kuchni, widowni tragicznego zgonu mego rodzica. Kantaryda był przyjacielem mego ojca, umiał tak wzruszająco wybrzękiwać szczegóły z jego życia — to mamę zajmowało. Przytem miał takie śliczne długie wasy i tak zabawnie niemi poruszał. Oprzeć się im było niepodobna! Ależ bo i po co się opierać? Jeżeli użyłam tego wyrażenia, to odruchowo, przez *lapsus calami* i pod wpływem obłudnej etyki ludzkiej, która zaleca ten opór, gdyż oddanie się potem większą sprawia uciechę.

Mama z początku usprawiedliwiała się niby przede mną, ale ja zamknęłam jej ryjek pocałunkiem i szepnęłam:



— Kochana mamó, kto wszystko rozumie, ten wszystko wybacza.

To odrazu uspokoilo jej niezrozumiale dla mnie skrupuły. Musnęła mié czule, dodając:

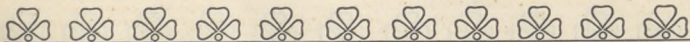
— Oj, ty pieszczotko! Masz rozumku tyle, że i dla sioniaby wystarczyło.

— To dziedziczne, kochana mamusiu — odparłam z przymileniem.

— Tak, dziedziczność... Tłómaczył mi coś o tem pewien młody, do szkół uczęszczający Karaluch, ale co? — zupełnie nie pamiętam, jak cię kocham.

Rzekłszy to, mama stłumiła ziewnięcie, wygładziła nóżkami skrzydełka i pofrunęła do Kantarydy. Westchnęłam. Już to wogóle nasze mamy nie odznaczają się wykształceniem, i my, córki, często musimy się za nie rumienié. Z przykrością to wyznaję. Za to na punkcie *savoir vivre*'u są niezrównane. Dała tego dowód i moja mama w chwili, o której właśnie chcę mówić.

Jest to chwila, która nas, młode muszátka, przyprawia o falowanie krwi gorętsze, chwila, o której mamy nasze gawędzą tajemniczym półbrzękiem i porozumiewają się znacząco-figlarnemi spojrzzeniami. Te półbrzęki, te spojrzzenia zagadkowe i półuśmiechy, pełne tajemniczej ważności, stanowią dla nas niewidzialną zasłonę, która działa na wyobraźnię nader pobudzająco, drażni



i niepokoi nerwy, wprawiając je w stan napięcia, jaki poprzedza zaść mający wielki wypadek. Rwie się wtedy myśl, sny gorączkowe mącą spokój, łązi się po sufitach, siada się na liściach wysokich drzew... Ach, tam, tam przeniknąć za tę zasłonę, to musi być coś w istocie niesłychanego, jedyne!... To też gdy nareszcie zasłona owa spadnie nam z oczu, doznajemy rozczarowania...

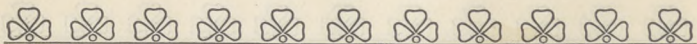
Ach, tak, niestety! — roz-cza-ro-wa-nia! Więc to jest wszystko? — pyta w nas jękiem jakaś rozdarta struna. To niepodobna — szepcze po pewnym czasie jakiś głos otuchy; — trzeba szukać. I szukamy, cóż zrobić?

Ale to są refleksye późniejsze. Wówczas wolną byłam od nich, drżałam i gorączkowałam, jak każda zwykła dziewicza mucha.

W owym czasie mama zmieniła ze mną obejście. Stała się poufalszą, więcej przyjaciółką... Uczyła mnie rzeczy, których znaczenia i celu dobrze nie rozumiałam... Na moje pytanie: po co to wszystko? — uśmiechała się jakoś dziwnie, spoglądając na mnie płonącym paciorkiem swego okrągłego, wypukłego oczka.

— Na to oni biorą się — dodawała bez dalszych objaśnień.

W tym także czasie odbywałyśmy z mamą *corso*,

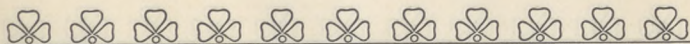


łążąc po sufitach, lub dla odmiany, pośród kwiatów zastawy stołowej. Mama zapoznawała mnie z wybitniejszymi osobistościami naszej arystokracji.

— O, patrz, to jest hrabia Bzyk, zawołany gracz w chowanego! Nie daje ludziom spać, wciąż się za nim upędzają, ale nie mogą złapać, i zamiast niego mszczą się na kim innym. Tam oto młody baron Zyzyzyd, bogacz, ma brzuch świecący ze złota. Tam na półmisku siedzi kilka Much z naszego rodu, szlacheckich: buńczuczne to, hałaśliwe, śmiałe, bez przytomności, i umieją uciekać, aż miło; do samiczek skorzy, ale trzeba ich trzymać zdaleka, bo zbyt rubaszni. A tam znów na ścianie, o! — poruszył się — cienki, subtelny Komar: w pokoju gości rzadko, bo jest tenorem, i to dla niego zamałe pole; częściej bawi u wód, gdyż lubi publiczność; strzeż się go, bo to bałamut i krwiożłot.

— Ach! — zawołałam i najuważniej zaczęłam się Komarowi przyglądać. Siedział teraz już na szybie okiennej i zdawał się, zachwycony światem, marzyć. Ryjek miał długi i cienki... Czasem od szyby odlatywał i, kręcąc się po pokoju, cicho i subtelnie brzęczał: »Chcęęę krwiii! chceęę krwiii!« Pragnienie to było tak silne, tak namiętnie zaakcentowane, że chciałoby się je zaspokoić zaraz, natychmiast, ale...

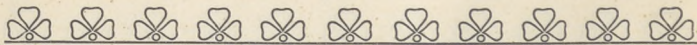
— Tam znów — patrz przecież! — trąciła mnie



mama — tam w spluwacze siedzi Sossossos, wielki smakosz, zawsze umie sobie coś zrzadka soczystego wynaleźć, i tak to je smacznie iż aż trzeba ślinę połykać... Tamten, ot, skrzydlak o pięciu nóżkach, to hrabia Szum-Szum, śmiałek i awanturnik: włazi psu w nozdrza bez żadnej broni, o zakład, i zawsze pies go wykichnie. Ten zaś gruby, czarny owad, to Feinkarmel, pająk; chociaż, biorąc ściśle, nie należy do naszego społeczeństwa, ale bardzo lubi Muchy; utrzymują złe języki, że Feinkarmel handluje po cichu skórkami much, które zabija, ale to plotki. Wreszcie to do nas nie należy; ma spryt i zabiegliwość — zalety dobre na męża... O tu, na prawo, patrz, ten Much, co tak wysoko podnosi ryjek, to Cukroliz, nabab, którego majątek obliczają na dwie głowy cukru. W herbie ma wizerunek urny z syropem i godło: »Zwycięzysz słodyczą«. Jest to jegomość już nie młody wprawdzie, ale dobrze się trzyma, zakonserwowany wybornie, i niejedna Muszka, gdyby miała rozum, mogłaby mieć z niego pociechę.

Na uprzejme skinienie mej matki, pan ów podfrunął ku nam.

— *Monsieur Siucroliz*... moja córka — zabręczała mama, przedstawiając. Pan Cukroliz obrzucił mnie od góry do dołu okiem znawcy, wyciągnął ryjek, jakby mnie chciał wyssać i strzepnął skrzydełkami. Widać



podobałam mu się, co mama pośpieszyła zratyfikować wyrazem dumnego zadowolenia i niby ulgi.

Pan Cukroliz uśmiechnął się do mnie z przyjemnym, chociaż trochę zmiękłym grymasem i rzekł:

— Słyszałem od mamy wiele dobrego o pani, ale rzeczywistość przewyższa, jak widzę, najpochlebniejsze opisy.

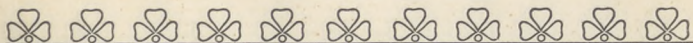
— Panie... — odpowiedziałam, udając mocne zawstydzenie.

Tu mama odrunęła na stronę pod pozorem napięcia się jakiegoś soku, który właśnie chowano, i zostawiła nas samych.

— Pani jesteś tak miłutka — ciągnął dalej Cukroliz, biorąc mnie za skrzydełko — żeś warta najlepszego losu. Żadna gorycz (objął mnie przednimi nóżkami) nie powinna obrazić twego ryjka. Mam używalność na dwóch głowach cukru wyrafinowanego. (Pocałował mnie)... Kocham cię! Czy chcesz być moją towarzyszką życia?

— Ja nie wiem... pomów pan z mamą — wyszeptalam, udając coś. Co? — sama nie wiem.

Trudno mi powstrzymać się, żeby nie napiętnować w tym miejscu tego jakiegoś musu udawania i ciągłej obłudy we wzajemnych stosunkach samiczki i samca. On ma onę za głupie dziecko, które stara się ująć



komplementem lub zabawką, nadto poczuwa się do obowiązku ciągłej opieki nad słabem niby stworzeniem, podległym samym kaprysom. My zaś, samiczki, choć jesteśmy sto razy mędrsze — nie mówię uczeńsze — od najmędrszego samca, musimy udawać naiwność i niewiedzę! Oburza mnie to, a uwolnić się z więzów tego społecznego przymusu, jak z jakiej niewoli zadawnionej — tak trudno, niepodobna! Boć jakże tu powiedzieć Cukrolizowi: »Panie, wiem, co warta twoja miłość, stary rozpustniku, ale pójdę za ciebie dla twoich dwóch głów cukru, do których niewątpliwie nazlatują się roje młodzi, a co dalej, wiesz, boś sam był młody — i młodość swoją przeżyłeś!... *Tu l'as passée, ta jeunesse!*«

Tak... przekonałam się o tem »passowaniu« wkrótce po ślubie, który za pośrednictwem mamy rychło się odbył.

Podróżowaliśmy po ogrodzie, po kwiatkach i kupach gnoju, po oborach i śmietnikach wspólnych, po różnych innych miejscach, mniej lub więcej woniejących... Najbardziej mnie zachwycały gonitwy zbiorowe w smugach słońca. Kółko much nieznanych, ale rzeźwych i młodych, wiło się w słońcu, jak ziarna kaszy w ukropie. Każdy z młodych Muchów miał prawo, a nawet obowiązek kręcenia się ze mną do upadłego, krócej lub dłużej, zależnie od temperamentu. Mój mąż wściekał się i zie-



lenia z zazdrości i nawet zapomniał o swoim godle herbowem, zalecającem słodycz. Co chwila robił mi przykre sceny. Wtedy zazwyczaj pytałam spokojnie:

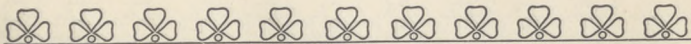
— Czemu bronisz mi kochać się z innymi? Przecie sam jeden nie zdołasz zużyć tego, co ci dać mogę? Powiedz mi z łaski swojej, no, bądź łaskaw mi powiedzieć, co ja mam począć z resztą? Mam sięść razem z tobą i płakać?... Niema głupich.

Mąż na to mieszał się i nie znajdował odpowiedzi. Niekiedy tylko, siląc się na złośliwość, mawiał:

— Zdaje mi się, że mam za żonę głowę kapusty, która wówczas dopiero czuć się może uszczęśliwioną, kiedy już wszystkie zwierzęta pooskubywały z niej listki, że tylko głąb został. Proszę cię, bądź mniej uczynna od tej kapusty, no, moja droga, jeżeli nie ze względu na mnie, to z uwagi na potomstwo...

Mogłabym była wprawdzie tych scen uniknąć, gdyby mi się chciało stosować w postępowaniu z mężem rady, udzielane mi przez mamę. Mama zaś mówiła tak:

— Jeżeliś oddana całkiem mężowi, wtedy przyjaciele znajdują, żeś idyotka; jeżeliś nie skąpa na uprzejmości względem przyjaciół, wywołujesz zazdrość męża. Jak im więc dogodzić? Oto, gdyś z mężem i przyjaciółmi razem, bądź chłodna i twarda, jak lustro odbijaj

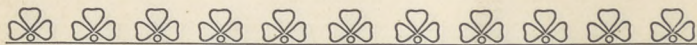


i przypominaj im ich zalety, ale wszystkim zarówno, aby każdy mógł w tobie swój własny wdzięk poznać; gdyś z mężem sam na sam, niech on tylko istnieje dla ciebie; jeżeliś z przyjaciółmi wszystkimi, udawaj, że męża nie masz; jeżeliś z przyjacielem jednym, wybranym, możesz już nic nie udawać. Łatwo, tylko trzeba cokolwiek *savoir vivre*'u.

Cóż z tego? Rady radami, a natura naturą. Mnie sprawiało niewymowną przyjemność właśnie dręczyć męża i mścić się za przymus udawania przedślubnego. Po co się żenił? Wogóle, żenienie się powinno być wzbronione. Młodym żenić się nie trzeba, a z małżonków starych rodzą się tylko muchy rachityczne, niezdolne do używania życia w pełni i mające najsluszniejsze prawo przeklinać rodziców.

II.

Po powrocie z podróży zajęłam się gorliwie przypominaniem sobie i odszukiwaniem wszystkich męskich much, które znałam była w dzieciństwie i później. Wszyscy byli jeszcze nieżonaci, a więc chętni do stosunków przyjacielskich. Miałam z tego tytułu wiele chwil bardzo ciekawych i miłych. Tak przyjemnie czytać było w oczach każdego:

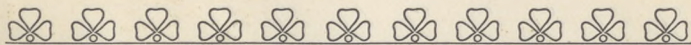


— Jakto? Więc to ta sama muszka, którą całowałem, jako podlotka, i z którą bawiliśmy się w męża i żonę, jako dzieci?... a teraz mi tego nie wolno? Ciekawym, jakby to smakowało teraz, kiedy ona już wie, co w traweczce piszczy?...

I zaczynało się słodkie próbowanie, słodsze niż całe dwie głowy cukru mego męża!... Bo pomyśleć tylko! On znajdował rozkosz w odświeżaniu wrażeń młodszych i w porównywaniu ich z obecnymi, dalej — w rozroście poczucia samczej dumy, że całuje mężatkę, nareszcie — w przeświadczeniu, że spełnia rzecz zabronioną, czyli powiększa rozmiary swej osobowości.

Co do mnie, przepadałam za tą grą w chowanego, bawiła mnie jak gdyby młodość moja po raz drugi przeżywana, bawiło to, że on widział we mnie i to co dawniej, i jeszcze coś innego niż dawniej, że rozpałał się do tej inszości, a wpadał w sieć tych samych pieszczot, co dawniej. Tu go chwytalam i nazywałam kochanym głuptasem... Miałam teraz najzupełniejszą swobodę, ponieważ małżonek dał mi spokój ze swoją zazdrością i pocieszał się w objęciach mszyc, ciem i much gnojowych. Wprawdzie z dwóch głów jego cukrowych został mu tylko półgłówek, ale przecie czemś trzeba swoje szczęście okupić.

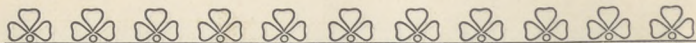
Ale jakiegokolwiek ofiary dla szczęścia ponieśliśmy,



zawsze jest ono tylko przelotne. A i moje też niedługo trwało. Po pewnym czasie, wszyscy moi dawni znajomi wyjałowili. Znałona tedy do nowych poszukiwań, rzuciłam się w szeroki wir życia publicznego i wówczas poznałam pewną osobistość, której bodajbym była nigdy nie oglądała na oczy!... Chociaż, co tam! nie będę jej złorzeczyła: tak czy owak, szczęście, jak powiedziałam, zawsze skończyć się musi, gdyż inaczej byłby to stan normalny i o szczęściu równieżby nie mogło być mowy. *Passons...*

Otóż, osobistością tą, dla mnie fatalną, był właśnie ów Komar, przed którym niegdyś ostrzegała mnie mama, i który teraz mnie nęcił, ponieważ zwykle, w wieku późniejszym, radzi jesteśmy mierzyć się z niebezpieczeństwami, którymi nas w dzieciństwie straszono. Zmierzyłam się i ja...

Komar, okrzyczany śpiewak, mistrz »bzychiki«, sława — był w gruncie ot tak sobie. Z początku nawet zrażał mnie tem, że pełen był zawsze krwi bydlęcej, ale z czasem, po dłuższem ze mną obcowaniu, schudł zupełnie i śpiewał bardzo cienko. Miłość swoją dla mnie nazywał »wampiryzmem« i zapewniał, że ssie moją duszę, ponieważ jest mistrzem bzychiki. Śmieszny!... Tak samo mógł ssać powietrze. W lot przejęłam jego bzdurną szkołę i odbrzękiwałam mu jego własnymi nu-

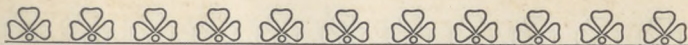


tami, trzymając się w tonie jego bzychiki, ot tak, dla sportu, a jemu zdawało się, że mnie wypił i na swój ukształtował sposób.

Często wywabiał mię w błotne zarośla i tam, polatując w najmilszym dlań sąsiedztwie pasących się krów, obcowaliśmy. Na zielonym liściu olszowym, który w blasku południa nabierał dziwnej, wzruszającej przezroczyistości, do późnaśmy siadywali, huštani lekkim wiatkiem; liść kołysał się, niekiedy zadrgał i chciał nas niby z siebie zrzucić, aleśmy siedzieli.

Życie jest piękne! — myślałam i takbym chciała była kogoś bardzo, bardzo kochać!... Komar, anemicznie żółty i cienki i cokolwiek potnawy z gorąca, w dzień, jako tenor, doznawał senności; dopiero nad wieczorem, opiwszy się krwi krowiej, nabierał ożywienia, i po raz niewiadomo już który wybykiwał mi swoją teorię bzychiczną.

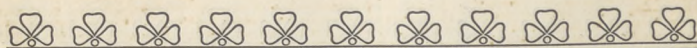
Wszechświat — podług niej — dzieli się na ciała stałe i płyny. Pierwsze — to zło bezwzględne; w drugich znajduje się dobro, mianowicie: dobro ogólne, czyli woda, i dobro osobnicze — krew. Krew jest »eleuksirem«. Sztuka znajdowania osobowości, w krew czyli eleuksir zasobnych, nazywa się bzychiką, a umiejętność wypijania krwi czyli eleuksiru, zwie się »wampiryzmem«. Obiedwie te sztuki posiada w zupełności tylko on,



Komar. Ponieważ zaś on tylko żywi się eleuksirem, czyli krwią, przeto tylko on jest wieczny, i ja, Mucha, żywiąca się samemi odpadkami i nieczystościami, a w najlepszym razie krwią martwą, skrzepłą i nie bezpośrednio z drgających żył wypitą, lecz przepostaciowaną na *blutwurst* — ja, Mucha, dowiodę słabego rozumu, jeżeli tej jego wiecznościowości nie uznam...

Uznawałam już tyle razy to samo, że uznanie moje zaczęło dochodzić we mnie do obrzydliwości. Tak, zbrzydł mi ten ograniczenie ślepy zarozumialec, który przeczył tak widocznemu dla mnie istnieniu dobra w ciałach stałych, chociażby tylko w cukrze i jego surogatach. Zraził mię, zniechęcił i tem, że wołał noc niż dzień do latania. Nawet w jego śpiewie, teraz widziałam tylko głupią, zbyteczną i jemu samemu szkodliwą fanfaronadę, szkodliwą, bo zdaleka już o nim dawała znać i ostrzegała wszystkich krew swoją szanujących.

Jakże często, kiedy pijawka ta, nie domyślając się odmiany mych uczuć, w najlepsze sobie bzykała, we mnie tajony kipiał bunt i protest. Wielka mi filozofia — myślałam — krew wysysać i w dodatku zawsze być takim chudym, jak... jak komar na wiosnę! Toć i w naszym rodzaju, musim, żyją osobniki tak mocne w krwi piciu, że ukąszenie ich zabija wołu, albo osłepia i przy-

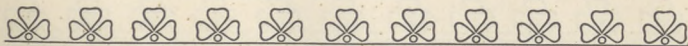


prowadza do szaleństwa! Ale bodaj już lepiej żywić się okruchami, niż być jakąś zarazą i żeby nas kęto! Prawda, że są źli ludzie, którzy okruchów żałując, prześladują nas, tępią, no, ale to samoluby i truciele i nie na nich świat się kończy. Zresztą nie przeczę: chmara much bywa namolna i nieznośna, jak każdy tłum, ale dla jednej osobnej muszki zawsze się znajdzie coś do podtrzymania życia, bez robienia przykrości innym, a zwłaszcza bez krwi żłopania!

I teraz prawdziwą męczarnią było dla mnie słuchać jego wywodów bzychicznych, i nie wiem, co mnie wstrzymywało, żeby nie zabrać się i nie odlecieć. Niezawodnie trzymała mię ta siła magnetyczna, jaką wywiera na nas coś bardzo odrażającego.

— Bzy-y-chika — mówił, rozwlekając wyrazy, bo miał ten brzydki zwyczaj, którego nabył przy śpiewaniu — bzy-y-chika polega na tem, że się na krowiej o-sobo-wo-ości siada, bzy... bzykaniem się ją rozm...m...marza i rykiem póty się mmm-a-aca, aż się krew znajdzie, a potem się wpi-i-ija i śśś-sie sss-sie.

To także gadanie! Nazywa naprzykład ciała stałe złem bezwzględem. A więc i krowa, której do płynów zaliczyć nie można, jest też złem bezwzględem. Jeżeli tak, to i krew, z krowy pochodząca, czyli eleuksir, jest

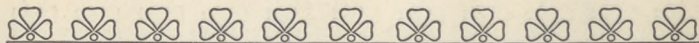


czemś o bezwzględnie złem pochodzeniu, i Komar, tym eleuksirem żyjący, jest też zły bezwzględnie.

Tego przeświadczenia nabrawszy, chciałam się bądź co bądź ze stosunków z Komarem wycofać, ale niestety!... Nic się z życia nie da wykreślić i za niebyłe uznać: wszystko oddziaływa, a gdzie się to oddziaływanie kończy — niewiadomo, i przerwać go nie możemy, bo nie wiemy, gdzie i jak się z naszym splątało życiem!...

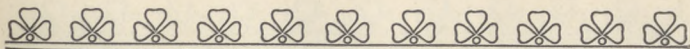
Pewnego razu, kiedy w towarzystwie Komara siedziałam na złem bezwzględnem, czyli na krowie, z której pochodzi bezwzględne dobro, czyli krew (niezła myśl!), zwarło się wkoło mnie pięć jakichś palów i tak zgmiotło, żem prawie dusiła się. Po chwili, pale rozluźniły się tyle, żem zobaczyła jasną między nimi szparkę. Chciałam przez nią wyfrunąć, ale tam nazewnątrz czyhały dwa inne paluchy, które mię ścisnęły jeszcze mocniej, wbiły na hak i rzuciły w wodę — w dobro ogólne. Niema co mówić — pomyślałam — ładne dobro, stokroć gorsze od bezwzględnego zła, czyli krowy!

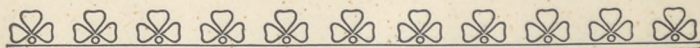
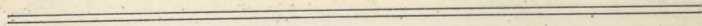
Myśl i przytomność nie opuszczały mnie w tem przykrem położeniu ani na sekundę. My, muchy, umiemy żyć z hakiem w ciele długo jeszcze, bardzo długo. Żyjemy, że tak powiem, po śmierci. Dzięki tej właściwości, widziałam, jak mię połyka jakaś próżnia duszna i ciemna, jak znowu haczyk wyciąga mię na światłość



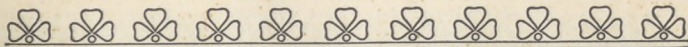
i ze mnie się wydziera, i jak z rozprutym brzuszkiem, choć z całkowitą świadomością, padam na ziemię.

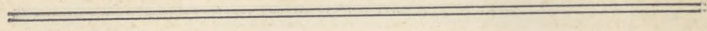
Tu dopiero zaczyna się bolesna agonია, nieuchronna snadź przy zaniku osobniczym. Wlokę się jak glista po źdźbłach trawy, chłód mnie ogarnia i tęsknota do spoczynku... Nie mogę fruwać... Dawniej przestrzeń była dla mnie rozkoszą, teraz przygniata, męczy... Od jednej trawy do drugiej tak daleko!... I nikt mi już nie zaradzi! Wzywam w duchu o ratunek i widzę, że on niepodobny. Wzmózona świadomość pożąda istnienia tem rozpaczliwiej, że widzi jego niepodobieństwo... A jednak coś mi szepce jeszcze ostatnią pociechę, najlepszą: czyż nie wszystko jedno—śmierć lub życie takiej, jak ja, muszki? czyż nie wszystko jedno dla mnie — żyć lub nie żyć?... a jeżeli to wszystko jedno, więc jeżeli się życie kończy, to musi kończyć się i niebyt, i znów może, nieskończoność przebywszy, wskresnę do nowego jakiegoś bytu lepszego.



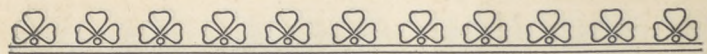


MUNDUS VULT DECIPI





MUNDUS VULT DICHI

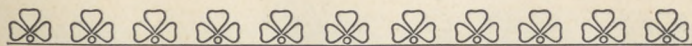


Rzeżąc kobyły, ssąc krew cielęcą i często-gęsto zarywając sarninki, Wilk ani się obejrzał, jak przyszła starość. Kłacz mu się w nos śmieje, cielę przed nim umyka, gęś, nawet gęś, pomagając sobie skrzydłami i przeraźliwem gęganiem, odnosi zwycięstwa nad powolnym, zniedołężniałym Wilkiem. Zafrasował się Wilk, zadumał, ważył coś w sobie, nareszcie pewnego dnia, kiedy głód doskwierał mu gorzej niż zwykle, i kiedy z pól biegły po rosie smakowite porykiwania cieląt, zawołał Lisa, swego sekretarza, i rzecze:

— Pójdiesz acan odemnie z poselstwem.

— Słucham waszej wilczości.

— Słuchasz, to dobrze: młodzież powinna słuchać starych. Owóż pójdiesz mi do poblizkiej obory, zwrócisz się do żeńskiego rodzaju cieląt, zwanych jałoszkami, które teraz chcą, jak słyszę, opanować ster opinii bydłowej, powiesz, że się kłaniam i proszę, aby mi były łaskawe oznajmić swe zapatrywania, a mianowicie: jak



pojmują rolę swą, cel i zadanie w oborze? w jakim kierunku pragnęłyby się rozwijać? jakie środki obiorą do osiągnięcia swoich celów i ideałów, gdy będą miały swobodę działania i decydowania o własnych losach? co myślą o miłości i poezji?... Powtórz.

Lis powtórzył wiernie, ale, zapuściwszy knykieć w lewem przedbiodrze, pogmerał w serci i rzekł:

— Jest moim obowiązkiem ściśle wypełniać rozkazy waszej wilczości, tylko nie rozumiem...

— I nie powinieneś. Że jednak już wszedłeś, jak po twej minie widać, na drogę domysłów i zbyt z ciebie zwierzy sprytny, aby zaniechać swych dociekań, wolę ci sam wytłómaczyć, o co tu chodzi. Czy nigdy nie zastanawiało cię, Lisie, jak dalece świat jest zmienny? Dawniej, jak wiesz, drzwi się nie zamykały. Dzień w dzień jakaś nowalijka: to jagnię, ciekawe lasu, to cielę, namiętne do oddalania się od trzody, to sarenka, zalotna chyżością... A dziś? Opuszczeni jesteśmy, wyklęci, prześladowani, truci. Bydło zdala trzyma od nas swą młodzież, strasząc imieniem Wilka, zapewniając, że nie mamy nic z bydłem wspólnego... I gdzie, jak myślisz, leży przyczyna tego zubożenia wiwendy naszej?...

— Wiem już: za mało dbamy o dobro ogółu.

— Rzekłeś. *Entre nous soit dit*, że ten lub tamten wół czy prosiak będzie okrągleszy, obchodzi mnie



o tyle, o ile wypadnie mi go zjadać. Ale, jeżeli zamiast »cham! cham!«, szczekasz »ogół! ogół!« — skończone. Wszystko ci samo lezie do paszczy, wszystko ci wolno, bo kochasz ogół. Niejeden wół pomyśli: co to za zacna dusza, o sobie nie dba, wciąż tylko o innych, trzeba mu złożyć hekatombę. I sto wołów pada trupem dla ciebie, Jowisza. Zdaje ci się, że jesteś dobrodziejem, że bies wie, jakie niesłychane spoczywają na tobie zadania, że bez ciebie całaby oborę wilcy zjedli... inni wilcy... rozumiesz...

— Więc moje poselstwo? — rzekł Lis, któremu śpieszyło się.

— Ma na celu wdrożyć w bydło przekonanie, że ja, Wilk, zacząłem zajmować się jałoszkami z pobudek ogólnego dobra. Usypiam czujność stada i zjednywam sobie cielęta za jednym zamachem. Bo niewątpliwie, jałoszce pochlebi to, że ja, Wilk, ciekaw jestem, co ona, ta wiochna, ta wizya głodem nękanego brzucha, myśli i czuje. Patrzcie, jaka ze mnie ważna osoba! — rzeknie sobie takie cielátko: Wilk i ogół czekają na moje zdanie. A więc oto je macie. I zaczną się upławy ogólników o celach, zadaniach, obowiązkach, zasadach, ideałach... Ta jałoszczka powie ci, że chce być duszą niezależną i jednocześnie duszą jego duszy (jego, to jest byczka); chce mieć swój sąd własny i jednocześnie żyć myślą



jego myśli (jego, to jest byczka); to znów zechce za pomocą »obeznania się z rozwojem umysłowości« bydlęcej mózgi wyrazić swoje wezbrane uczucia; to będzie żądała, by, jak byk ryknie »kocham«, nie znaczyło to »pożadam«, tylko, że »twoje ideały i twoje cele są także moimi«... Uważasz, takie niedorzeczne sprzeczności, które tylko mózgi ukopyconego bydlęcia żeńsko-nijakiego rodzaju zdoła wymyśleć — zobaczysz. Już ja je znam, zęby na nich zjadłem... Inna znów ci powie, że chce się rozszerzać (czyli grubieć) i wysubtelniać... Nie bój się, rozszerzysz ty się przed ociepleniem i wysubtelnisz w moich trzewiach...

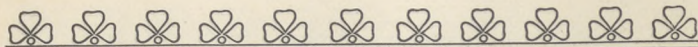
Tu Wilk zastanowił się na chwilę i rzekł.

— Idź no acan, może znajdziesz co w spiżarni, to przynieś: coś mi burczy po kiszkach na wspomnienie wysubtelnionej cielęciny.

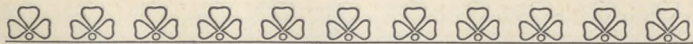
Lis wyszedł i wrócił niebawem, niosąc w pysku glonek sera spleśniałego i trochę farfocli ze zdechłego na ochwat barana.

Wilk westchnął.

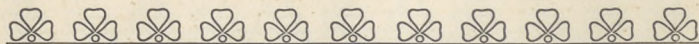
— O, kto ze łzami starych nie jadł flaków! — jak mówi poeta. — Czas jakiś w milczeniu chrupał twardy ser i z wykrzywianiem mordy dzłamał padlinę, wreszcie podjadł i widząc że Lis przestępuje z nogi na nogę, mówił dalej:



— O, bo ty nie znasz tych rozkoszy! Przyjdzie ci takie ciele o duszy wiośnianej, taka wiochna, i z oniesmielenia dygocze, jak liść młodej brzoźki, a ty jedną łapą łaps ją za karczek, drugą za piersiczki, trzecią — nie, trzecia i czwarta na ziemi, ale—zębami za mordkę... I czujesz, jak ciele między życiem i śmiercią słabnie, słabnie, zwala się z nóg i daje się rozszarpywać, cichutko pobekując, bo głośno nie śmie, uważasz — zdycha, a nie śmie, co?... Potem zaszywasz się w jakie ustronie i pograżasz się w lubej odrętwiałości, bez ruchu, bez pożądań. Promienie słońca przedzierają się przez kopułę zieloną, tworząc olbrzymi lej blasków, którego ostry koniec zaczyna po tobie pełznąć od ogona do nosa; nie chce ci się poruszyć; gdy światłość w nos cię załaskocze, wolisz kichnąć, a nie zmienisz położenia. Muchy pobrzękują ci nad uchem i sadowią się na twej sierci, zrudzonej tu i ówdzie krwią cielecą... Nie robisz im krzywdy, nie straszysz nawet zębów kłapaniem... Czujesz się takim dobrym, chciałbyś, żeby wszystko dokoła było zadowolone i szczęśliwe, bo wszystko ci takie bratnie i drogie: i ta mucha zielona, której brzęk, to twoja rozkosz, bo go słyszysz, i ten listek złotawy, bo widzisz jego żyłki i jego cichą słoneczność, bo on ci to daje, że radują się twoje oczy... I ten ptak tam na gałęzi choinowej miły tobie, aczkolwiek już nie tak, bo



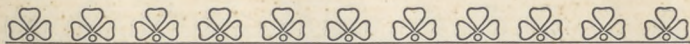
jakoś podejrzliwie jednym okiem patrzy, nie ufa snadź, wyodrębnia się z koła twoich napawań, i swoim zachowaniem się mówi, że nie możesz chcieć go złapać, bo nie złapiesz. Gdyby tak się nad tem zastanowić głębiej, toby zdjęła irytacya. Myślisz tak — i, nie mając nic innego do myślenia, właśnie myślisz o tem. Powoli zadowolenie twoje pierzcha, wstajesz i człapiesz w gąszcz ciemną, gdzie niema ptaków. Nie śpisz, boś poirytowany. Zaczynasz filozofować. Oto ja, Wilk, zjadłem ciełę. Wzmocniłem swoją istność, ale zabiłem czyjeś niewątpliwe pożądanie życia. Gdyby ciełę do mnie przyszło i rzekło: zjedz mnie, tobym może i nie zjadł; cała ponęta rzezi w tem właśnie, że ciełę żyć chciało. Zatem ja złamałam czyjeś c h c e n i e, czyli, że chcenie, woła jest życiem. Dobrze. Ale ciele musi także czems się żywić; zjada trawę, a więc znowu łamie coś, mianowicie kształt, postać. Więc ta ostatnia, postać, jest chceniem rośliny, jej życiem. Zaś roślina, żyjąc wodą i powietrzem, też je zabija czyli przekształca. Przychodzimy do pytania: czem żyje powietrze? Bo jeżeli jest, żyć musi, czems się żywić, coś łamać, zjadać. Moznaby przypuścić, że powietrze zjada się samo, gdybyśmy nie wiedzieli, że je stanowią atomy niezniszczalne. Powietrze tedy nie żyje niczem, czyli powietrze, niczem nie żyjąc, żyć, istnieć nie może, to jest, powietrza właściwie niema, a więc



i roślin, niemających się czem żywić, też niema, nie istnieje ciele, mnie niema, nic niema na świecie, niema świata i basta!... Potem myślisz: a któż mnie, Wilka, zjada? Nikt. Nikt, nikt mnie nie lubi. A jednak umieram, ginę... zjada mnie powietrze. Powietrze zatem jest to, co karmi, co daje życie istotom najniższym, a zjada najwyższą, czyli mnie. I ogarnia cię strach, boisz się przestrzeni, nocy, ciemności, chcesz uciec przed powietrzem!... Z obłądnymi oczyma, z pianą na mordzie, pędzisz po jarach i rozłogach, aż złapią cię ludzie i zabiją jak wściekłego... Alem ja się zagadał, a tu coraz bardziej mi głodno. Mnie niema, ale głód mój jest. Biegaj więc, mój Lisie kochany, do tych ciał i spraw mi się zgrabnie, jak to ty umiesz. No, do widzenia.

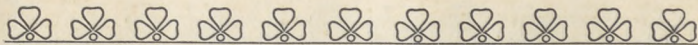
Bez kostura, bez sakwy, jak stał, Lis ruszył w drogę. Gdzie polanka była jaśniejsza, niechętnie mrużył oczy i w cień umykał. Idąc, rozmyślał.

— Biedny stary!... A gada, niech cię gęś kopnie! Mógłbym go porzucić, ale mi go żal trochę. Zresztą potrzebny mi jako pewnego rodzaju *repoussir*: wszystkie szkody okoliczne, nawet szkody w kurnikach idą na karb starego. Wiedzą, że Wilk tu się gnieździ, ale nie wiedzą, że temu szkodnikowi zostało tylko pięć zębów... Starość — smutna to rzecz dla zwierzęcia... Ha, każdy



ma swoją wyspę świętej Heleny, jak mówi jedna autorka. Gdy mu dobrze usłuży, to i sam się jakim ochłapem cielęciny pożywie i stary nie będzie mi daremnie płoszył gęsi — niedojda!... Gdyby tylko udało mi się przemknąć do obory... Miałem tam ongi w podwórzu znajomą gęś, która się nawet we mnie kochała... Ale ją zjadłem. Szkoda, przydałaby mi się jej pomoc *par le temps qui court*, przedstawiłaby mnie jako psa i koniec. Szkoda. Zjadłem ją... trochę z głodu, a trochę z zazdrości, bo zanadto ją coś ciągnęło do gąsiorów. Już to prawda, że te związki duchowe to psa warte. Toć i moja gęś deklamowała: »Chcę, byś sumienia mojego był gęgiem, chcę twoje wycie chować jak przysięgę«. I cóż z tego? Wkońcu polazła szastać się z gąsiorami po błoni i pławic w błotnistej sadzawce... Tak to głos interesu, gatunku i rasy wkońcu zwycięża wszelką duchowość, która zawsze w zwierzęciu jest czemś naleciałem... Tak, tak... Ale wiem, co zrobić: sam będę udawał psa, to jakoś pójdzie.

Te i tym podobne rzeczy myśląc, Lis skoczył do pobliskiego rowu, wynurzał się w wodzie, przez co sierć oblepiła go, robiąc czemś podobnem w części do wielkiego tłustego kota, a w części do małego chudego jagnięcia, co razem wzięte mogło ująć i za psa średniej miary. Tak ucharakteryzowany, z podwiniętym pod się

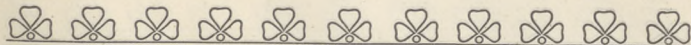


ogonem, Lis chyłkiem, ciszkciem, pomaleńku, trzymając się krzaczków, płotków i innych miejsc cieniorodnych, udając wobec ludzi spokój i pokładając się przed psami do góry brzuchem, na znak uległości, dotarł nakoniec do upragnionego cielętnika. Był to rodzaj bekowiska, obwiedzonego dziurawym płotem, ułatwiającym dostęp gęsiom, kaczkom, kurom i innemu plugastwu, gdzie, osobno byczki, osobno jałoszki pasły się i gziły, czekając przyszłych wypadków. Czasem wkraczał tu pasterz, rzucał jakieś ważkie słowo, poklepał które z cieląt i wychodził; czasem pachciarz z rzeźnikiem tu zaszli, wlokąc za sobą ponure cienie żaloby.

Lis otrząsnął się z wody, wymuskał wąs, przejrzał się w gnojówce, podniósł kitę i wszedł prosto do jałoszek.

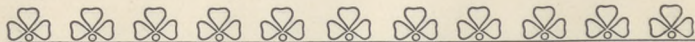
Istotnie, podlotki wzięły go za psa, i dopiero, coby zacz był, wyświeśliła jego mowa tej osnowy:

— O cielęta! Najłapczywszy Wilk, dziedzic na haszczach i ostępach Świętokrzyskich, władca jamy najciemniejszej, a dla niepoznaki obrośniętej kwitnącym powojem i bluszczem i zasłoniętej figowymi liśćmi, posiadacz wilczego gardła tudzież wilczego apetytu, dobrodziej i pan mój, powodowany chęcią służenia ogólnemu dobru, jakoteż pragnąc silną łapą wesprzeć tak nam sympatyczny ruch wyzwolenia się cieląt z pod



supremacyi wołów, byków, psów, tudzież pasterzy, zwraca się do was moją mordą i prosi o łaskawe wypowiedzenie przede mną swych zapatrywań na cel i zadanie jałoszki w oborze, na stosunek jej do wołów, tych wiernych pracowników i towarzyszy waszego przyszłego krowiego stanu, o wyrażenie, w jakim kierunku chciałybyście się rozszerzać i wysubtelniać, w czym, podług was, leży dobro wasze, i wogóle, co myślicie, czego pragniecie, co byście chciały zmienić, co zatrzymać? Proszę nadto o wyłuszczenie mi swych poglądów na miłość i poezję. Wszystkie wymienione rodzaje zapatrywań będą miał zaszczyt wiernie Wilkowi donieść, a w razie, gdyby która z was miała coś jeszcze do uzupełnienia, do wyjaśnienia lub przedyskutowania, niech podczas mej nieobecności śmiało wali do lasu, do jamy obrośniętej bluszczem, ostęp świętokrzyski, numer nieparzysty pięćdziesiąty trzeci ce. Skończyłem. A teraz słucham. Cielęta mają głos.

Naprzód zaczęły się niedowierzające pobekiwania i bardzo intensywne chichotki. Cielęta trącały się kopytkami i bodły czólkami, wypychając jedna drugą do odpowiedzi na orędzie Lisa, który ze skromną godnością siadł na tylnych łapkach, wy dobył karnecik, spuścił oczy i czekał cierpliwie. Nareszcie, gdy sytuacja zaczęła stawać się zbyt naciągniętą, raz jeszcze wstał i, już



tonem raczej salonowca niż urzędnika, wyrzekł zachęcająco:

— *Voyons, mes veaux*, niech panie będą łaskawe...

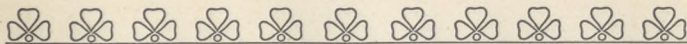
Tu się nie wymaga żadnych uczoności... prosto, szczerze, bez retoryki, bez szumnych komunałów, wszak to tak łatwo. Co robiłam, co robię, co będę robiła? Piłam mleczko, piję mleczko, będę piła mleczko. Co myślałam, co myślę, co myśleć będę? Myślałam, żem ładna, myślę, żem ładna, będę myślała, żem ładna. Dalej, proszę...

Żarcik przyjęto miłymi śmieszkami, niektóre cielęta zapłoniły się. Lis dotknął łapką najbliższej ślicznej białoszki.

— No, może ty, milutka, mi powiesz?

Ta, ośmielona, rumieniąc się trochę i trochę blednąc, naprzemian, zaczęła:

— Wiadomo, że życie cielęce składa się z epok i z ideałów, które wszczepiają w nas pasterze, jeden to, drugi tamto: wszystkim trudno dogodzić. A krowymatki wszczepiają w nas kokieterię i zamiłowanie frazsek. Więc czego można się spodziewać rozsądnego od istoty zatrzymanej w rozwoju umysłowym w czasie dzieciństwa? Dążenia rozsądne wolno wygłaszać cielęciu jako materyał konwersacyjny. Co do naszej woli i osławionej głupoty, to nie jesteśmy oponentne z zasady, mamy duszę i chcemy być przekonanemi, i jesteśmy



odpowiedzialne sumieniem, subtelnie w dzieciństwie ćwiczonem, za wiele szkód popełnianych świadomie, ale pod naciskiem. Co do obowiązków, to mam pojęcie odpowiedzialności za nieużyteczność obecności w społeczności. Dlatego pragnęłabym zająć się wiejskim drobiem, albo trzodą chlewną, łagodzić jej obyczaje, wpajając w nią zasady, chociaż nie wpajając upodobań niezgodnych z ich stanem. Może większość młodzieży z tego tłumu, owej podstawy społeczności, zostałaby w przyszłości moralną i rozsądną. Oto wszystko. Ale, jeszcze zapomniałam powiedzieć, że do tej pory nikogo nie pokochałam. Roku mam pół.

Lis słuchał z uwagą, pilnie stenografując w karneki. Wreszcie zapytał:

— Przepraszam, jak nazwiczeczko?

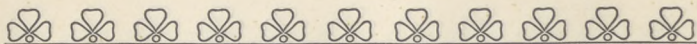
— Latawerya.

— Dziękuję. Teraz proszę siadać. Kto następny, jeśli łaska.

— Ja powiem — odezwało się jakieś ładne cielątko z blond sierką w czerwone łatki.

— Proszę, bardzo proszę — kłaniał się Lis.

— Jeżeli mam szczerze powiedzieć, co myślę i czuję, to pragnę przedewszystkiem, żeby krowy wpajały w nas zasady, a po zasadach charakter i wolę. Ciele nie powinno być gąską ani kurczęciem. Ciele



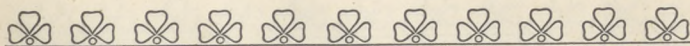
rozumne dużo może. Niedawno pewien wół, który się do mnie, jak mówią, zaleca, utrzymywał, że, gdyby oborą rządziły cielęta, toby było inaczej. Rzeczywiście, jabym tak pragnęła żyć pełnią sił... W takich razach idę sama do lasu i tam natura, mając wrodzone poczucie piękna, dobroczynny swój wpływ wywiera. Nazywam się Wysysanka.

Mówczyni, kiwnąwszy zlekka Lisowi, dumnie spojrzała po obecnych i zaczęła gryźć trawę nie półgębkiem, lecz całą gębą, jak wypada cielęciu, które dąży do pełni życia.

Zaczem i inne cielęta, starsze, zachęcone przykładem i odwagą młodszych, widząc, że Lis nie tylko się z nich nie wyśmiewa, ale owszem, przybiera wyraz uprzejmo-gorzkiej zadumy, bardzo podobnej do melancholii, zaczęły cisnąć się jedno przed drugie z mowami.

Dwie jałoszki: Przyślepa i Kłapouszek, chciały nawet mówić jednocześnie; dopiero uwaga Lisa, że nie będzie mógł notować, coby było dlań bolesną szkodą, nakłoniła drugą do ustąpienia pierwszej, która tak rzekła:

— Stanowisko cielęcia w społeczeństwie jest wzniosłym i bardzo trudnym. Ono wywiera na bytło wielki wpływ i od niego przeważnie zależy przyszłość obór. Celem moim i ideałem jest być użyteczną. Nie jestem

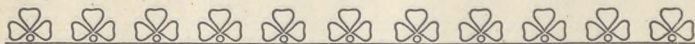


przeciwniczką związku z wołem, lecz go dla siebie nie pragnę: tak trudno się dobrać i zgodzić. Stosunek między wołem i jałoszką powinien być naturalny, może być nawet serdeczny. Po stosunku tym nie spodziewam się szczęścia, tylko innych, nowych obowiązków, bo na to jest stosunek, aby przez niego cielęta i woły nawzajem sobie dołą swoją ciężką umiłały. Co do kierunku poezyi, to najbardziej mi się podoba realistyczny, którego jednak zmysłowość mnie razi; dalej — pasterski, czyli pozytywistyczny, bo przepadam za graniem na pozytywce. Na sztukach pięknych nie znam się wcale, z czego jestem dumna, bo to zawracanie głowy i odrywanie uwagi od pożytku.

Druga zaś, Kłapouszek, tak mówiła:

— A więc mam dać wiedzieć Wilkowi o moich pragnieniach i rozumieniu moich obowiązków i przeznaczeniu cielęcia w dzisiejszej oborze? Nie mam pola do działania, bo za słabe moje wykształcenie. A tego pragnę, pragnę być użyteczną i mieć pole do działania. Uczę się sama, podpatrując i badając, ale tylko to, co mi zostawia pewien smak. Poezyę kocham, ale nie powiem, żeby mnie porywała, bo boję się rozczarować, i dlatego zadeklamuję swój wierszyk:

Kto swej młodości złamawszy kopytka,
Skierował bieg swój poza bory, lasy,



Próżno się sili (o doloż ty brzydka!),
Zdechnie, nie wiedząc, co wole karesy.

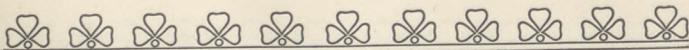
Co do miłości, to chcę być kochaną, ale dla mnie miłość musi być nie zwierzęca, tylko poświęcająca się. Niestety, dzisiejsza młodzież nie odpowiada wymaganiom mojego ducha. Gdy się zestarzeję, wezmę sobie sierotki na wychowanie i to mi życie wypełni. Nakoniec, kocham pasterza i bydło. A obora powinna być oparta na kółku rodzinnem. Obora bez rodziny zginie, bo każda jednostka zginie, a więc zginie i obora. Teraz, kiedym już wszystko powiedziała, ciekawam, jakie będzie zdanie Wilka: czy myślę prawidłowo, czy też jestem na złej drodze?

— Sądzę — rzekł Lis grzecznie, — że poetycki talent, którego słyszałem próbkę, zdoła ustrzedz panią od błędów rozumowania, a nawet od omyłek w postępkach. I Wilk nie inaczej się będzie na to zapamiętywał...

Wtem przerwał Lisowi harmider wśród jałoszek. Słysząc było krzyki: »Niech mówi Fikarya! Chcemy, żeby mówiła Fikarya! Nikt tak nie powie, jak Fikarya!«

Jakoż Fikarya, wypchnięta na widownię, rzekła:

— Warunki, w jakich żyją cieleta, muszą powodować nieszczęścia. Tak, ciele nie ma swobody i, choć rwie się do lotu, musi chodzić na czworakach. Czyż to

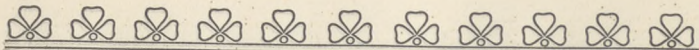


nie jest nieszczęście? Ach, sądziłam, że zapoznawszy się z rozwojem umysłowości ogólnozwierzęcej, potrafię wyrazić rozpierające mnie uczucia. Niestety, płoty i zagrody krępują mój umysł; jestem smagana biczem, ale czyż dlatego mam zostać na nizinach, gdzie tylko dzikie gęsi fruują, ach, one będąc uskrzydłone... Ratuszek nasz w niezależności serca i zasad. Dążmy do niej, bo wtedy byk, który sam przez się nienawidzi szczytnych uniesień, będzie duszą naszej duszy, myślą naszej myśli, i gdy ryknie »kocham«, nie będzie to znaczyło »pożadam«. Tak, pragniemy, my, jałoszki, rozszerzać się i wysubtelniać. Nie chcemy niewoli, wolimy, żeby nam wolno było być wolnemi!

— Gdzie ja to już słyzałem? — przemknęło przez głowę Lisa — aha, to Wilk mnie uprzedzał, że to usłyszę. Prawda, jak kury wielbię, prawda!... — A pani, co sądzi o tem wszystkim?... — spytał jakiejś starszej jałowicy, która wsgardliwą postawą znać dawała, że coś ważnego w swojej gębie tai. Reszta cieląt zaczęła szeptać z szacunkiem: to Skończony Czworonóg, słuchajcie, słuchajcie!

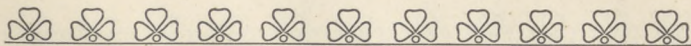
Właścicielka tego dostojnego nazwiska odezwała się.

— Przedewszystkiem, z całą szczerością i śmiałością wypowiadam, że cielęciu nie wolno być sobą, lecz musi być stworzeniem, co i myśli porządnie i serce ma



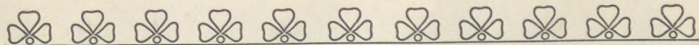
czyste. Cieleń powinno być nie dodatkiem w oborze, jakimś tam odgrodzone kojczykiem, ale być najważniejszą połową, że nie powiem trzema jej czwartymi. Stąd nie wypada, żeby zaraz cielęta, równouprawnione z wołami, wprzęgały się do jarzma, nie. Ale wypada, żeby cielę rozumiało gruntownie, gdzie skacze, dlaczego gzi się, ażeby koszt edukacyi, łożony przez dziedzica, nie szedł na marne. Trzeba więc, ażeby się cielę uczyło higieny i pedagogiki, gdyż wiadomości z tych nauk są bardzo zdrowe i nauczające, czyli pożyteczne. Ażeby zasłużyć na szacunek, cielę musi pracować koniecznie. Albowiem bez pracy nie smakują zabawy, pląsy i bieganina po wykrotach. I niech mi będzie wolno z kim chcę, obcować: czy z bykiem, czy z wołem, to rzecz moja. Niech wzajemny stosunek cielęcia do tych osobników będzie nacechowany szczerością, niepozbawioną wyszukanej grzeczności, uprzejmości i opiekuńczości, bo cielę zawsze, bądź co bądź, tęskni do silnych bicepsów. Co do poezyi, to słysząc różne o niej zdania, nie mam ochoty się nią zatruwać, aby nie umrzeć na duszy. Albowiem stronię od tego, co nie kształci, nie naucza i nie jest pożyteczne.

Lis jeszcze nie zdołał powtórnie zaostrzyć ołówka, kiedy już nowa oratorka, kipiąca niecierpliwością wypowiedzenia swoich myśli, zabrała głos w tym sensie:



— Pytania wilkowe zachęcają mnie do uczestniczenia w gronie cieląt odpowiadających na nie. Zaraz po ocieleniu, prowadziłam z koleżankami szereg rozmów na ten temat, a i teraz rozmyślam nad tem, czem jestem a czem być powinnam. Minęły czasy, kiedy udziałem cielęcia było być szczęśliwym. Teraz, z rozwojem mięsożerności, musimy uszczęśliwiać innych; jest to wiele dla tych innych, dla nas — za mało. Ale trzeba mieć serce, sam rozum nie wystarczy; »żyć bez serca, dla cielęcia znaczy martwym być do ścięcia«, — nie tego serca czułego i szalonego, zapalającego się na chwilę, ale serca, które kocha wiele, kocha miliony, kocha całą oborę, całe pastwisko i wszystkich pasterzy z ich psami, i wszystkie lasy z ich wilkami. Takie serce mieć musi nasze, tutejsze ciele. Miłością i tkliwością musi być ogrzana praca nasza, bo wtedy najwięcej korzyści ogółowi przyniesie. Jest jeszcze jedna miłość dla nas otwarta — miłość samcza, która powinna być oparta na twardych podstawach; bo wtedy tylko będzie to ideałem a nie szałem, który nigdy nie jest trwałym. Dalej, stoją otwarte sztuki piękne, bo to nie jest specjalnością jednostek, tylko to strumień, z którego każdy czerpać może. Idźmy naprzód, bo kto nie postępuje, ten się cofa. Ja wam to mówię, ja, Szczerocha.

I nie czekając na zaproszenie Lisa, dorzuciła:

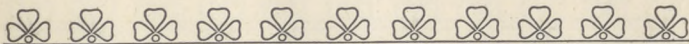


— Ma głos siostra moja, z przydomkiem Ogoniasta. Mów!

Ogoniasta otworzyła gębę, a słowom jej towarzyszył coraz bardziej potęgujący się rumieniec.

— Wstyd mi wyznać — mówiła — że, mając dwa lata, jestem tak mało postępową w dążeniach i pragnieniach. Zawsze, już w dziecinne lata moje, lubiłam zdawać sobie sprawę z tego, co się naokoło mnie działo, później badałam różne wrażenia, i zagadnienia ogólne pierś moją rozpieęły. Jako cielę domowe, walki o byt nie znałam, uczono mnie tylko znać drogę do pastwiska. Dręczyłam się pytaniem, com winna oborze i czego ta obora ma prawo żądać odemnie? Mleka i mięsa, mówiło coś we mnie, ale odrzucałam ze wzdrganiem te podszepty instynktu. Nie, obora chce, żebym była pożyteczną bez rozgłosu. I będę, będę dorzucała ziarna do idei społecznej. Chciałabym być płodną krową, potomstwa chciałabym mieć jak najwięcej, aby je wychowywać na dzielne podpory obory, wychowywać osobno byczki, osobno jałoszki, aby się nie skazyły i nie zatraciły swych cech naturalnych. Z poetów, kocham Byczewskiego, temu jednemu przyznaję poznanie duszy cielęcej. Wolańskiego, przyznaję ze smutkiem, nic a nic nie rozumiem, bo jest zbyt wielkim symbolistą.

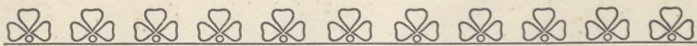
— Wybornie, wybornie — mruzczał Lis, który za-



czynął już tracić cierpliwość, i widząc nastawionych do mówienia jeszcze kilka mordek cielęcych, przemyślał, jakby tu zemknąć, nie obraziwszy ambicyi cieląt, tej najczulszej ich struny. Szczęściem dwa wypadki podziały rzeźwiąco na podupadły humor Lisa. Naprzód, poetce Kłapouszkowi udało się stworzyć i szepnąć komuś w kąciku dwójznacznik, a mianowicie: »kocham wołu, ale mnie nie porywa; Wilk mnie porywa, ale go nie kocham«. Z gęby do gęby podawany dowcip ten wzbudził chichotanie ogólne; wesołość spotęgował jeszcze drugi wypadek, a raczej mowa pewnego młodziutkiego cielątka, które, korzystając z zamieszania, też zaczęło rozwijać swoje poglądy. Cielątko, zwane Pieszczotką, mówiło:

— To jest moje zapatrywanie, gdzie każdy ma być ziarnkiem dla społeczeństwa, które nie pragnie od małżeństwa szczęścia, ponieważ jeżeli się mówi »kocham«, to nie powinno znaczyć »pożadam« i praca powinna być a wszyscy powinni być dobrzy, bo gdybyście wiedzieli, jak różne uczucia pierś mą rozpierają, to dla wyrażenia ich, poznanie ruchu umysłowości pedagogiczno-hygieniczno-pozytywistyczno e... e... e...

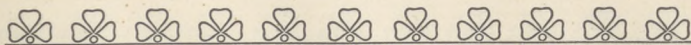
Tu, nie mogąc się wygrzebać i osobliwie zmieszana uporczywym wzrokiem i mimowolnym uśmiechem Lisa, Pieszczotka rozplakała się.



— Ja tam nie jestem uczona — mówiła, szlochając — gniewam się. — I rzeczywiście poszła skarżyć się przed krową, nieutulona nawet zapewnieniem Lisa, że jej nie zapisze w katalożku. Ach, właśnie onaby tak była chciała stać w karnecie, tylko ten nieznośny mus gramatyczny uzupełniania okresów!

Ażeby zatrzeć przykry ten, ze względu na Lisa, blamaż, jałochna Leżybocka beknęła donośnie na znak, że chce mówić, i mówiła:

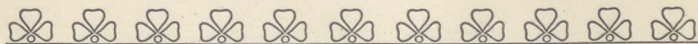
— Za punkt wyjścia biorę dla siebie zdanie powszechnie przyjęte, że celem życia i dążeń bydlęcych jest wytworzenie jak największej sumy szczęścia na tym świecie, tudzież aforyzm: »szczęście jest tam, gdzie jest«, czyli, gdzie je się widzi, czyli, że jeżeli ja widzę szczęście w paskudzeniu na zielony kobierzec natury, to to jest szczęściem. Czy ciełą współczesne zdolne jest do zaspokajania tych szerszych aspiracji? Niestety, odpowiedź wypada przecząco. Ten idealny pogląd na świat, któryśmy wyssały z mlekiem hodowców i krów genialnych, jakże w strzępy szarpie rzeczywistość. Jakże często nie jesteśmy przypuszczone do szczęścia i chęci nasze nie zostają zaspokojone. Mówią, że trzeba nam samodzielności. Ja nie należę bynajmniej do szeregu samodzielnych ciełąt, ale odczuwam potrzebę samodzielności. Gdyby mi pozostawiono swobodę działania, wy-



frunęłabym natychmiast w świat szeroki, by umoczyć swe usta w nęcącym kielichu wiedzy.

Ale i tym razem nie obeszło się bez wypadku. Snadź morze duchowości cielecej łatwo się rozbałwania, ale uspokaja niełatwo. Jakieś czarne, ponure ciele słuchało mowy Leżybockiej, wpijając w mówczynią wzrok bazyliuszka; wkońcu rzuciło się na nią, tłukąc łbem i kopytami. Czarne to ciele, zwące się Bydłokratką, wzięło mowę Leżybockiej za osobistą obrazę i wymierzyło sobie sprawiedliwość w ten najwymowniejszy sposób. Zaczem, trochę uspokojone, jęło słownie miażdżyć wzloty ku szczęśliwości Leżybockiej, oraz biczować zbyt słabą preopinantki chęć do samodzielności.

— Ciele — krzyczała Bydłokratka — jako istota bierna, żadną miarą ostać się nie może, lecz powinno się przystosować do ducha epoki. Dziś praca, praca i jeszcze praca. Ciele powinno być tak chowane, żeby ciągle coś robiło. Niech gryzie obladrę z płota, gdy nic innego nie umie, ale niech pracuje. Niech się na wołu nie ogląda, bo nie na każde ciele wół wypada. A zatem samodzielność i praca. Czy potrzebuje pracować jałoszka, czy nie, powinna mieć to wdrożone, że praca jest jedynem zadaniem każdej. Niestety, jakże daleko jeszcze jesteśmy od tego ideału. Dziś tylko ta pracuje, która musi. Tak być nie powinno, tu potrzeba zmiany:



by praca nie zależała od woli pojedynczej jednostki, ale była wprost wymaganiem społeczeństwa, narzucana jednostkom jako rzecz konieczna, niezbędna, bezwarunkowa. Tak, zmuszajmy do pracy wszystkie cielęta, naglijmy do pracy, do pracy ciężkiej, jak najcięższej, do ciężkich robót wszystkie — marsz! Że tak z czasem będzie, ufam i sobie życzę, niech każda w swoim kółku tak samo się stara i czyni, co może, dla zmiany na lepsze, do czego i ja też należeć pragnę.

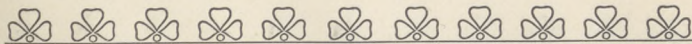
— Dobryś — pomyślał Lis. — Zresztą, wszakże to woda na młyn wilczy. Ciele, pracując, traci czujność i upodabnia się do wołu, tego niemowlęcia wobec lwa srogiego albo i wilka...

Dalsze refleksje Lisa zostały przerwane jakimś grubszym bekiem, zgoła nie cielęcym. Widać było na wierzchu płota łeb sporego półkrowia. Łeb ryczał.

— O, cielęce cielęta! Czemu chcecie zabijać własną cielęcość? Pragniecie dobra stada, a pozbawiacie je cieląt, tych kwiatów obory radujących oczy, tego uśmiechu potęgi rodzącej, tych powiewnych, chwiejnych, słodko rozbeczanych istotek, złączonych z krową ogniwem tkliwości i strumieniem mleka...

Tu i ówdzie zerwały się chichotki. Niektóre cielęta wołały: słuchajcie, słuchajcie!

Łeb ryczał dalej:

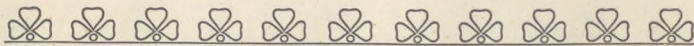


— Natura wysila się, i niekiedy aż bolesna, rodzi piękne, młode latorośle, kwiaty, dzieci, cielęta, a wy... wy same chcecie się unicestwić i odrazu jałowić, albo wołować się! O biada, biada oborze, w której cielęta rej wodzą! I kogoż to bierzecie za powiernika waszych młodych, świeżo wykluwających się duszyczek? — zwierzę mięsożerne, którego pomoc i rada nie może być zanadto podana w wątpliwość. Chcecie być samodzielne — stańcie się takimi, ale same, bez obcej, zwłaszcza wilczej pomocy... Wilk was pozjada i z czegoż będą się rodziły przysze krowy, to dobro obory?... I jam nigdyś wierzyła wilkowi, myślałam, że mnie rozwinie i wysubtelni... Ach, do dziś mam duszę zbrudzoną wspomnieniem o nim, o jego nędznych mięsolubnych zapartywaniach. Za jego to namową, pochlebstwami rozżarzana, doszłam do tak bzdurnego o sobie wyobrażenia, że chciałam zostać lwicą. Towarzystwo krów i wołów na nic mając, rzucałam się na każdego byka z zębami i kopytami, ale cóż? Gryzłam ich, a oni, zamiast uczuwać zgrozę, śmieli się tylko...

Tu zaburczało, załkało coś we łbie, i zamiast słów, zaczęły płynąć z niego łzy, śluz i ślina.

Cielęta wybuchnęły szalonym śmiechem.

— Kto to? — spytał Lis Kłapouszka, który pokładał się od śmiechu tuż obok.



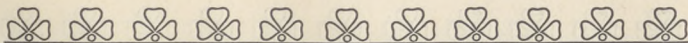
— To Agni, stara waryatka. Ukąsił ją bzik w lesie i ma zwarzone mleko. Niewiadomo, co z nią robić, bo to ni wół ni krowa. Zamknęli ją osobno i pewno zarzną.

— I cóż o niej myślicie, wy, cielęta?

— E, ktoby ją tam brał na seryo, bawi nas tylko.

— Dobrze jest — Lis pomyślał — mogłaby mi brzydko popsuć sprawę. — Tu szczeknął:

— Proszę o głos!... Otóż zamykając obrady dzisiejsze i reasumując ich wyniki, składam przedewszystkiem, w imieniu Wilka, najserdeczniejszą podziękę za szczerość i chętność w wynurzaniu swych myśli, tak wartko płynących z waszych młodzieńczych, rozpieranych przez różne zapatrywania serduszek. Niech ta nie serdeczna, którą, jak sądzę, nawiązałem pomiędzy waszemi pięknymi duszyczkami, a wielkim sercem Wilka, przepełnionem miłością ogólnego dobra, niech ta nie — mówię — będzie trwała, niech jej nie zrywają żadne bałamutne intrygi, żadne oszczercze i szalone słowa... (nie zaszkodzi taka aluzyjka). Owszem: idźcie do niego, do Wilka wszystkie. On was przygarnie i oświeci i wesprze silną łapą wątłe dążenia wasze. Byle nie wszystkie naraz. Po jednemu, codzień jedno niech spieszy do jamy: wysubtelniać się można tylko sam na sam. A teraz do widzenia, do widzenia, moje najukochańsze duszyczki. Odchodzę, mając głowę, notes,



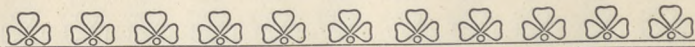
uszy i serce pełne waszych kwiecistych, tętniących życiem mówek.

Tu Lis, złożywszy zgrabny ukłon i machnąwszy kitą, niby piórem od kapelusza, wyszedł, a raczej był na wychodnem, gdy jakaś niemłodziutka i jak gdyby już trochę używana jałoszka przybiegła spiesźnie, wołając:

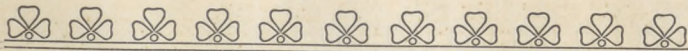
— I ja, i ja... jeszcze ja!... Byłam zajęta flirtem na wielką skalę... Uf!... Trzeba zaspokajać głód serca... tak pragniemy chwili złudzenia! Wprawdzie nie mam ochoty pokazywać duszy, bo są rzeczy, które się tylko w czułem *tête-à-tête* pokazuje, i do sanktuarium duszy wpuszcza się tylko wybranych, jednak chcę, żeby Wilk wiedział, jakie mam zapatrywania.

Lis z trudem powstrzymywał się, podobny do zbyt uciskanej sprężyny, ale się przemógł, poślinił ołówkę i pisał, co następuje:

— Nie będąc przeznaczona na rzeź, lecz na chów, a zatem mając przed sobą długie życie, poświęciłam takowe nie pracy, bo w tej wołom ustępujemy, ale jedynie badaniu miłości i poezyi. Ze smutkiem wyznaję, że, wskutek naszej subtelności i wyrafinowania, niema takiego wołu, którego mogłybyśmy kochać, my, jałoszki, które pragniemy miłości wielkiej i gorącej, o szerszych aspiracjach, które podnosimy bunt przeciw naturze, tej



mistrzyni życia, która źle nas stworzyła, każąc być jałoszkami i ewentualnie krowami. Jeżeli się do wołu zbliżamy, to tylko po to, żeby mieć chwilę złudzenia. Zatem jestem pesymistką. Wobec czego trzeba wierzyć tej bajce indyjskiej, podług której wielki Brahma stworzył ciełą i przeciął na dwoje, i powiedział, że jedna połowa będzie męska, a druga żeńska. Tylko, że nie zawsze się one spotykają. Jeżeli się spotkają dwie takie połowy nie od głów, tylko te inne, to nie mają czem myśleć o szerszych aspiracjach, a jeżeli łączą się dwie połówki od głów, czyli półgłówki, to też źle, bo dużo jest mówienia, a za mało szczęścia. Nieśmy więc wysoko nasz sztandar, starajmy się wywierać na wołu wpływ umoralniający, który jest zepsuty, bo nie chce wpływać na ciełą, ale psuje takowe. Teraz powiem o poezyi. Poezya powinna być źródłem czystych rozkoszy przeczyszczających, a dzisiejszej poezyi nie hołduję, bo kapiesz się w takowej, a jak byłeś ciełkiem, tak jesteś. Cały świat poezyi jest kółkiem, które nam ciągle inną część pokazuje. Naprzód była dzika natura, czyli romantyczność, później była reakcja, bo wynaleziono pozytywkę, i był pozytywizm, potem przybył kierunek byczewszczyzny, zatruwający ciełęta piołunem, aż nareszcie zjawił się porządny Pasturek (*ce cher Bergerac*), znów grający na fujarze romantyczność, a więc



coś czystszeo, jaśniejszego, szlachetniejszego, etyczniejszego, podnioślejszego... I tak ciągle...

Tu Lis, doprowadzony do ostateczności, o nic już nie pytając, z zaciśniętymi zębami, z obłędem w krwawych oczach, błąd, wypadł z obory i na przełaj śmignął przez pola, jakoby od pszczelich kąsany rojów.

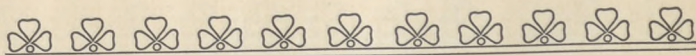
Nazajutrz dzień był duszny i niepokojący. W powietrzu gór Świętokrzyskich wisiało jakieś wonne dyabelstwo: czuć było zapach tuberozy, bżów i siarki. Nad wejściem do jamy Wilka zwieszały się frendzle bluszczów i powojów, niby zatrzymane w biegu zielone siklawy, które spad ich własny, jednostajny, uśpił.

Na łożu z paproci, nigdy nie prześcielanem, leżał stary, zbiedzony Wilk, i pozieywając częstotliwie z głodu, słucał sprawozdania Lisa z wczorajszej wycieczki.

— Nie mogłeś to gdzie po drodze uszczknąć jakiej odrobiny drobiu?

— Wasza Wilczości, w tamtą stronę idąc, żadną miarą, bom nie wziął sakiew, a z powrotem, musiałem co tchu pędzić, dla ulżenia napiętym nerwom, tak mnie zmęczyło krasomówstwo cielece.

— A wierzę, wierzę—potaknął Wilk, któremu Lis odczytał był właśnie wszystkie mowy zapisane w karneciku.—

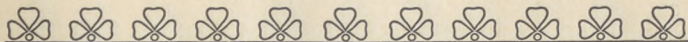


Elokwencya cielęca może zabić najtęższego wołu. Kroniki przytaczają nam nie jeden tego rodzaju przykład.

— Cała sierć była na mnie mokrzuteńka. Musiałem sobie ciągle powtarzać z Hamletem: *o stupidity, thy name is calf!* Myślę, że się nie odświeżę, chyba zarżnięciem jakiej gąski albo i kurki... Cielę i nauka! Ależ cielę nie byłoby cielęciem, gdyby było zdolnem nauczyć się czegoś, wejść w siebie i wyjść z siebie. Jedyne sposoby do wysubtelnienia cielęcia i zrobienia zeń czegoś szlachetniejszego, to — zjeść je. Można i z kury zrobić bażanta, ale trzeba ją, kure, zjeść, strawić... a o dalszej przemianie już natura sama pomyśli. Bo chociaż...

— Pst... czekaj-no — rzekł Wilk, który długim postem miał wyostrzoną czujność — słyszę jakieś beczenie... A nuż to cielak, żądny subtylizacyi?... A dawajże go tu, dawaj, skocz-no, pędź, leć...

Lis wybiegł duchem, a Wilk zaczął wielkimi krokami przemierzać jaskinię. Przystawał, wypuszczał ostrza pazurów, próbując chwytności ich na własnej mordzie, i z cicha pośpiewywał. Naraz, jakby sobie coś przypomniawszy, zerwał kilka pędów powojowych z różnokolorowymi kielichami, napęnlionymi wonnością i gorącym, porozrzucił po ziemi, kilka gałązek porozwieszał na rosochatych złomach ścian, ogarnął lego-



wisko, nastroił pozytywkę, wsunął do kąta jedno, drugie naczynie, i czekał.

Jakoż niebawem ukazał się Lis, postępujący miękko i zgrabnie po kamykach i ostrych zielskach, a za nim cielę, ochoczo postukujące kopytkami. Wilk, jako uprzejmy gospodarz, stał już u progu.

— Najłapczywszy Wilku, mam zaszczyt przedstawić: Fikarya, ozdoba cielętnika, a moja dobra znajoma — rzekł Lis, patrząc jednym okiem na cielę, a drugim na swego pana.

Wilk skłonił się szarmancko, wpuścił Fikaryę przed sobą do jaskini i rzekł z szeroką gościnnością w stylu wschodnim:

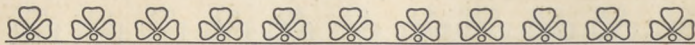
— Oto mój dom ubogi, niebielone ściany, otom ja sługa sług twych, jak mówi poeta. Czego poszukujesz w mojej samotni?

Cielę przyjemnie uderzył styl gospodarza i poetyczny nieład w jaskini. Zadrżało jej serce i wyfrunęło na język.

— Przychodzę do was, Wilku, żebyście mnie raczyli rozszerzyć i wysubtelnić.

Wilk mrugnął na Lisa i szepnął mu w narzeczu niezrozumiałem dla Fikaryi:

— Zostaw nas samych. Jeżeliś ciekaw, możesz parzeć przez dziurkę od klucza. Wychodząc, bądź łaskaw zasłonić wejście bluszczem i figowemi liśćmi.



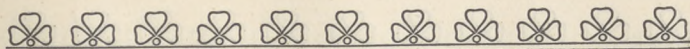
Lis wyszedł.

— Więc tedy chcesz się wysubtelnić? Ależ siadaj, o! tu przy mnie... Można, można... Nawet bardzo to chwalebne, i nie masz wyborniejszej rzeczy nad subtelność, zwłaszcza cielecą, z lekkim podrumieniem, z młodym, wonnym naskórkiem, z drżącą galaretką, ze słonawym sosikiem... Tylko że subtelność nie osiąga się tak zaraz na poczekaniu. Zostań u mnie, pobądź nieco dłużej, poznamy się, zwąchamy, będziemy przelewali z duszy do duszy różne rozpierające nas uczucia... Będziemy razem odbywali podróże, poznasz świat nowy, skruszejesz, wypełnisz się...

— Ach, jak tu milutko — przerwało ciele — widząc porzucone kwiaty. — Tak tu inaczej, niż w brudnej, ciasnej oborze, gdzie co rusz to belka, to płot, to kołowrot, to wierzeje — aż głowa od tego pękała... A tu, nieprawdaż, tu wszystko wolno?

— Ależ tak, tak, moje najdroższe cielátko, moja Fikaryjko! Możesz tu sobie robić, co ci się żywnie podoba.

— Jak to dobrze, takam szczęśliwa... Powiem ci, Wilku — bo będziemy na »ty«, nieprawdaż? — powiem ci, że choć głosiłam podniosłość pracy wspólnej z jakim znacnym wołem, nie wierzę, żeby najlepszy wół nie był nudny. A ty, mój panie, mój »ty«, jakżeś inny. Masz



take pazury poetyczne i taką masz mordę, ty brzydalu najdroższy... Ach, takam szczęśliwa!... Zawyjesz mi co, prawda? Z daleka słyszałam twe wycie dotąd, a teraz!...

Wilk, podniecony gorączką głodową, którą obecność Fikaryi rozjątrzyła jeszcze bardziej, towarzysząc sobie na pozytywce, zawył pieśń pod tytułem »Dobro ogólne«. W pieśni, dla większej zachęty, dobro ogólne upostaciowane było w świeżem, dymiącem cielęciu, które czeka na rycerza, co najwięcej dokonał zniszczeń, walcząc w jego imieniu.

Po skończeniu pieśni, Fikarya, nie mogąc wyrazić różnych rozpierających jej piersi uczuć, padła przed Wilkiem na kolana i zaczęła lizać mu łapy. Co widząc, Wilk zwałił się na nią swoim cielskiem, przytłoczył i chciał zdusić, ale jakoś mu, głodem osłabionemu, nie szło. Obluzował tylko parę żeber Fikaryi, która była najpewniejsza, że to początek wysubtelniania. Oddychając ciężko, Wilk mówił:

— O, moja wiochno najdroższa, kocham cię, tyś taka młoda, piękna niewiedzą rzeczy subtelnych, taka budząca się królewna cieląt!... Niegodzien jestem, niegodzien, żeś weszła do mego przybytku, ja, stary wygnaniec, szkodnik... Pomyśl, co robisz. Tam ciepły odór obory, mlek pełne wymiona, kłopotliwie zwisające między nogami krów dojnych, tam ryk wołów i zacność,



chrzęst pracowitych jarzem, psia opieka... A tu?... Ja, stary, prześladowany stad płoszyciel, krwi żądny i zemsty przeciw wszystkim oborom świata...

Wilk przerwał, by odsapnąć.

— O, mów do mnie jeszcze — szepnęła Fikarya.

— Więc tak bardzo mnie kochasz, bardzo?

— Więcej niż kochać wolno...

— Jakto, tylko tyle?

Fikarya zarumieniła się mocno.

— Mów, co mam robić?

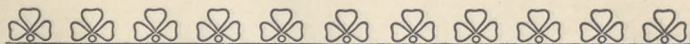
— Dobrze. Widzisz tam ten kamień? Rozpędź się i uderz weń głową, tylko śmiało — jam z tobą.

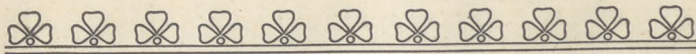
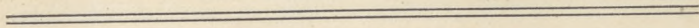
Ciełą bez namysłu rozpędziło się, i za chwilę leżało już, ciche, z rozłupanym czerepem.

— Hej tam, Lisie — krzyknął Wilk — bywaj acan! Zaczęła się orgia.

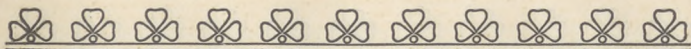
Spożywszy parę kęsów biednej Fikaryi, Wilk spojrział na Lisa i rzekł:

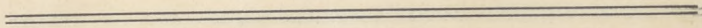
— Subtelne.



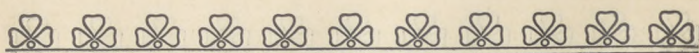


LYCOPERDON GIGANTEUM





LYONARDON ORGANIZEM



I.

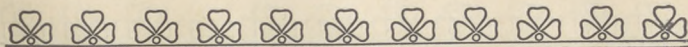
Pewien obywatel wiejski, po obiedzie codziennym, popił czarnej kawy, rozłożył gazetę codzienną i czytał, co następuje:

...»Sztuka i literatura niezdrowiem symbolów, chorobliwością ekstaz i nagiem odsłanianiem roznamiętnienia zabójczo działają na duszę, na wyobraźnię i na ideały, jak trucizna. Ojcowie rodzin powinni wziąć się za rękę i zabronić sztuki, która podkopuje wstyd, etykę i rodzinę. Obywatel, zamiast idealnie trawić, truże się tylko«...

— Włazł na gruszkę, rwał pietruszkę. Nie miej pan o mnie strachu: już ja i tak dobrze trawię. Chcesz, żebym trawił lepiej? — to już nie wiem, coby to było?..

Postawiwszy to zagadnienie, obywatel znów popił kawę, umieścił oko na innej szpalcie i czytał:

...»Mury naszego miasta uszczęśliwił arcsympatyczny i miły gość. Jest nim sędziwy autor wielu



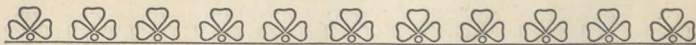
natchnionych prawdziwym, gorącym ciepłem studyów, który obecnie, jako to nam z jego biurka wiadomo, zajmuje się przygotowywaniem obywatelskiej pracy p. t. „O bezzasadności przeceniania poezyi i artyzmu kosztem wiedzy i nauki“...

— Też ma nad czem pracować! — mruknął obywatel. — Kochasz tak, panie, naukę, to zostań uczonym, a nie przeszkadzaj innemu, kto woli poezję. Czemu nie ma być i poezyi, jeżeli dobra? Nie ja, to żona przeczyta i mi opowie... Coś psują się te gazety...

Dalej obywatel myśleć nie mógł, bo do pokoju wtargnęło jakieś indywiduum z wyuzdanie, trująco nagiemni łydkami i z cynicznym okrzykiem.

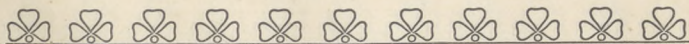
— A to Mania tatuńciowi wysypała tytoń.

Po tem zwiastowaniu, zanim obywatel, wiejskim obiadem pokojowo usposobiony, powziąć zdążył jakąkolwiek karzącą uchwałę, — bezpośrednio za posiadaczem nagich łydek, przybiegła i sama winowajczyni, z zabójczo grubymi, jak dwa powrósla pszenne, warkoczami, i zaczęła tatuńciowi po rżysku brody różowemi usteczkami namiętnie, kazirodczo grabić. Wskutek czego, tatuńcio względem stron, tak oskarżającej, jak i oskarżonej, zastosował rygor niezwłocznego wydalenia z granic pokoju, a zmiętoszoną tymi wypadkami gazetę rozprostował i czytał:



...»Trudno w Europie o społeczeństwo, któreby posiadało taki dar obrzydzać sobie własną — z przeproszeniem — miskę i psuć sobie apetyt do koniecznej strawy codziennej. A jednak w tej misie codziennej bywają często kąski wcale smaczne i pożywne. Nie sądzicie, abym w obronie swojskich zacierek zamiast pasztetu, swojskich perkalików zamiast obcej nam wełny — żebym chciał pozbyć się „wyższego gustu“. Nie, ale poco zaraz wydziwiać? Ty sobie, grymaśniku, znajdź jaki smaczny i pożywny kąsek, zjedz sobie rosołku, ćwikiełki, flaczków — z przeproszeniem — posil się we własnym korytku, a potem możesz sobie i pomarańczki kupić i nawet sam po nią pojechać. Ale ty zaraz grymasisz: a gdzieindziej tak, a gdzieindziej owak, a to ja wolę nic nie jeść, niż swojskie — z przeproszeniem — paskudztwo — mówisz?... A fe! A to tylko źle wychowanym dzieciom zachciewa się czegoś innego, lepszego! To wamby się chciało w zimie majowego — z przeproszeniem — słonka, kiedy macie ciepły piecyk? A poco to? a naco to?«...

— O, tak mi, panie, pisz, to rozumiem! Flaki? — dobra rzecz!... Ćwikła — mój klejnot, symbol zdrowia, z kruchym kawałkiem — pi, pi!... Dobre i swojskie. O takiej mi sztuce pisz, a nie o jakichś tam farmazkach...

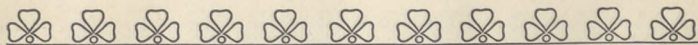


Tu obywatel pochwałą swojskości narkotykiem cudzoziemskim, ale od czasu wojen krzyżowych unarodowionym, zalawszy, cmoknął i czytał:

...»Co się tu dziwić chłopu ciemnemu, skoro nawet inteligencya postępuje z cudzą własnością w sposób barbarzyński. Proszę tylko częściej bywać w gabinetach publicznych i przypatrzeć się lustrom, w których się rżnie brylantami, że do właściwego, obywatelskiego użycia są niezdatne«...

— Pięknie jucha stylizuje — rzekł obywatel — ale czy lustra, czy gabinety, czy brylanty do użycia niezdatne? I to wyrażenie: »obywatelskiego użycia«!... Tak jakby obywatel już zawsze tylko używał. Jak obrodzi, to czemu nie? Na to człek haruje, żeby sobie mógł czasem pozwolić... A przyjdzie grad, powódź, susza, śnieć, zołzy, motylca, żona, kształcenie dzieci... ładne używanie! O tem byś, psiakość, napisał, że obywatelowi nie już używać, ale żyć nieraz trudno... Patrzcie, jaki mi rygorzysta! Na użycie obywateli będzie wymyślał... Rżną brylantami... proszę — też powód do artykułu! Rżną, to niech rżną, to rzecz gospodarza... Zresztą... samiśmy rżnęli po pijanemu i nikogo o to głowa nie bolała, przeciwnie... Jaki mi Cyceron... te — Katon gabinetowy!... Cóż tam jeszcze?

...»Dbałym o dobro publiczne przypominamy, że

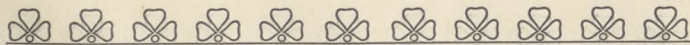


za trzy niespełna miesiące przypada dwudziestopięcioletni jubileusz sympatycznego naszego specjalisty od dłubania palcem w nosie ogółu, Amfibiusza Ogółoduha, który przez cały przeciąg swego zasłużonego pasma dni nie kaził prawdy marzeniem, i dorobiwszy się znacznej fortuny, nie przestał jednak jej przymnażać, służąc pod sztandarem ogólnego dobra. Komitet jubileuszowy projektuje, aby«...

W tem miejscu obywatel, czytany tem wszystkim i chwiejący się zlekka, wyszedł do ogrodu, dla przemijającej, aczkolwiek użytecznej i — powiedzmy nago — niezbędnej potrzeby. Tam gdy ze zmiętą gazetą za klombem smrodyniowym siedział, spojrzy w bok — aż tu coś okrągłutkiego i bielutkiego wygląda z trawy. — Ki dyabeł?... Kolano Fra... — nie, to, psiakość, purchawka niezawodnie... Tak. Ale urosła szelma!

Jakoż była to dziwnie, niesłychanie ogromna purchawka. Rozmiary jej uderzały jak sensacyjny wypadek, twardzina jej pełna była niewytłómaczonej jakiejś sprężystości wewnętrznej, białą wreszcie, jakoby w śmieianie ubabraną i okrągłą wypukłość nadzwyczajnej tej istoty chciało się poprostu nakryć bodajby dłońmi: tak była naga, mimo całej swej niewiedzy grzechu.

Obywatel, jako posiadacz większej własności, poczuwając się do dbania o dobro krajowe, tudzież o sławę

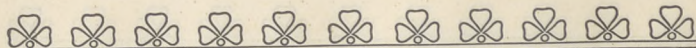


rzeczy swojskich, którym, jak to świeżo był wyczytał, jacyś nieznanymi grymaśnikami przyganiają — natychmiast kazał purchawkę zapakować w otręby, i w wielkiem pudle wysłał ją do redakcyi, z następującym listem:

»Fetory Wielkie d. 15 b. m. 1903 r.

»Kochany Redaktorze!

»Pamiętasz Redaktor, jak'eśmy to przy obchodzie jubileuszowych latek pewnego, dziś już w ziemi spoczywającego węgrzyna, ubolewali nad kiepskiem jeszcze u nas zamiłowaniem krajowych, powiększających narodową sławę, osobliwości. Choć od lat tylu, gazeta wasza, podnosząc i z obywatelskiego oświetlając stanowiska wszystkie zbrodnie, skandale i rarytety, gorąco w tym kierunku działa, przecie dotychczas nie mamy jeszcze własnego *panopticum*, że aż musi je zastępować sama wasza redakcyja, zawalona i tak już innemi sprawami publicznego dobra. Posyłam obecnie purchawkę, urodzoną i wychowaną w mojem *dominium*, Fetory Wielkie. Urosła szelma, co? Zajmijcie się jej losem, bardzo proszę i polecam. Co można, to się dla kraju robi. Nie idzie mi o reklamę, ale kilka słów ciepłych od siebie możecie wydrukować. Przy sposobności, to tam tego ten... Co się też stało z ową, mającą kształt słoniam rzdokwią, o której tyle mówiono w swoim czasie?



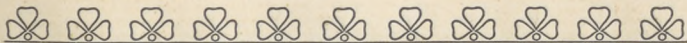
Co porabia olbrzymi kartofel, który wam przed dwoma laty posłał mój sąsiad z Zafajdanówki? Pewno zniszczało to? A szkoda: jedno z drugim — byłaby już kolekcyjka.

»Rękojeść kochanemu Redaktorowi ściskam.

»Sobiesław Ćwikła.

»P. S. Nagadaj też tam Redaktor swojemu fejletoniście, który zamiast o pilniejszych potrzebach krajowych pisać, wymyśla na zepsucie obywatelstwa. Nie wiem, czy ten sam, czy może inny — bo kto was tam po piórze rozpozna, wszyscy jednakowo piszecie — uskarża się, że my jedni w Europie najchętniej plujemy — z przeproszeniem — do własnej miski: a to, co on sam — a może to i nie on? — o obywatelstwie publikuje, to jak się nazywa? Nie plucież to?... Że się nieraz, jak obrodzi, do miasta zajrzy i w gabinecie się butelcznie jednej i drugiej zalakowaną i odrutowaną łebetynę, jak to i sam Redaktor wiesz najlepiej, ukręci, to i cóż? Na to człowiek haruje, żeby sobie dwa-trzy razy do roku w zacnej kompanii wesoło (jak obrodzi) mógł pogadać. Ale to jeszcze nie racya, żeby jakiś tam fe-ljtonista społeczne artykuły z tego robił. Jak się coś podobnego jeszcze trafi, bo pomimo całą moją dla Redaktora przyjaźń, dalibóg przestanę was abonować.

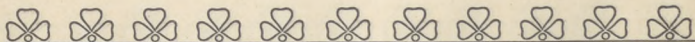
»Ćwikła«.



II.

Zwykłym, ogólnie dziejowym trybem, po okresie legend, podań, bajek czarodziejskich i tym podobnych niewierutności, nastaje epoka czynów notaryalnych, protokółów historycznych, praw, prawd, zadań, celów i dni codziennych. Wyrósłszy z barbarzyńskich przywidzeń, nieokreślonego wrzenia i nierozsądnych zachcianek, które do dziś nas jeszcze u dzieci tak rażą i które za pośrednictwem urzędów szkolnych usiłujemy z nich wykorzenić, — ludzkość doszła do zrównoważonego, trzeźwego szczęścia, i każdy, byleby był grzeczny, może je, niby placek, po »smacznym i pożywnym kawałku« codziennie krajać i zjadać, nie dziwiąc się i od wszelkich nadzwyczajności będąc zabezpieczonym.

W dziedzinie stosunków zwierzęco-roślinnych, o ile te kojarzą się z ludzkimi, rzecz ma się wprost odwrotnie. Istota zwierzęco-roślinna, skoro tylko przeszła realnie prawdziwy i historycznie wiarogodny czas wylegu, potem wegetacji słonecznej, następnie zdecydowania swych kształtów, co właśnie było dla niej codziennym powszedniem szczęściem, — wnet ją porywają w kołowrót swój tramwaje, gazety, przyrządy fotograficzne, reporterzy, jubileusze, samochody, rauty i kanały, to jest, wogóle, rzeczy niezwykle i oszołamiająco czarodziejskie.



Tak było i z purchawką. Jeszcze wczoraj, w dziewiczości nietkniętej, leżała na wydzierzawionem sadownikowi łożu z traw, a dziś pudrem z otrąb pokalana, zaczęła okres dziejów nadprzyrodzonych i bajecznych.

Gdy pudło z nią przybyło do redakcyi, odpakowaniem go zajął się naczelny wywiadowca, czyli wybadywacz tajemnic osobistych gwoli ich publicznemu ogłaszaniu. Z wyrazem ogólnie przejętej uprzejmości, rozlanej na jego ciepłych licach, wywiadywacz otworzył pudełko, dopomógł purchawce wygrzebać się z otrąb, a gdy już okrągła i biała jej postać wyłoniła się w całej swojej nagości wiejskiej, otrzepał ją grzecznie i rzekł:

— Proszę siadać, pani będzie łaskawa... Czem mogę służyć? Może czarnej kawki? Tomasz!...

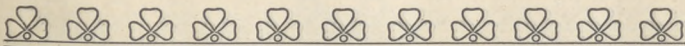
— Nie, dziękuję — rzekła purchawka z wysiłkiem. — Nieco wody, jeśli łaska, ale przegnojonej.

— Tomasz! — powtórzył sylf — skocz-no do pana Miłoskrobskiego po jutrzejszy feljeton o sztuce.

Woźny wybiegł szybko, ale wrócił powoli, stąpając noga za nogą, ponieważ niósł naczynie pełne feljetonu, który jeśliby rozlał, musiałby czyścić podłogę własnym nakładem.

— Podaj pani — rzekł »wybadywer«.

— A jakże »toto« pani będzie piła? — zagadnął Tomasz.

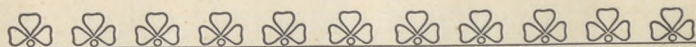


— Czy ja wiem? — szepnęła purchawka. — Tak daleko odbiegłam od natury... a raczej odwieziono mnie...

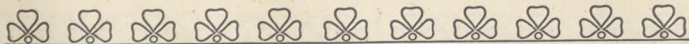
— Głupstwo natura! — wykrzyknął szef zapytawców. — Tomasz, skocz-no do gabinetu po narzędzie, co to go się używa przy niestrawnościach, wiesz... Zaostrzy się kanka, wkłuże w naskórek i *fertig*. Żywo!

I znów woźny wybiegł szybko, a wrócił powoli, niosąc z pewnem widocznem uszanowaniem »glizdopompę«, jak ją nazywał. Przy pomocy tego hydrauliczno-sanitarnego, lecz od czasu wojen krzyżowych unarodowionego wynalazku, zaczęto w purchawkę wpompowywać feljeton, i niebawem treść onegoż udzieliła się jej co do litery. We wnętrzu wieśniaczki, niby w fonografie (od czasu wojen krzyżowych unarodowionym), zaczęły bulgotać, warczeć i seplenić jakieś ciepło-brzmiające słowa i wnet ułożyły się w takie myślowe *recitativo*:

»Oddawna już uprawianie sztuki i poezji uważane jest nawet przez ludzi poważnych, za objaw nieszkodliwy. Co do nas, i my nie jesteśmy przeciwnikami tych dwóch niepoślednich bądź co bądź czynników cywilizacyjnych, ale z naszego społecznego stanowiska rzecz biorąc, musimy tu zrobić pewne i stanowcze poniekąd zastrzeżenie. Tak samo, jak nauka nie powinna być nauką dla nauki, lecz dla wyrobienia sobie stano-



wiska, tak również i sztuka oraz poezya nie mogą być ani sztuką dla sztuki, ani poezją dla poezyi, lecz jedynie i tylko dla uzyskania, dzięki im, posady społecznej z bujnie rozwiniętym dochodem. Niestety, przedstawiciele nowej, próżniaczej sztuki dla sztuki, są to ludzie niezdolni do żadnych posad, żyjący swem nędznem życiem, bez pożywnych i smacznych kąsków, obracający się w szeregu mar i wizyi, nie reagujący na żadne objawy życia społecznego, jak taniec, karty, rauty, klęski publiczne i operetka, lecz zajmujący się swojemi dekadentystycznosciami i pesymizmem, który jest w poezyi do najwyższego stopnia deprymujący i przygnębiający; zamiast sztuki z okolicznosciami bieżącemi związanej, zamiast ideałów zdrowych, smacznych i pożywnych, upędzają się ci wykolejeńcy za czczem, formalnem pięknem wyrazów, zapominając, że nawet żargonem można wyrazić szlachetne idee, zacne serce i prawy charakter. Wobec tego przypominamy ludziom dobrej woli ich obywatelski obowiązek i proponujemy zabronienie poetom używania pesymizmu, wprowadzenie zaś natomiast optymistycznych kierunków. I dopiero wtedy, zamiast nic niedającej nam i niezrozumiałej sztuki dla sztuki, mielibyśmy sztukę swojską, ciepłą i przyzwoitą, a więc: w malarstwie — serdeczny oleodruk (NB. i tani), w poezyi — wesołą, zagrzewającą do pracy śpiewkę, w mu-



zyce — dziarskiego mazura lub rzewną operę, a w rzeźbie — pełne naturalnego, panoptycznego realizmu postacie wielkich obywateli z wosku.

— Dobrze mi... — rzekła purchawka po zastrzyknięciu jej tych zapatrywań: — tak mi jakoś serce urosło...

— Pani będzie łaskawa się rozgościć — zachęcał »wywiedca« — może tu na stole, a może na oknie, bardzo proszę... Jutro zdejmemy z pani fotografijkę, a później może jubileusik?... Ale co to pani?...

Purchawka nadzwyczajnie zbladła i naskórek jej powlókł się jakiemiś zielonkowatemi żyłkami.

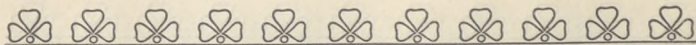
— Gdzie tu u was... — szepnęła — gdzie tu u was zlew, spluwaczka lub... coś podobnego?...

— Co? Słabo pani? Mam nadzieję, że... Tomasz, zaprowadź panią.

I znów Tomasz wybiegł z purchawką bardzo śpiesznie, a wrócił powoli, prowadząc ją noga za nogą, ponieważ była nader osłabiona. Gdy cokolwiek przyszła do siebie, wódz rozpytywaczów podjął zawieszony wywiad.

— Cóż, przeszło?... Więc ten... więc jubileusik?...

— Ach, wątpię — rzekła purchawka głosem cokolwiek rażniejszym — jestem jeszcze taka młoda... mam dopiero tydzień...



— Głupstwo, proszę drogiej pani. Jutro się napisze, a pojutrze rzecz zrobiona. U mnie warszawiacy ot tu — na końcu pióra, jak żydy...

W tem miejscu właściciel piórnej potęgi obejrzał się starannie naokoło, a choć już nawet woźny wyszedł uprzętać po purchawce feljeton, i byli samowtór — ostrożnie, na wszelki wypadek, dodał:

— Z przeproszeniem, chciałem powiedzieć — kleksy...

— Niech pan nie przeprasza! — zawołała purchawka — nie lubię żydów.

— Czy podobna? I skąd pani może znać żydów, nie znając Warszawy?

— Ach znam... W ogrodzie, na wsi, był sadownik z rodziną... zbierali same owoce, a purchawki gnietli.

— Pani jednak ocalała?

— Bo rosłam w pokrzywach. Żydzi boją się pokrzyw i lubią tylko rzeczy pożywne i zdatne na sprzedaż. A ja... na cóż ja im zdać się mogę?

— Głupstwo, kochana pani. Właśnie. Bo niema rzeczy tak podłych na ziemi, aby nie mogły stać się przydatnymi... to z Szekspira. Ho, ho! A od czegoż reklamka, ogłoszeńka? Cóżbyśmy robili, my, bez ogłoszeń o rzeczach na nic innego, prócz na ogłoszenia,



niezdalnych?... Ciepły artykułik, wzmianka prosta, później rozumowana, serdeczna i *fertig*. O, druk wiele może! Czy wiesz, dziecko — daruj mi tę poufałość, ale mój wiek, pozycya... — czy wiesz, że cokolwiek napiszę, wszystko idzie do druku i wszystko się czyta... Nawet niektórzy wycinają sobie moje kawałki i chowają! Co?

— Dziwne — rzekła purchawka, nie wiedząc, jak ma się na to zapatrywać.

— Jakto dziwne? Raczej naturalne — krzyknął autor wycinanych kawałków.

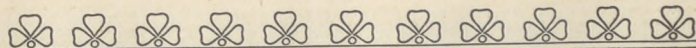
— Naturalnie — zgodziła się purchawka, której było wszystko jedno. »Badawista« odczuł ten niedowład zajęcia purchawki i już miał się zmartwić, gdy nowa fala »badawizmu« podniosła się w nim i zmyła poczynającą się przykrość.

— Tak, naturalnie — rzekł. — Otóż, wracając do rzeczy... o czym to właściwie?... A jubileusik!... Tydzień, powiadasz, dziecko, liczysz? Istotnie, to trochę za mało. Ale, możeby dzień jeden przewlec i wycięlibyśmy sobie oktawkę urodzin, hę?... A propos, czy posiadasz jaki talent — powiedzmy — instrument?

— Nie rozumiem?

— Czy grasz na czemś rżniętem lub dętem?

— Ach, nie, nie gram. Mogę tylko puknąć, gdy mi kto na brzuch nastąpi, a i to nawet niezbyt głośno.



— Szkoda!... Szkoda!... Więc może masz jakie zaczęte prace, jakieś swoje notatki, uwagi o czymś, wszystko jedno jakie i o czym, byle to na coś wyglądało?...

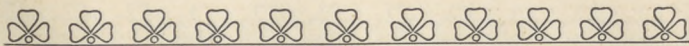
— Uwagi?... Hm, nie wiem... A może?... Tak... miałabym i nawet sporo do powiedzenia o grzybach, liszajach, różnych pasorzytach roślinnych i drzewnych... i o żydach też, wie pan, na tym sadowniku oparte, bo słyszałam, że wszyscy żydzi do siebie podobni, i dość zbadać jednego...

— Purchawko!... Swoje uwagi o żydach możesz schować, ale co do reszty — wybornie. Zrobimy z tego studium heraldyczne, da się tytułik przypośćmy ten: »O stopniowem zjadaniu tarczy herbowych przez grzybek drzewny i przez liszaje. Próba krytycznego wywiadu«. Co?

— Tytuł może za szumny?... Ja tam tak sobie, bezpretensjonalnie, leżąc w pokrzywach... bez wywiadów, bez...

— A któż wie o tem, dziecko ty moje?... U nas tu w mieście, co się czytelnikowi podda, w to wierzy, bo sam, uważasz, zajęty życiem codziennem, nie ma czasu na sprawdzanie i na ćwiczenie się w jakichś tam samoistnych opiniach... Więc zgoda na tytułik?

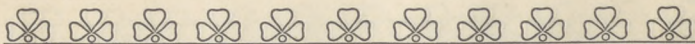
— Ostatecznie, wszystko mi jedno.



— *All right!* Jesteś wielka, moja mała. Jutro zaraz przedstawiam cię na zebraniu u baronostwa Joachimostwa Familienszternostwa. Poznasz najsympatyczniejszy salon. Bywa tam trochę arystokracji, trochę literatury, trochę finansów, trochę ambasady... No, a w oczekiwaniu jutra, spocznij sobie tu na wystawie okiennej. Dla rozrywki, masz tu, oglądaj sobie, szczupłe ale własne muzeum codziennego życia. Oto masz: fotografie różnych obywateli miejscowych i obcych, pojedynczo i w grupach; oto fotografia z zabawy publicznej, z jednej, z drugiej, z dziesiątej... reszta (pięć ósmych) kłosa-olbrzyma ze wsi Majętnice... fotografia dziewczyny z rybim ogonem, zmarłej niedawno w Minotauryszkach na Litwie, tomik poezyi sympatycznego autora, którego właśnie popieramy... tabela loteryjna... masz, baw się do jutra.

III.

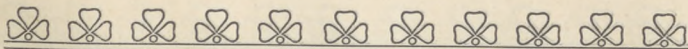
Noc. Jest już ta pora, o której nieścistością byłoby rzec: późno, a nie można powiedzieć: wcześnie. Ogół obywateli, po wyczerpaniu zatrudnień gabinetowych, dodom wróciwszy, lubym już oddał się wczasom; już i same gabinety pozawierały wrzęciadz swoich otwartość; już latarnik, z długiem jak włócznia gasidłem, będąc latarnie i pozbawiając je ognia — przemknął



zygzakowato od jednej ku drugiej; już mrok, o sobie zwątpiwszy, ustępował kurzliwemu bielidłu zorzy ulicznej... Tylko w redakcyi, która, wedle warunków prospektu, światła nie gasić obowiązana jest, palił się gaz i, aczkolwiek słabo, ale wszechnocnie walczył z ogólną miasta ciemnotą.

W gabinecie, w którym leżała purchawka, dyżurem nocnym zawiadował wywiadowca Ranoskrobski, drze miąc i kiwając się nad stołem od depesz, czyli na druczach robionych wiadomości. Drzemał, ale niekiedy budził się na turkot, zbyt nagle wyrwany z milczenia, lub na zbyt ni onegoż zastój, — budził się, poprawiał sobie pióro za uchem i znów »liczył żydów«, którem wyrażeniem matematycy oznaczają pewien objaw równowagi niestałej, występujący przy rozważaniu liczb nieskończonych. Ale i jego wreszcie zmożyły wzwiewy codziennej nieustannej gazetliwości, schylił się do *infimum* tak, że pióro jego z nad ucha zaczęło kłuć blok od notowania depesz, i z tego mizernego punktu oparcia korzystając, zasnął.

Naonczas, ze wszystkich w gabinecie będących kalendarzy: ściennych, ruchomych, do zdzierania, kalendarzy-premiów, kalendarzy wiecznych, biurkowych, informacyjnych, wywiadowczych, wybadaniowościowych, literackich, artystycznych, leczniczych, nieuleczalnych



i innych — powychodziły dnie i zaczęły tańczyć jakiś waryacki, niecodzienny balet.

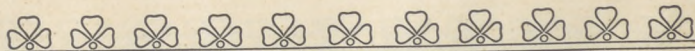
Purchawka, jako należąca do rzadkiej rodziny nieśpiących, czuwała, bo chociażby nawet była do snu najpodatliwsza, to sensacyjność dziewicy z rybim ogonem, któraby mogła i nieżywego ze snu otrzeźwić, podniecała ją do gapiostwa. Tak czy owak, purchawka, z otwartemi jak najszerzej oczyma, wpatrywała się w bajeczne dla niej widowisko.

Wszystkie dni, pomimo ciągłych, rannych i wieczornych utarczek redakcyi z indywidualizmem, były odziane w odrębność charakteru, zachowania się i wyglądu zewnętrznego.

Poniedziałki — dni wałkoniowate, ociążałe po niedzielnem nad-użyciu, posiniaczone, z powybijanemi zębami, z pooranym nosem, o zapłyniętych trunkiem oczach, i wysusfalonym przyodziewku roboczym. Gęsto i flegmisto charkały. Niektóre gnębiła czkawka, a jeszcze inne wymiotowały flakami z ćwikłą i z pomarańczą.

— Spadłe z drzewa, gnijące owoce — pomyślała purchawka, odrywając od nich wzrok i gapiąc się dalej.

Wtorki — dni zdecydowanego czynu pożytkowościowego; dźwigały na krzepkich barkach »młot pracy«, w tańcu nim groźne czyniąc wywijasy. Naprężone były i naładowane energią do tego stopnia, że niektóre aż



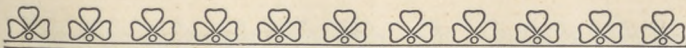
pękały z mniejszym lub większym hukiem i fetorkiem. Napięcie to energii było im niezbędne, jako zapas na resztę tygodnia, przy końcu którego znów im ją maszynami rotacyjnymi włączano; maszyny te, ideowcami zwane, prócz energii, jednocześnie jako podniecię, wstrzykiwały wtorkom zgęszczoną rozkosz w postaci pełnej miski, kilku kobiet uwiedzionych z następstwami, kilku bez następstw, i jednej do założenia rodziny własnej, po nadwyreżeniu cudzych.

— Dziedzice — przemknęło przez myśl wieśniaczki, i na chwilę ogarnęła ją obywatelska wdzięczność ku Ćwikle.

Środy — ciche, średnie pracownice, do środka tygodnia wgniecione, z dwóch boków otłukane, do ponizeń i terań wszelkich przywykłe, pochylone, brzemienne rezygnacją i włożoną na nie przez społeczeństwo odpowiedzialnością za nierobaczywy stan potomstwa; niektóre wigilijne, z postem, twarz miały chorobliwie mizerną, ale mimo to uśmiechały się, skacząc pod musem batutników.

— Zupełnie jak gruszki przy owocobranii otłukane i trzęsione — rzekła do siebie purchawka.

Czwartki — bezmyślni najmici do ślepego wykonywania rozkazów, nader cenni jako woły robocze, które, prócz orki, jeszcze zmuszone są hodować mięso na



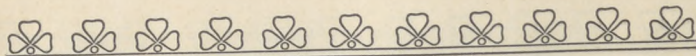
uczczę swym najemcom, ale dostają zato podwyżki, sochy nowe i uprząż, a nieraz i klapnięcia pieszczotliwe, na wydajność sił korzystnie wpływające. Tańczyły powoli, pracowicie i bez wdzięku, wtorkom właściwego; pot im przeciekał przez trykoty na zgięciach powypychane i naokoło goleni obwisłe nakształt obwarzanków: łby miały pospuszczane.

— A to znów będą krowy i woły; chodzą tak niemrawo, że tylko patrzeć, jak który nadeśnie.

Piątki — dni wstrzemięźliwości rytualnej, suche, brzydkie, chude, rumieniące się na widok mięsa, sztywnie skromne, wstydlive przesadnie i robiące plotki na sztukę piękną z mięsem nagiem; każdy piątek był zaopatrzony w liść figowy, na znak prześladowania nieprzyzwoitości, w brzytwę do golenia zaobfitych i nieumiarkowanie bujnych włosów, i w nożyce do wycinania miejsc niemoralnych. Tańczyły z rękami skrzyżowanymi na piersiach i ze schowanymi w głąb nieetycznymi środkami ciała.

Ależ te piątki są na nic zepsute — znalazła purchawka, gdyż dla niej zepsuć się — znaczyło wyschnąć.

— Soboty — przepracowane łachmaniarki, w sukniach wyszarzanych, pomiętych, brudnych, gorączkową nadzieją wypoczęcia i zamożności wstrzymywane od upadku; niektóre, słabsze, znieść pracy tygodniowej nie-

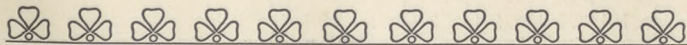


zdolne, w oczekiwaniu jutra niedzielnego, porozpuszczały już włosy, ubiór i obyczajność, i tańczą wściekle w niedbałych i bezwstydnym pozach, z nieprzytomną biernością ulicznych nierządnic i z jednym, jedynym, czującym i czynnym pragnieniem zysku.

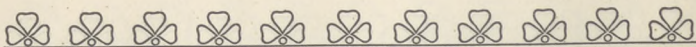
— Podobne do sadownika i pachciarza: nędzne to, ale chciwie zbiera owoce i nie ceni trawy, ani powabu listka, ani wdzięku purchawek...

Niedziele — kobiety już całkiem rozpustne, do wszelkich mięs rozgrzeszone, społecznym światowościom oddane, do zabaw należące publicznych, prywatnych i ściśle gabinetowych, w dobranem kółku z niewielu, najwyżej dwóch, trzech ogniw złożonem, i przy drzwiach zamkniętych. Postrojone były w jedwabie i koronki, najprzeróżniejszymi woniami skropione i mieniające się od klejnotów. Ich taniec był pozornie bez brykań, bez łamania się w pasach, bez drgawek bioder i bez sięgania sobie paluszkami nóg do czoła; ale postawą, oczyma, ruchem ogółu linii oraz jakimś takim milczącym przystaniem na najnieprzystojniejsze zamiary i cele, doprowadzały tancerzów swych do wyłączenia ze skóry czyli z trykotów, i do rozłaczania przed nimi najgorętszych mimicznych zakochaności.

— A to znów niby motyle, takie ładne i różnobarwne — szepnęła purchawka, czując w sobie napływ

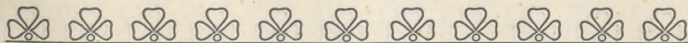


nostalgii za rodzinnym ogrodem... — motyle, gonione przez dziedzicowe dzieci... i niewiadomo, co ładniejsze: czy te motyle do fruwających listków podobne, czy ta dziedzicówna ze słomianymi, kłopotliwie dużymi warkoczami i z bratem o czerwonych, podrapanych łydkach, za nią biegającym. Żeby jeno nie zapędzili się pod kierz i nie zgnetli... Szczęśliwe — one: sadownikowi nie wolno ich deptać, a pewno i pachciarz ma to zabronione... Czemu sadownicy tak nie lubią purchawek? Pewnie dlatego, że tacy brudni i czarni, a one — białe... Raz, gdy dziedzicównie zdarzyło się upaść tuż przy jej krzaku, widziała białą spódniczkę i bielsze, a może tylko żywsze ciało dziewczynki, i porównała je z białością swoją: była bielsza ona, purchawka... Dziedzic, ten na niej umiał się poznać i przysłał do miasta. Czy to lepiej?... Żał jej wsi, ale tam nie dziś to jutroby ją zdeptali, a tu poznała się z grzecznym panem i wykształconym jakimś... Sławę jej zapowiedział... Cudowności tu można oglądać... A co do owoców... innych prócz kłosa zniszczonego i dziewczyny z rybim ogonem, nie widać, ale pewno gdzieś być muszą, bo gdzie owoce, tam i żydzi, a tych tu pono nie brak, przynajmniej ze słów grzecznego pana to widać... Tylko muszą być dla purchawek lepsi od sadowników: inaczej greczny pan nie obiecywałby ich poparcia...



Balet tańczył. Na tle siedmiorakich dni tygodnia odrzynał się kierowniczy sztab dygnitaryatu: baletmistrze, pracobiorcy, tancmajstrzy, batutowcy, dyrygenci, wskaziciela, reżyserzy, i obyczajnościowo - pięknościowościowi krytycy.

Role tych najważniejszych w balecie osób odgrywane były przez wszystkie doroczne festyny okolicznościowe, jako to: jubileusze (z mów deklamacyjnością, ze szlachtowaniem stu byków, z ogniem bengalskim, z urostem serc i notaryalnym uznaniem); składkowe obchody (z truflami, majonezem, »pomarańczami«, ostrygami i ze złożeniem srebrnej papierošnicy); rocznice (z nawalem powinszowań, całujących warg, opłyniętych dostojeństwem lic, uwłosień posiwiałych pod brzemieniem zasług i gorącego ciepła); imieniny (z laurkami dzieci, z wystawnym obiadem, z dopuszczeniem biednych ciotek, z popisami kuzynków, z win nadużyciem, z tańcami i z potajemnem rzyganiem); oktawy (z tłustymi środkami matron, z prawicami poetów okolicznościowościowych, lewicami krytyków społecznościowościowych i wywiadowców pięknościowościowych); kommemoracje czyli przypominki zasług »niezapomnianych« (z wydaniem dzieł na korzyść wydawców i z fundacyami na chwałę inicjatorów); zebrania kawalerskie (z kawalerkami, z opowiadaniem anegdot nieprawdopodobnie ożywiających, z jał-

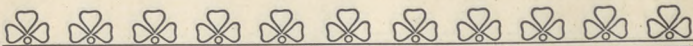


mużniczem potrącaniem historii oraz literatury, z poezją pornokryficzna, z pijackiem żądaniem wskazań etycznych i z rzyganiem jawnem); tłumne zbiegowiska (z gniecieniem żeber i rozdeptywaniem dzieci i nagniotków, z obrywaniem pól i całości, z wyrzucaniem kapełuszy, z puszczeniem i chwytaniem wianków)...

Dni te przewódcze, z dawien dawna zasobnemu i wylewnemu poświęcone weselu, ale na trzeźwo pełne godności i uroczystego namaszczenia, teraz, wzięwszy się pod boki, naczelnikowały, każąc dniom codziennym zwiąć się i starać, popędzały je, nagliły i stosowały do nich różne imperatywy, do harców i kołowań podniecające.

Muzykę do tego baletu świąteczno-codziennego stanowiło brzęczenie szyb okiennych, turkot uliczny, łomot maszyn rotacyjnych, stukot zegarów i chrapanie dyżur mającego wywiednika, który jednakże budził się czasem i poprawiwszy pióro, z za ucha mu wypadłe, znów brał się do »liczenia żydów«, ślepy i głuchy na wszelką fantastyczność dziwaczną i niepożywną.

A purchawce, choć purchawki nie sypiają, zdawało się, że śni — tyle to widowisko nocno-ranne miało w sobie stron niewytłómaczonych, ani w porównaniu z cichym bytem wsi, ani nawet przy zestawieniu z życiem miejskiem, przynajmniej z tem, które poznała



dotąd — życiem w takie nadzwyczajności zasobnem, jak dziewica z rybiem przedłużeniem ogonowej chrząstki.

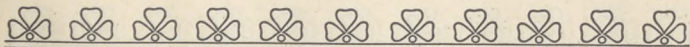
— Rrrrrrrrond! — krzyczeli odświętni wodzirejowie. — *Tour de jours!* — *A demain!* — *Travaillez!* — *Journaillez!* — *Avancez!* — *Saluez vos patrons!* — *Aboyez contre la lune!* — *Taisez-vous!* — *A deux pattes!*...

Brzęczały szyby, turkot dolatywał z ulic, huczały maszyny rotacyjne... A niekiedy wszystko cichło. Wówczas wielki redakcyjny czasomierz z wyrachowaną tendencją i taktem cykał: tek-tak! tek-tak! tek-tak!

Fantasmagorya ta, ku zachwytowi purchasek, trwała w najlepsze, gdy wtem, w przestrzeni zaokiennej rozległ się donośny, rozkazujący gwizd jeden, drugi, trzeci... dziesiąty... a w gwizdzie tym najwyraźniej słysząc było wyraz: s-iiiiiii-ła!

I musiało zawierać to gwizdane hasło jakąś potęgę, skoro na wrzask jego ostrego wycia, rozpląsany, rozkołowany balet, nagle, jak gdyby go przekłuto, zamarł, oddał powietrzu redakcyjnemu tchnienie i wrócił do swoich służbowych w kalendarzu przeznaczeń.

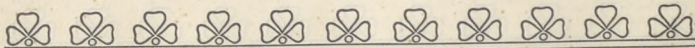
Na mieście było już widno. Turkot wzmógł się. Gwizdały fabryki... Purchasek widziała przez okno, jak w zasusfalonych, obwarzankowato zwisających ubraniach szły gromadkami niewyspane, gorączkowo śpieszące się, ze sterczącymi w kieszeniach lub niesionymi blaszan-



kami — czwartki. Szły one w kierunku tkwiących za miastem, jak olbrzymie włócznie, kominów fabrycznych, które dymiły i dymami zagasały młode, zorzane niebo.

Zbudził się i Ranoskrobski, ziewnął, podszedł do ściany, zdarł z kalendarza wczoraj i rzucił je w kosz redakcyjny, jako rzecz na nic już nieprzydatną, prócz chyba na wspominki, oktawy i rocznice.

W miasto wszedł dzień dzisiejszy, zastosowany do wszelkich wymagań »społecznej« sztuki miejskiej. Więc niebo było chwilami całkiem pozbawione pesymizmu, a jeżeli napływały jakie chmurki, to nieliczne i, z najwidoczniejszym zaznaczeniem swych pogodnych dążeń, przybierały układ skromny, bez wysoków, bez cudaczných symbolów i alegoryi, bez »wy-potworniania« form zwykle używanych, i o kolorycie najbardziej przechodzonym—asfaltowym. Co do słońca—trzymało się ono ściśle wskazań ustopniowanych ciepłometrów, zdrowych, nie zwyrodniałych jeszcze, z pospolitym, przez wszystkich już przyjętym zasobem rtęci i próżni. Drzewa nawet, gwoli nadania im cech społecznienia, były przycięte, odrutowane i powleczone szarym kurzem, snadź dla zatarcia barw żywszych, mogących coś wyrażać; natomiast wszystkie były piętnowane, ażeby się im na zawsze odechciało jakichś mo-



dernistycznych odświeżeń. Takie same piętna powyciśkane były na kamienicach, na dniach w kalendarzu i na numerach gazety, a to gwoli trwalszemu urostowi obywatelskich optymizmów.

Takim to dniem porządnym, jakoteż białością kawy rannej, ogół, do wielkich, o szerokim oddechu, wzruszeń moralnych usposobiony, czytał:

...»Olbrzymia purchawka. (Oddech pierwszy, zapowiedni).

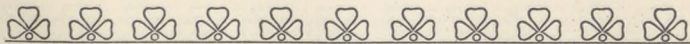
»W oknie kantoru głównego naszego pisma pomieściliśmy olbrzymich rozmiarów purchawkę — *Lycoperdon giganteum*. (Oddech drugi — budzielski, trzeci — ciekawościowy, i czwarty — zdumieniowy).

»Wyrosła ona w majętności JW. Ćwikły, Fetory Wielkie. (Oddech piąty — pamięciochłonny, i szósty — swojsko-dumnościowy).

»Purchawka ta wyrosła przed tygodniem w ogrodzie. (Oddech siódmy — genetyczny).

»Tamże można dostać buraków ćwikłowych na *hurt* i na *detal*. (Oddech ósmy — oktawa)».

Skoro wzmianki tej doniosłość przeniknęła w obywatelstwo — a przeniknęła szybciej, niżli spożyta, łącznie z zakąskami, kawa podniecająco-zdawczy swój odbywa przebieg, — natychmiast ku redakcyjnemu oknu zaczęły się pochody z wyrzucaniem czapek, z urywaniem falban

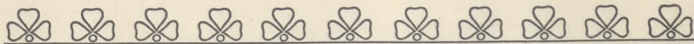


i pół, z gniecieniem i chrzęstem całości spódnic, jakoteż z rozdeptywaniem dzieci. Drąg z mosiądzu, aczkolwiek dętego, wszelako dość stanowczą kładł tamę przed naskiem rzeszy; inaczej obywatelowi, pilniej wglądającemu w bieg wypadków, trudno byłoby ustrzedz się złowróbnych przewidywań co do niezbitości szyby okiennej, na której i tak już jakiś ulicznik, z ciżby korzystając, wyrznął brylantem ten zagadkowy i niewiadomo co oznaczać mający dwumian: »Pukawka Warszawska«.

IV.

Purchawka, prócz tych ogłędzin pospolitego, zewnętrznie na rzecz patrzącego ogółu, była przedmiotem i bliższych, poufalszych wywiadów, zaprawionych ciepłym, serdecznym, z przewodu pokarmowego idącym oddechem. Bywalcy redakcyjni, siwi ze znawstwa społeczno-pięknościowościowego, stronnicy i popiecznicy zaufańsi, protektorzy, mecenasi, współnicy cisi oraz jawni, tytułem nadzwyczajnego, dodatkowego *premium*, mogli purchawkę badać, wypytywać, roztrząsać, dotykać i klepać, stosownie do stanu swego osobistego rozciekawienia, któremu jednak winien był przewodniczyć cel ogólnego, społecznego dobra.

Niektórzy z gości, o skromniejszym popędzie wy-



wiadowczym, a więc i o słabszej idei ogólnej, przypatrywali się jeno purchawce, lub zadawszy jej kilka niezbędnych, utartych pytań o ubiegły, obecny i przyszły stan wszechświata, mieli dosyć; inni, szczegółowisi, bardziej ogółowi chcący służyć i już znacznym pocztem zasług względem niego położonych wytrawni, badali ją ze ścisłością większą, zadając jej pytania natury tak osobistej, do głębi sięgającej, że aż nieprzyzwoicie o tem mówić.

— Co pani sądzi o wpływie sztuki na społeczeństwo? — badał feljetonista Miłoskrobski.

— O wpływie sztuki?... — namyślała się purchawka. — O wpływie sztuki nie mogę sądzić, ale feljeton o sztuce...

— A, feljeton?... no cóż? — drgnął ciekawie badacz.

— Zrazu rusza... ale potem...

— Cóż potem? no no?...

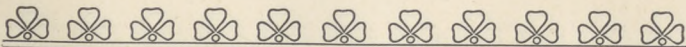
— Pan daruje, ale tak trudno mi mówić.

— W imię dobra ogółu, powiedz pani.

— Niech już lepiej woźny panu to opowie—rzekła purchawka całkiem zawstydzona.

Feljetonista, z ogniem w oczach, wybiegł indagować Tomasza, ale już nie wrócił.

Jego miejsce zajął najzasłużeńszy pono i naj-



ruchliwszy członek redakcyi, pan Ogółoduch. Ale ten postąpił z purchawką jeszcze osobiściej.

— Co pani sądzi o szczęściu? — spytał między innymi, patrząc z pod oka na jej białe wypukłości.

— Czy ja wiem? — rzekła zmęczonym głosem wieśniaczka — może... być na wsi i leżeć pod krzakiem, albo w trawie zielonej...

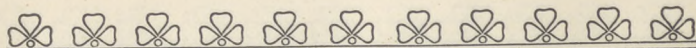
— Hm, hm?... A obowiązki? a zadania? a potrzeby społeczne?... Oj, pstro w główce, pstro!...

— Ach, dobry panie, ja tak mało mam potrzeb społecznych... Ani męża nie mam, ani owoców, ani...

— Ale masz — tu Ogółoduch zniżył głos do szeptu — masz taką białość, która... która jest potrzebą ogólną i warto ją spotrzebować...

To mówiąc, tak jakoś znienacka i ogólnie schwycał purchawkę za białość, że aż z oburzenia, wstydu i strachu krzyknęła i zemdląła.

W redakcyi zrobił się zamęt. Wszyscy dyskretni poplecznicy, którzy powychodzili byli z pokoju, przybiegli, a w ich liczbie Tomasz, najprzytomniejszy, bo z feljetonem. Feljeton był tym razem niedzielny, silniej działający, i w jakiejś butelce z nalepioną etykietą: »strach na wróble, przeszkadzające korzystać ze smacznych i pożywnych owoców«. Prócz feljetonu, Tomasz dźwigał (i włókł częściowo) ów przyrząd hydrauliczny,



którego już skutków zdrowotnych doświadczał król Ryszard Lwie-Serce, za czasów obłączniczych niestrawności pod Jerozolimą.

Skrzętne zastosowanie tych dwóch unarodowionych środków (stracha na wróble i enemy Lwiego - Serca) wróciło purchawce przytomność i trochę sił życiowych, ale niestety, zaufanie jej ku opiekunom, jak barwa zmiętoszonego motyla, uległo starciu.

Nawet najbliższy jej tu »grzeczny pan«, któremu zawdzięczała wydobyć z paki i otrzeć z otrąb, nie mógł jej utraconej wiary w ogół przywrócić. Ważne jakieś obowiązki trzymały go na mieście, i w wypadkach wyżej opisanych udziału nie brał. Gdy wrócił, i purchawka z płaczem opowiedziała mu wszystko — i wyczerpujące nudy pytań, i owo targnięcie się na jej białość, wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— Głupstwo barwa! Grunt — ciepło i serca bicie ku ogólnemu dobru. Ot, wiesz co?... ale zgadnij?... Familienszternostwo, na moje trzy słowa, urządzają dla ciebie specjalny raut — spe-cy-al-ny!... Cóż ty na to?

— Ach, takbym już chciała być na wsi... Raut?... Nie, nie pójdę.

— Pójdiesz — rzekł twardo rautoman. A gdy purchawka, niemile tą twardością zdziwiona, milczała, dodał: — Przedewszystkiem ogół.



— Ogól? Mam dość tego ogólu. Nie pójdę.

— Pójdiesz, albo cię zgniotę. Raut — aut!

I sylf podniósł groźnie kułak.

Biedna purchawka, ujrzawszy ten symbol zależności, a głównie dotknięta szorstkim tonem, który nagle z pod ogólnych ciepłostek jej grzecznego opiekuna zionął, jakoby z piwnicy, gdzie się nagromadzone dobro ogólne przechowuje, biedna purchawka upadła na duchu i szepnęła z poddaniem:

— To już niech będzie... ten raut.

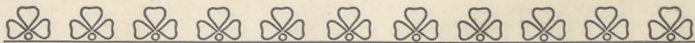
— *Fertig!* — zawołał zwycięzca. *Avancez! Saluez vos patrons!*... Idziemy.

V.

Wieczorem, w godzinach rautowych przyjęć, wszechmożny rozprowadzacz kleksów szedł z purchawką i pilnie baczył, żeby jej, teraz już jako dobro ogólne, nie przejechało lub nie zakleksowano błotem. Gdy obzierała się, czy gdzie nie zoczy sadowników, ku którym prosił, czy gdzie nie zoczył, że w mieście ich nie ma, a jeżeli są, to chodzą jak sami dziedzice, albo i lepiej.

— Dlaczego? — spytała. — Czy tu tak dużo owoców?... Nigdzie ich nie widzę.

— Dziecko! Owoców nie widzisz, bo wszystkie



idą na sprzedaż. Tu nic darmo na bruk nie spada, nawet śmiecie i stare odpadki, nawet stara, zużyta poezja z kleksami... Gdy kleks... nie — sadownik twój nasprzedaje tego, wówczas goli brodę, obcina poły, i jest obywatelem.

— Połowicznym? — spytała naiwnie i mimowoli.

— Patrzaj, to nieźle powiedziane... byłoby w innych warunkach. Połowiczny, bo bez połowy pół. Nieźle... w oderwaniu, w innych warunkach... Tylko, proszę cię, takich dowcipów drugi raz nie powtarzaj! Połowiczny, czy nie połowiczny — jest całym dziedzicem i *fertig*.

— Dziwne...

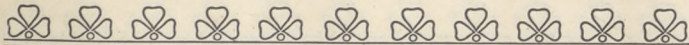
— Jakto dziwne? A spryt? a zabiegłość? a ruchliwość? a obrót kapitałów?... To nie dziedzictwo? I nie piękne dziedzictwo?

— Naturalnie — poprawiła się purchawka przez uległość i małe w tych rzeczach rozumienie.

— Taki naprzykład Familienstern Joachim?... Myślisz, że on nie pięknie trzęsie, już nie gruszkami, jak twój sadownik, ale samymi dziedzicami, właścicielami grubych, spróchniałych drzew genealogicznych?... Tak trzęsie, że wszystkie owoce spadają na jego podwórko.

— I leżą tam? To dlatego ich nie widać na ulicy?

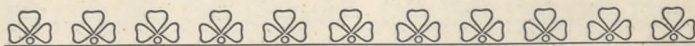
— Dziecko! Gdyby owoce leżały, toby zgniły. Tu



właśnie przychodzi obrót kapitałów. Owoce te, odleżałsze, składa się na ołtarzu publicznego dobra, co w zamian sownie się opłaca, ponieważ daje Familiensternowi możliwość życia w wielkiej harmonii ze społeczeństwem. A to mu potrzebne dla zdrowia, bo jest bardzo sercowy i nie mógłby wyżyć bez uznania wszystkich jubilatów, genealogów i godowców...

— Godowców?... Któż to jest?

— Kiedy mi przerywasz. A tak mi się zaokrągliła charakterystyka, że tylko składać i na maszynę... Godowcy to są filantropowie, którzy przez nadmiar spożytych owoców za zabawami przepadając, z drugiej strony nie chcą, by przepadł ogół, i dlatego połączyli taktownie jedno z drugim, i zajmują się urządzaniem godów, jubileuszów i uroczystości dla dobra ogółu. Sam Familienstern jest po części godowcem, bo i on dba o zabawę ogółu ideowo, dając liczne u siebie koncerty i rauty. Ale jak wszyscy ludzie z poświęceniem, żyje, co do własnej osoby, umiarkowanie, prawie ascetycznie. Czy wiesz, że chodząc tak koło owoców, sam na swoją potrzebę ich nie używa. Melony tylko lubi pasyami, to jego słabostka, a i któż bez niej? I patrz, co za dziwny ten ogół: cały bez wyjątku łakotny, za użyciem goniący i pełen zdrożności, a nikomu, nawet swemu dobroczyńcy, ich nie wybacza! Za ten smak do

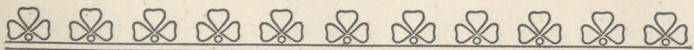


melonów czy wiesz, jako nazywają Familiensterna?...
Me-lo-no-ma-nem!

— Dziwne — rzekła purchawka.

— Jakto dziwne?... Nie — rzeczywiście to jest
dziwne.

Tak rozmawiając, weszli w gościnne progi miłośnika melonów i trafili na chwilę, kiedy właśnie co tylko został jeden taki melon spożyty, tak, że jeszcze woń tego egzotycznego, ale od czasów wypraw krzyżowych unarodowionego owocu zalatywała i mieszała się z dogasającym wtórem do jakiejś też co tylko skończonej melodyi. Śpiewak, O md'Leon Mellone (potomek króla Ryszarda z nieprawego serca — doszeptywał na ucho gospodarz, przedstawiając go: — urodzony w Irlandyi, kształcony we Włoszech!) odśpiewał był cudną, pełną gorącego ciepła dumkę angielską o niejakim Robin-Hood'zie, który ze swymi *merrymen*'ami, czyli optymistami (*as they were called*), tak optymistycznie i sprytnie zajmował się bandytyzmem, że zasłużył sobie na względy i uznanie samego króla Ryszarda Lwie-Serce. Odśpiewawszy pieśń, Mellone, teraz na wszystkie strony błyskał gorsem i dziękował za brawa i różne inne oznaki rozrzewnień. Wtórzysta, ociągając się ze wstaniem od melodykonu, jedną rękę miał zajęłą przebieraniem w czarnych, jak atrament, i zestroszonych, nakształt jarmużu,



włosach, lub też skubał nią wąsy, na jego bladą twarz, niby kleksy, chlapnięte; drugiej zaś ręki palcami gmerał w klawiszach, oddając pierwszeństwo czarno-melancholijnym... W salonie zapanował jakiś smętek eklezjastyczny, jakaś nieukojność Robin'owskich pragnień, bezowocność nasycenia wszelkim owocem, chociażby to był melon najśłodszy, i znikomość najtrwalszej przyjaźni z królami...

Wejście nowego, a poniekąd głównego dziś gościa, purchawki, wraz z jej opiekunem, przerwało ten nastrój sercowy. Gospodarz oddał lokajowi spodek z melonem, wstał i przywitał purchawkę nader ciepło i serdecznie, jako dobrą znajomą. Następnie, wszem wobec ją przedstawiwszy, oprowadzał, zaznajamiając kolejno z najpiękniejszymi ozdobami swego salonu.

Było tu trochę arystokracji, trochę finansów, trochę ambasady, trochę literatury i trochę sztuki. Większość była w smokingach, czyli kurteczkach bez pól, połowicznie a nawet i ćwierci organizmu nie przyodziewających.

Arystokratom przedstawiona była purchawka wszystkim: i baronowi Akcyonaszowi, i trzem głowom trzech pokoleń Jubileuszów, i hrabinie Oktawie, i hrabiemu Festynowi i Rocznicy Zwykłej i Rocznicy Przystępnej, i wszystkim innym bez wyjątku, ponieważ arystokracja,

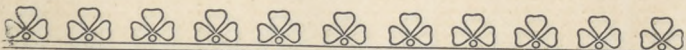


złotu podobna, czy w mniejszej czy w większej ilości — zawsze ma swoją wartość sprzedażną.

Inaczej z finansami. Tu ma salonowe znaczenie tylko grubość, tłuściość lub żarłoczność, posunięte do najdalszych, prawem dozwolonych granic. Dlatego bliżej klepnąć purchawkę mogli tylko niektórzy, jak Bauch, Fett, Hajfisz, Dywidenda i Kajman.

Co do ambasady, to ze względów polityki międzynarodowej, niedyplomatycznie byłoby kogoś pominąć. Więc też gospodarz, z grzecznym i równomiernie ciepłym wyrazem, rzucał purchawce wszystkie ich po cudzoziemsku brzmiące i obcopoddańcze, ale z dawien dawna w serdeczności narodowej osiedlone nazwiska: Persstern, Hondurasberg, Honolilien, Palestynat, Heim, Stein i Berdyczew.

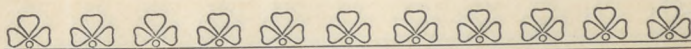
Trochę literatury purchawka już znała: z Rano-skrobskim spędziła noc, Miłoskrobskiego feljeton dotąd jej się, jako pełne przykrego wstydu wspomnienie, odbijał; Rano-skrobski naskrobał o niej wzmiankę i poza tem, sennością trapiiony, nie miał pochopu do czulszych wywiadów i był jej miły; Miłoskrobski zaś, najwidoczniej wskutek zeznań Tomasza, patrzył na nią złem okiem, tylko jednym i tylko z góry. Co do innych, albo przelotnie widzianych, albo zgoła obcych literatów, poetów i artystów, byli przedstawieni jej panowie:



Doremiskrobski, Mikrobski, Skrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski.

Nie licząc O mł'Leona Mellone, jego wtórzysty o włosach jak jarmuż, imitatora międzynarodowych pieśni dziadowskich, ur Weselyi'ego, czecha kształconego na Węgrzech, prócz pp. Swojera i Rypindra, wykonawców opery narodowej »Upiór Wojewody« (w kawałkach) — najgłówniejszym sztuki popisowej okazielem był specjalnie uproszony Amfitryniusz Wołoduch.

Ten ostatni, rozpatrywany jako zjawisko społeczne, był okrągławy, nieduży i czerstwy, a z taką tych cech równomiernością, która nie dając mu dźwigać »młotka pracy« na własnych barach, wkładała mu na nie — zali nie cięższe? — posłannictwo kierowania trzonkiem ku najśrednicowszym, najowocniejszemu pożytkom; z oczu wyczierała mu rozsądna, bez palączki i łapcapesu pobudliwa jarość: nie był jak ci łakomi, co dobra ogólnego się dorwawszy, chodzą ze czkaniem albo i gorzej, i nie był jak owi, którzy z dóbr wyzuci, na czczościach cieńszeją: żył pożywnie lecz bez grymasów; przeto — nawet dziś — kiedy wszystkie stopnie wywiednictwa przeszedłszy, miał objąć posadę starszego uwiednika i już siwiał, — nawet dziś, jak mówiono, o ile mu regulamin i rozwaga nakazywały trzonka ruszać, nawet i dziś nieruszona część dóbr



społecznych wyciągała ku niemu klucze od najosobistszego wywiadu.

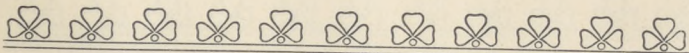
Na purchawkę spojrział uważnie, badając, jakąby z niej mógł mieć owocność? Ale przyzwyczajony działać z taktem i z zastanowieniem, na razie nic nie rzekł, zlekka tylko jej białej skórki dotknął, a tak w miarę, tak dobrze i subtelnie, że przypomniał jej motyla, ogród... I wpadła w nastrój jakiś taki dziwnie oddawczy: coś ją popychało do Wołoducha i szeptało: powierz mu biel naskórka i wszystko: on to oszacuje w miarę, jak nikt, do dna sięgnie a nie przeceni... odnajdziesz siebie...

— Co pani woli? — zagadnął gospodarz — czy pieśni dziadowskie, czy kawałek opery, czy też od razu przystąpimy do łaskawie zapowiedzianej nam przez pana Wołoducha improwizacji?

— Wybierz to ostatnie — szepnął jej do ucha opiekun — dasz dowód smaku i zasłużysz się wpływowej osobistości.

— To niech już będzie ta impro...

— Impro... Bardzo dobrze! — zawołał gospodarz i splecionymi dłońmi wyłogów smokinga dotykając, połowicznie zgięty, podszedł do improwizatora i z miłą sugestywnością zgodę onegoż wymodliwszy, dał znak gościom do zajęcia miejsc najwygodniejszych, do ocukrzenia świeżo nalanej kawy i do przerwania rozmów.



VI.

Na grzbiet berżerki pulchną i bez kostek rękę
położywszy, i głaszcząc aksamit, jakoby to był karczek
uwodzonej damy, improwizator tak zaczął:

Poezya blada
Piękności szuka,
Lecz nie posiada:
Użyć — to sztuka!

— Brawo! brawo! — odezwały się liczne głosy,
odrazu wzięte.

— Co za spryt wystowienia! Jaki wdzięk fran-
cuski!

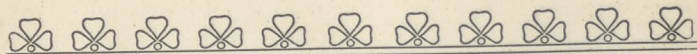
— »Lecz nie posiada«, słyszałeś pan?... *c'est
parfait!*

— Pst, panowie, proszę nie przerywać: *das kommt
später...* — prosił gospodarz, zwracając się do amba-
sadorów.

— Pst, pst!...

Poezya kradnie
Piękno jak zbrodzień:
A my się ładnie
Bawimy codzień.

— *Nota bene, wenn mann Kann* — szepnął otyły
Fett (finanse) do Kajfisa (*item*).



Powszednia blaga
 Sił nie wymaga
 I daje święte
Dolce far niente.

— O nas mowa — rzekł literat Skrobski do ucha Kropskiemu. Obaj panowie zadarli głów i wyprostowali się. Toż samo porozumiawcze zdanie zostało wymienione pomiędzy poetami Pskim a Psikiem i Mikrobskim a Piskim, przyczem dwaj ostatni panowie, prócz zadarcia głów, łyknęli jeszcze kawy. Tylko siedzący z boku literat Siewka pomyślał, że jemu nie tak znów łatwo jest i bezpiecznie wyjmować codzien glisty z jamy ustnej Kajmana.

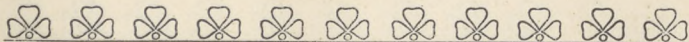
O nad-etyczna
 Słodkości tycia,
 Tyś to wytyczna
 Naszego życia.

— To jest powiedziane mocno — rzekł półgłosem Festyn, arystokrata, do hrabiny Rocznicy Przystępnej.

— *Oui, c'est trop fort* — odmruknęła Rocznicza.

— *Muss einer nach Karlsbad* — pomyślał Bauch (finansista) zupełnie cicho.

Kto dmie z tej dudki,
 Jest weselutki
 I zdrow jak rydz: je
 Wszystkie prymicye.



— O nas mowa — rzekli znów do siebie literaci, poeci i artyści: Doremiskrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski, przyczem zadarli głów i popili kaw.

— No, no, no, to jest chybnięte — rzekł Dywidenda do Kajmana: — zawsze tam z tych prymicyi zostanie coś i dla nas do podziału, he, he, he...

Kajman w odpowiedzi rozwarł usta, błysnął w czerstwości twarzy białkami wielkich zębów, kłapnął niemi i rzekł:

— Hm!

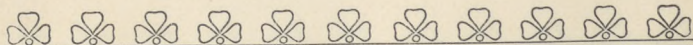
Poezya chora
Nas nie omami
Per Bacco! fora
Z pesymizmami!

— Wie pani hrabina, jabym każdego pesymistę piętnował — zauważył Szelağ, bardzo wytarty w świecie pedagog, do hrabiny Oktawy, której dzieci uczył optymizmu.

— *Pourquoi fair?* — zdziwiła się hrabina.

Gdy życie tętni,
On najnamiętniej
Śni o dusz kulcie...
A niech zje ból cię!

— O, niech ich ból trzaśnie, niech ich napiętnuje — mówił dalej zawzięty pedagog. — Słyszała pani hrabina:



»on najnamiętniej śni o dusz kulcie«. Toż to najoczywistsza ruja i porubstwo!

— Ruja? *qu'est ce?*

— Ruja to, z przeproszeniem pani hrabiny, konkubinat, a porubstwo, według słownika wileńskiego, to zdrada małżeńska. Pojmuje pani hrabina, że rozszerzanie takich tendencji wprost gubi młodzież i prowadzi społeczeństwo do konkubinatu.

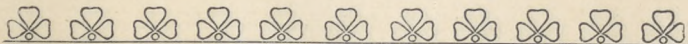
— Pst! pst! prosił gospodarz.

Gdyby się skrzepłem
Dusz kultem żyło,
Cobym ja z ciepłem
Robił? co siłą?

Do psa się chmurzyć!
Hej — życie wędnie:
Dbajmy, jak użyć
W bród a oględnie!

Łzy? płacze?... Ach, nie!
Niech mi zapachnie
Pończoszka, tiulem,
To się rozczulę.

W głąb sięgać chwatszy!...
O, niech popatrzy
Taki ciemięga,
Jak się to sięga!

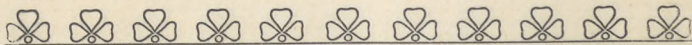


Tu zgromadzenie, nie wyłączając poważnego Szelağa, wstrząsnął jeden dreszcz, i wszyscy, jak na komendę, mlasnęli językami i przełknęli ślinę. Literat Skrobski i poeta Piski zaczęli na nutę operetkową przywtarzać sobie »Jak się to sięga«, co słysząc O md'Leon Mellone, choć nie rozumiał słów, też zawtórował i zamlaskał, a to znów pociągnęło do wtóru wtórzystę; przykład ten zaraził Kajmana, cieszącego się soczystym barytonem, Akcyonaszę, Bauchę i Dywidendę... zanucił i hrabia Festyn, i najmłodszy z Jubileuszów, i Kana-lilien ambasador, i Heim... Tylko ze względu na dobry ton, milczała hrabina Oktawa i milczał Hajfisz, z powodów ichtiologicznych.

Nawet sam deklamator, nadzwyczajnie podniecony, gdy wrzawa nieco ucichła, z gorącym ciepłem w oczach recytował.

Hej, pod poziomy
 Sięgać aż do den,
 Gasić oskomy
 Na starą modę,
 Kryć ślad kopytek
 W pozór gołębi:
 To mi pożytek,
 To mi szczyt głębi!

— »Szczyt głębi« — nonsens — mruknął Sternik do milczącego Hajfiszę, swego pana.



Rafał d'Urbino,
Najgłębszy z mistrzy,
Oszukaniną
Żył, jak filistrzy.

W dzień konfitury
Słodził (miał popyt),
A w noc do góry
Zadzierał kopyt.

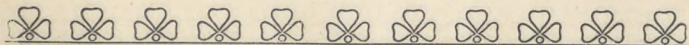
Śpieszmy więc bystrze
»Życ« całą chęcią
»Życia« my, mistrze
Minorum gentium.

Niech raz się utrą,
Te prawdy cztery:
Jedz, pij, gwałć, jutro
Wyciągniesz giry!

— Tfu, brzydkie słowa — szepnął Bauch do siebie,
zupełnie cicho.

Sypnęły się oklaski.

— Przyjmij pan moje zupełne powinszowanie —
rzekł wzruszony ambasador Honolilien. A i wszyscy
starali się jakkolwiek wyrazić *dank* improwizatorowi,
który pulchną, bez kostek, rączką batyst wyjąwszy,
ocierał czoło aureolą siwych włosów okolone.



VII.

Purchawka nie zdawała sobie sprawy z wrażeń. Było jej niedobrze i tęskno do wsi.

— Co pani sądzi o sztuce? — zagadnął najbliższy sąsiad, Sternik.

— Nie wiem — odparła cokolwiek opryskliwie — może to swoboda odejść, gdzie się podoba...

— Modernizm... Pani dawno w Warszawie?

— Od wczoraj.

— I już zarażona!... Pozwolę sobie zwrócić pani uwagę, że sztuka nie może być takim sobie lawirowaniem. Sztuka musi mieć kierunek... Sztuka musi być podporządkowana ogólnym, społecznym przepisom...

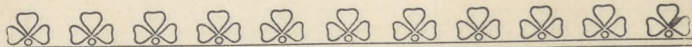
Purchawka zdobyła się na tyle sił, że kiwnęła na swego opiekuna.

— Proszę mnie wyprowadzić — szepnęła mu do ucha — mdli mnie.

I wyszli do niewielkiego buduaru, którego samotność i cisza zaraz ją wytrzeźwiły.

— No cóż, jakże znajdujesz raut?

— Nie... lepsza wieś. Zdaje mi się, że tu za dużo tej sztuki... I tacy tu wszyscy czarni. Tylko ten pan od impro... ma białe włosy i bardzo mi się podobał... taki miły w zetknięciu...



W tej chwili doleciały ich tony skocznych narzekañ jakiegoś bardzo skrzywdzonego mazura.

— »Upiór Wojewody«, opera swojska — chodź, nie wypada się odosabniać.

— Ach, proszę, błagam... zostaw mnie tu...

— Oj ty, purchawko — rzekł niechętnie opiekun i wyszedł.

Pupilka, zostawszy sama, odetchnęła z tak nieumiarkowanym zadowoleniem, na jakie tylko jej na próżniaczych odłogach wyrosła istota mogła się zdobyć. Samolubnie i cicho przeglądała sobie jakieś album z fotografiami. Było tam trochę arystokracji, trochę finansów, trochę literatury i dużo ambasadorów. Zatopiona w tem zajęciu, nagle poczuła coś jakby szelest motyla i woń owocowego drzewa.

— Nie przeszkadzam? — szepnął żarliwie Amfitynusz.

— Ach!

— Pani dawno pisuje w historii?... Mówił mi opiekun...

— Tak, nic wielkiego... trochę uwag...

— A uważa też pani na swoją białość? W sąsiedztwie atramentu tak łatwo o kleksa.

— Czy ja wiem?...

— A gdzie pani nocuje?



— Na wystawie.

— Tem bardziej. A szkoda byłoby... Takie to wszystko pani ma bielutkie... takie bielutkie... Można pogłaskać?... Tak... Czy ma też pani już ustalone zapatrywanie swoje na szczęście?

— Ja sędzę, że... przepraszam, pan mnie tak ścisnął?... sędzę, że szczęściem jest leżeć na słońcu, pić soki ziemne, kąpać się w deszczach, pachnieć... Pan ma taki miły zapach owocowy?...

— Owocowy?... owocny raczej: jestem dużo zajęty chodzeniem koło owoców... tak. Hm... zapach, jako szczęście? Możebym się i zgodził na to określenie, ale to dla mnie za mało. Dodajmy więc: i myśleć o ogóle... niechże się pani nie lęka... no... tak. To, co pani powiedziała o leżeniu i piciu, to jest szczęście, ale indywidualne, pasorzytne...

— A jakie jeszcze może być leżenie?

— Społeczne, wytwórcze — leżenie, w którym się jedno podporządkowuje drugiemu, mocniejszemu... i z tego powstaje wytwórczość i twórczość, która jest sztuką... No, nie bój się, przybliź do mnie tę swoją sztukę białą... wypukłą...

— Moja wypukłość jest sztuką?... Więc i ja jestem... ach!

— O tak, jest sztuką twoja białość taka biała,



taka... ale nie twoją sztuką, tylko tych, którzy ją pożą-
dają... Ja tak bardzo pożądam twojej białości... o, nie
broń się... nie broń mi... twojej wypukłej białości... tak
bardzo pożądam... pożądam twojej wypukłości... pla-
styki... plas... pla... pl... p...

Rozmowa umilkła, i nagle w buduarze dał się
słyszeć jakiś huk, coś jak upadek doniczki z kwiatami,
jak pęknięcie baloniku, piłki, struny skrzypcowej.

Do pokoju wpadło kilka osób i oczom ich przed-
stawił się wprost nieprzyzwoity widok. Purchawka, bar-
dzo blada, miejscami aż zielonawa, leżała na stoliku
i wyglądała tak, jakby ktoś na nią nadepnął, albo ją
przebódł. Czerwony Amfitryniusz nakładał binokle i był
tak niepoważnie ożywiony, jak Archimedes, kiedy z łaźni
wybieżał, krzycząc *heureka!*

Zapanowało kłopotliwe milczenie, którego nikt nie
śmiał przerywać. W ostatnich szeregach widzów ktoś
zaintonował półgłosem:

Niech no popatrzy,
Jak się to sięga!..

Zerwało się parę śmiechów.

— Przyjmij pan moje zupełne powinszowanie —
rzekł głośno ambasador Honolilien.

Wołoduch, utrwaliwszy nakoniec binokle, rzekł,
zwracając się do opiekuna purchawki:



— Pani zemdląa... cucilem...

Opiekun spojrział badawczo na Wołoducha i wolno powiedział:

— Tak, i u nas w redakcyi był ten wypadek... Ale tam jest Tomasz i wszystko, co potrzeba, przytem redakcyą, lokal publiczny... Tu zaś, panie Wołoduch, to... to — prywata!

Rzekłszy to wolnym i twardym głosem, spojrział w binokle Amfitryniuszowi, zabrał nieprzytomną purchawkę i wyszedł.

Na ruch i turkot powozu ocknęła się.

— Ja nie chcę... — szepnęła jakby w gorączce — ...Ach, uciec stąd... daleko od ogółu, od sztuki, od sławy...

Opiekun nachylił się, bezradny, zły na siebie za niedozór i niewiedzący, czem ukoić jej szept bólu i skargi.

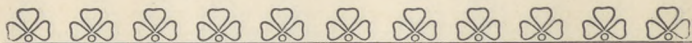
— Zdeptana!...

— No, no, dziecko... Przejedziemy zaraz... napijesz się feljetonu...

— Ach, nie chcę, nie chcę — rzuciła się purchawka, i, mimo osłabienia, ledwie nie wyskoczyła z powozu. — Dajcie mi umrzeć!...

— Dziecko!... nie mów o śmierci. Jeżeli chcesz, zawiozę cię na wieś, posadzimy cię w ogrodzie...

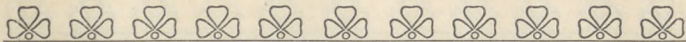
— Ach, tak!...



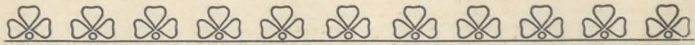
Gdy przyjechali do redakcyi, opiekun włożył purchawkę do dużego wazonu od oleandra (egzotycznej, ale od czasu wojen samnickich unarodowionej rośliny), i mimo wzdragań się, próśb i zakłęk, polał ją feljetonem, ponieważ wierzył w feljeton, jako w uniwersalny środek od wszelkich chorób społecznych, a więc i od dolegliwości osobniczych.

Purchawce zrobiło się gorzej. Schła i murszała w oczach. W nocy gorączka urosła i wystąpiły halucynacje. Opiekunowi, który czuwał przy niej, układając swoje artykuły codzienne, szeptała, że widzi jakąś polaną, niby łąkę, pełną zieleni, w mokradłach i topielach — niedostępną... Nikt tam nie może się wdrzeć i zdeptać jej, a ona obcuje tylko ze słońcem, bieleje coraz bardziej i staje się tak przejrzystą, że znika w przestrzeni, i że już tam nikomu na żadne pytania może nie odpowiadać... I nikt nie może jej białości zbrudzić... Nieuchwytna, z wonnym wiatrem, jako tchnienie umarłych ajerów polatuje nad łąkami...

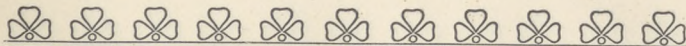
Nad ranem nie żyła.



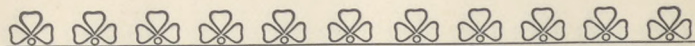
2



SOKRATES I OBRAZOPLUJCA



SOKRATES I OBRAZLOŽENJA



Koło godziny szóstej wieczorem, Sokrates wstał z grobu, poprawił nieco zbutwiałej chlamidy i przyszedł na wystawę sztuk pięknych.

— Pan roczny?

— Nie, wieczny — rzekł filozof, i lekko usunąwszy osłupiałego biletera, wkroczył do sali.

Przed wielkim obrazem, wystawiającym Poezyę, stał jakiś obywatel, wykrztuszał ze swego wnętrza masę plwocin i wycharkiwał ją na płótno.

— *Hoti pojejs, o patriota?* — spytał nieboszczyk.

— Hę?...

— Co czynisz, obywatelu?

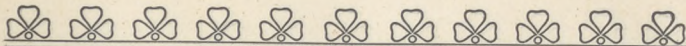
— Co?... Wyrażam sąd o obrazie.

— Czy cię obraża?

— Juścić, że obraża.

— *Epej moj...* powiedz mi dlaczego?

— Bo wyobraża Poezyę.



— Więc jeśliby obraz wystawiał co innego, tobyś nie pluł?

— Gdyby co innego?...

— Tak, gdyby co innego?...

— Gdyby co innego... to może... byłoby co innego, panie!

— Gdyby tak na obrazie wymalowany był obywatel?

— Malowany obywatel?

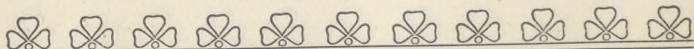
— Tak, obywatel malowany. Plułbyś?

— Gdyby obywatel namalowany był rzeczywiście realnie, bez żadnych, panie, impresyjności, bez karykatury, ale owszem idealizująco, z sercem, to nie, tobym nie pluł.

— Dobrze. Wyobraź więc sobie takiego realno-idealnego, lub jeśli wolisz, elementarno-alfabetycznego obywatela i odpowiedz mi z łaski swojej, co on robi?

— Nic nie robi, panie. Co ma robić? Od tego służba.

— Żartujesz, więc ja ci powiem, co robi obywatel. Obywatel orze, tańczy, używa cygarnicy rzeźbionej, gra w karty, jeździ konno i ma w salonie konterfekt dziadka, oraz grupę dzieci, czyli, robiąc i mając to, korzysta z niektórych sztuk, a mianowicie z bukoliki, baletnictwa, rzeźby, kartogramii, koniarstwa czyli hipiki po waszemu, nareszcie z konterfekcji



tudzież z grupomanii. Będiesz-że na te sztuki piękne pluł, Obrazoplujco?

— No... no nie.

— A powiedz-że mi teraz... *Pardon*, może za dużo pytam?

— Proszę, proszę.

— Powiedz mi tedy, kto wyżej stoi nad obywatelom?

— Wyżej?... Chyba prezes.

— Dobrze. Ale dlaczego?

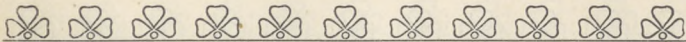
— Bo go wybrali.

— Słusznie, tylko dlaczegoż go wybrali?

— Bo miał najwięcej głosów.

— Też nie od rzeczy. Ale większość głosów to wszakże formalny objaw innej przyczyny, głębszej. W istocie wybrali prezesa dlatego, że miał swój głos najlepszy, że pięknie mówił. Bo chociażby najkorpulentniejszy był, najwężsatszy, chociażby najwięcej wydał na zjednanie sobie kresek, to jeżeli słowami swoich zalet domniemanych nie potrafi odmalować, jeżeli umiając nawet cały alfabet na wrywki, nie będzie umiał sylabizować, to go, pomimo całej kalokagaty¹⁾, nie obiorą. Czyż nie tak?

¹⁾ Kalokagatya znaczy dobroć duszy łącznie z dobrocią tuszy.



— No... no niby tak.

— A więc wyżej nad obywatela przeciętnego wzniosła się istota prezesa, dzięki pięknej sztuce krasomówczej. Będiesz-że ją za to opluwał?

— No, nie.

— Atoli uważaj, że mówca jest to tylko muzykant, który przez innych ułożone wygrywa kawałki. Cóż tedy gra prezes? Czemu przekonywa?

— Czemu?... czemu?...

— Do... do...

— A, dobremi winami.

— I to, ale głównie do... wodami. A treścią tych dowodów nie może być zmyślenie, tylko realność, nie poezya, tylko nauka, nie...

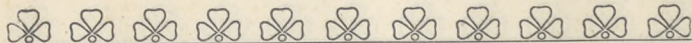
— Kiedy prezes, o ile wiem, w żadnych naukach się nie babrze.

— Tak, ale w szkołach będąc, babrał się i coś niecoś ze zdań powag naukowych pamięta i te zdania cytuje, a nawet nieraz, odrzucając na stronę wymagania swej pychy prezesowskiej, bije przed nauką czołem i zakłada instytutu. Zali nie tak?

— Juścić, że co nauka, to nauka.

— A widzisz. No, ale cóż wyżej stoi nad samą nauką?

— Profesor.



— Hm, nieźle, nieźle! Ani się domyślasz, jak nieźle! Teraz nie będę ci tego tłumaczył, bo musimy szukać prawdy inną drogą. Wiedz, a może wiesz to i sam, że są nauki różne: statystyka, przyroda, wróżbiarstwo, heraldyka... Otóż, czy niema takiej nauki, któraby była uogólnieniem nauk poszczególnych?

— ...Systematyka?

— Nie.

— ...Encyklopedia mniejsza?

— Nie.

— ...Większa?

— Nie.

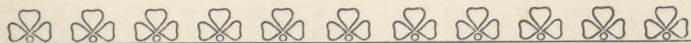
— No to niema.

— Gł... Głośno się tego naukowym fachowcom nie mówi, ale jest. Jest nią filozofia, a raczej różne filozoficzne na świat patrzenia, jak: idealny, »materialny«, jednoistyczny, dwoistyczny i inne¹⁾. Każdy z tych poglądów czerpie, stosownie do swych potrzeb, dowody od nauk poszczególnych.

— A czy jest taka nauka, któraby od tych filozofii stała wyżej?

— Hm, hm, zaczynasz i sam myśleć bez akuszerki.

¹⁾ Mędrzec grecki, niedość obeznany z terminologią nowoczesną, oczywiście użył tu jakichś paleologicznych określeń.



Dobrze... Jest, jest, mianowicie metafizyka, czyli nadprzyrodniczość. Ta nauka zajmuje się podstawowymi zagadnieniami bytu, nad którymi obywatel, a nawet prezes, nigdy się nie zastanawia, czas kartografią, baletnictwem, hipiką i pięknymi oracyami zajęty mając. Czy nie tak?

— No... tego... niby... com [chciał powiedzieć...
A nad tą metafizyką czy jest jeszcze co wyżej?

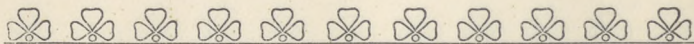
— Jest, a jakże. Jest pusta przestrzeń, bez faktów, bez doświadczeń, bez laboratoryów—przestrzeń, w której już tylko sama wyobraźnia buja, jeśli pozwolisz—kwitnie, i grasują przywidzenia różne, impresyjności, jak powiedziałeś, słowem, tutaj właśnie zaczyna się p...

— Poezya?

— Nie, nie zgadłeś. Zaczyna się — plucie. Ty plujesz na Poezyę, obywatelu, i ona... plwać na ciebie-by mogła i nawet skuteczniej, bo z góry, ale nie chce tego robić, ponieważ jej, najwyższej umieszczonej, plucie twoje nie dosięga. Możesz ją tylko znieważać *in effigie*. Zaniechaj przecie tego. Poezyi nie zaplujesz, a sam siebie ze śliny wyjąłowisz i nie starczy ci jej na trawienie pokarmów. Gotów-eś dostać niestrawności...

— E, tam co do tego...

— Nie żartuj... Więc jakże? nie będziesz pluł?
Nie będziesz?



— No... no nie.

— I będziesz miał poezję za rzecz wysoką?

— No, nie! Zbyt wiele, panie, chcesz ode mnie. Wyższość nauki... agronomia, chemia, buchalterya... coś tego, to jeszcze... ale żeby Poezya?...

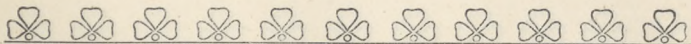
— Toż drogą rozumowania wywiedliśmy jej wyższość. Będiesz że pluł i na prawa logiki?

— Logika logiką, ale żeby Poezya miała być czemś wyższem od nauki?...

— Jest. Zwróć ci uwagę na zjawisko następujące. Każdy naukowy człowiek ma pretensję, że poeta nie odważa gramów *hippecacuanum*, że nie dręczy roślin herboryzacyjną, że nie śni o wymoczkach, że nie stwarza użyteczności ekonomicznych, że nie buduje kamienic i hotelów... dalej, że kieruje się »impresyjnościami«, przywidzeniami, że oddaje się marzeniom, że lekceważy sobie ustalone i uporządkowane fakty i że — to okropność — wyprzedzać śmiać naukę, woli zajmować się tem, co jeszcze niewiadome, niezużyte i niepewne! Zali nie tak?

— A bo nieprawda?

— Dobrze, ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nauka, krzycząc gwałtu, iż ktoś wogóle czemś innem niż ona waży się zajmować, tem samem przyznaje swą ograniczoność i niższość wobec Poezyi, która pozostawia uczonym najspokojniej, najoddaniej i najfaktyczniej



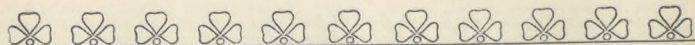
zabawiać się swojemi faktami. Owszem — powiada — jak najusilniej zgłębiajcie te swoje fakty, bo wy, »materialni« faktyści, tylko w ten sposób możecie dojść do poznania składających je pierwiastków duchowych, poetycznych. Jesteście jak konie wprzęgnięte w rydwan: rżycie do celów na *para sangi* odległych, ale musicie wlec za sobą cały sprzężaj!...

Tu Sokrates ruchem oratorskim wysunął z pod chlamidy piszczel i trzęsąc przed nosem obywatela stawami palców prawej ręki, mówił ze zbytnio żywym może jak na umarłego, patosem:

— Tak, obywatelu!... Uczony jest to mąż, który innych naucza, poeta zaś, nie chcąc mu w tem przeszkadzać, wysnuwa z siebie, tworzy to, co odczuł do głębi! Tak, obywatelu, *helotes* plwa na oracza, oracz pluje na rękodzielnika, rękodzielnik bluzga śliną w uczonego, uczony złorzeczy Poezyi, a Poezya miłuje wszystkich, lecz bojąc się tych plwocin ogólnych, odrywa się od ziemi i trzyma wysoko.

— A ja? Gdzież ja?... To inni w dole, w środku, w górze, a ja, obywatel?

— A ty z boku gdzieś, tam, gdzie spadają żołędzie. Ty jesteś sobie obywatel, który bez nauki i bez poezyi wybornie się obywa. Ty masz swoje dochody z pól, lasów i kamienic, a zatem jesz żołędzie, pijesz



wino, płodzisz dzieci... Może tam z nich które dopiero weźmie się do nauki, bo co się tycze poezyi...

— Wydziedziczyłbym huncwota!

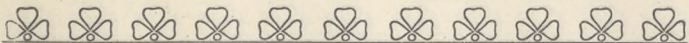
— A widzisz, obywatelu. Tylko że, jeśli jakiś twój potomek ma być poetą, to i tak będzie, bo poeta kpi sobie z wszelkiego dziedzictwa.

— Łatwo ci to, panie, mówić, kiedy nie żyjesz, kiedyś już do historii przeszedł... Ale, ale... Bronisz pan, panie, poezyi, a o ile wiem z trzeciej klasy, to jesteś tylko filozofem, i to z tych bosych.

— Tak, oczywiście. Byłem filozofem i chodziłem bez butów... Chociaż i dziś, co prawda... Patrz, nawet mięso ze stóp mi spadło... Mniejsza. Za to jestem teraz poetą. Zostałem nim dopiero po śmierci, bo za życia — wiesz, Ksantypa zawsze mnie faktem swego »karykaturealnego« istnienia wybijała z nastroju, a nastrój, trzeba ci wiedzieć, jest w poezyi rzeczą niezbędną... Ale *dokej moj*¹⁾ — późno już... Daruj, że cię pożegnam. Pilno mi do Erebu po tych tu waszych realnościach. To jeszcze ci na odchodnem mogę powiedzieć, że za moich czasów obywatel cenił poezyę, dziś zaś obywatelstwo, na poezyę plujące, jest *megiston kakon tu biu*²⁾...

¹ Zda mi się.

² Największe zło życia.

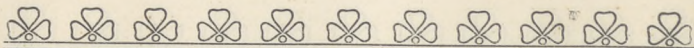


I klient Platona, postukując kośćmi pięt po bruku, odszedł.

Kiedy już się na ćwierć stajania oddalił był, jeszcze go coś tknęło. Spojrzy, a obywatel, który słowo dawszy, pluć na obraz już nie pluł, ale scyzorykiem zaczął wychlasywać z obrazu Poezyi serce.

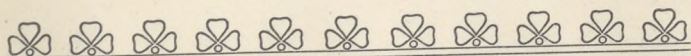
Westchnął Ateńczyk, i oddalając się, szepnął:

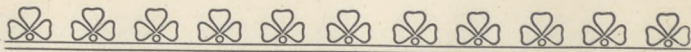
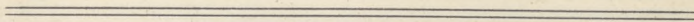
— O Homerze, Homerze, zginął Ilion i ród zginął Pryama, ale Poezya twoja zawsze będzie nieśmiertelna i zawsze będzie nieśmiertelny twój Tersytes, wróg jej.



REBURSISTA

*Rzecz z rękopisu
znalezionego w aktach sądowych*

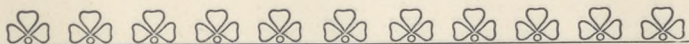




.
. Rebursista jest istotą, która wszystko robi naopak i niejako naprzekór otoczeniu. Rebursista to wróg ustalonej porządności, która też, co pewien czas, występuje przeciwko niemu z ostracyzmem, uzbrojona w całą niezbędną surowość słusznych, przez większość wyznawanych prawideł.

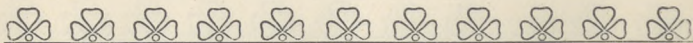
Bo aczkolwiek Rebursista, rozpatrywany jako wyjątek, istnienie swe zawdzięcza regule ogólnej, czyli, że może on się uważać za dziecie reguły, to jednak, ponieważ *multae exceptiones tollunt regulam*, zbytńia przewaga tych dzieci czyli wyjątków, zniszczyłaby regułę, a w braku reguł świat przestałby istnieć.

Temi obawami powodowani, zebraliśmy się pewnego dnia, właśnie gwoli zastosowaniu środków karzących do znanego nam, wyjątkowego, w najopaczniejszym życiu zatwardziałego Rebursisty.



My, to jest przedstawiciele i zwolennicy zakłócających przez pomienioną osobistość reguł, niczem nie odznaczaliśmy się, coby mogło nas wyróżniać z przeciętności schludnej, przyzwoitej i zadowolonej. O nas tedy niema co mówić nawet. Przeciężni nie mają żadnych historii (ani awantur), bo ich dzieje są dziejami (na szczęście) nie ich, lecz przecięcia. W danym wypadku tem bardziej nie wypada o nas mówić, żeby jasną szczęśliwością tła, któreśmy właśnie stanowili, nie zaćmiewać szkaradzieństwa głównej (czyli zbrodniczej) osoby Rebursisty, przez nas, ku win jego rozpatrzeniu i godziwemu tychże ukaraniu, na sąd pociągniętego.

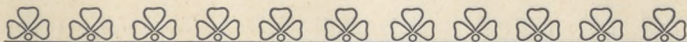
My, to jest: przewodniczący obradom, oskarżyciel publiczny *alias* potępiacz, obrońca, woźny Walenty, sędziowie, protokulista — my wszyscy jednym słowem, którzy ssiemy jurisprudenecyjną pierś społeczeństwa — wszyscy, których płuca oddychają regularnie, czyli tchną regułami prawnymi: wszyscy byliśmy w komplecie i wszyscy, aczkolwiek rozplómiennieni tą werwą odśrodkową, która się z nieodzownych ziszczeń praw obowiązujących rodzi, jednakże wyraz tego proceduralnego napięcia pewnem miękkiem i powściągliwem przyciszeniem łagodziliśmy. Natomiast oskarżony Rebursista, bynajmniej poczuciem win swoich nie skępowany, siedział okrakiem na krześle i wyzywająco beczelnym



uśmiechem znać nam o swego niepodległego i opacznego usposobienia istocie dawał. Przy nim stał woźny Walenty, na wypadek, gdyby ta rozkładowa i przekorna osobistość chciała się uciec do ucieczki lub w jaki inny sposób normalny przebieg postępowania karnego sparaliżować.

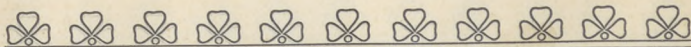
Stół nakryty był poprawnie białym obrusem, nieskazitelną bezplamność wyobrażającym oraz cnotę czystą, praniem w odpowiednich ługach w stosownej mierze uwidocznioną. W sam raz upieczone i uwarzone mięsiwa (zimne) stały, gotowe zaspokoić pozwy głodu, wymagań miary nieprzechodzącego. Na bocznych stolikach mieściły się przyrządy inkwizycyjne i szkliwa wykonawcze: flaszki z gryzącymi cieczami najwyższej próby, zakąski do kąsania i żucia z nieubłaganością, sosy ostre o cierpkości niesłychanej, ust krzywiznę, kurcz przełyku i oczów zmrużenia wywołujące, przyprawy i macerowizny, tym celem wymyślone, iżby kwas ich, drgania członków powodując, o nieprzytomną chęć bolesnych wyjawień przyprowadził, i butle, których sędziwa omszałość wadze win odpowiadała, mających podledz naszemu rozpatrzeniu i rozkładowi we wnętrzach naszych...

Przewodniczący zadzwonił w kieliszek i zaczęto stosować do winnego torturę wódczaną tudzież zakąśliwą. Ale Rebursista, zawsze z tym samym, obrażają-

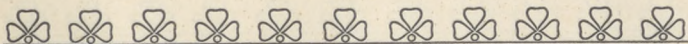


cym nas uśmiechem, zakąsywał obuszczeń najprzekwasijsze smakołyki, pokrzykując jeno: »Wyborne! Wspinała!...« i odpornością swoją na przeciętne działanie rzeczonych przekąsek, moc ich śledczą zobojętniwszy, zeznań żadnych ani przyznań się do winy nie czynił. Wskutek tego odmieszczono go od »kwestyi« i pozwolono mu odetchnąć, co wpłynęło nader ochronnie na ilościowość niedogryzionych frykasów inkwizycyjnych. Przewodniczący wstał, spojrzął z niewątpliwym acz umiejętnie tajonym przekąsem na prawie pustą blaszanek z makrelami, i odwiódłszy od niej wzrok, w którym na chwilę zmroczona, znów zajaśniała cicha niezachwianosc, obrzucił nim przestępcę i nas, sędziów, i rzekł:

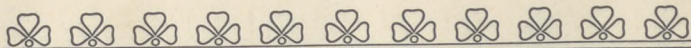
— »Urodzony (niestety) Franciszek Rebursista winien jest następujących poniżej wymienionych przeciwko ogólnemu stanowi rzeczy uchybień, pogwałceń i wykroczeń. Po pierwsze: Że z nocy dzień robiąc i naodwrot, porzuca łóżko, a w niektórych razach otomanę, wraz z nietoperzami i wraz z onemiż na spoczynek się udaje: a tak zgoła naturalny bieg rzeczy przeina-czywszy, czas na daremnem wczytywaniu się w dzieła poetów, filozofów i innych pisarzy metafizycznych, w nieprawnym zakresie piszących, trwoni. Po drugie: Na mocy zeznań świadków: woźnego Walentego tudzież Pelagii Agnieszki dwojga imion służącej, tenże



Franciszek Rebursista, w nocy z czwartku na piątek, podczas gdy wszyscy ludzie, którym prawo nie ma nic do zarzucenia, spali, on, Franciszek Rebursista, pisał utwór z tym pretensyjnym i nagannym tytułem: »O przeciętności przeciętnej«, niejednokrotnie przerywając sobie trud swój niepoważny i niewczesny, któremuby raczej »zgubna zguba« za nagłówek przystała, wybuchami śmiechu, oraz miotając na pomienioną przeciętność obelżywe wyzwiska. Po trzecie: Że w obecności tejże wyżej wspomnianej Pelagii Agnieszki, głośno wypowiadając się przeciwko znaczenie urzędowe mającym światopoglądom Kanta i Konta, dzieła ich do kąta rzucał, natomiast niejakiego Szuberta, solipsistę i egotystę Nietzschego, w krótkich lecz niepomiarowanych okrzykach »Wyborne! Wspaniałe!« podnosił. Po czwarte: Że swój majątek, zamiast go w sposób znany, przy łagodnym używaniu odsetków, zręcznym, pracowitym i do prawa przystosowanym obrotem zwiększać, — zbytami a głównie utracyszostwem na podróże, książki i inne szczodrośliwości niepotrzebne uszczupla. Po piąte: Że wogóle w obrazach, w poezji, w tak zwanej bibule i tym podobnych wymysłach próżniaczych nadto się rozlubowawszy, zdrowego życia się zaparł, bywań w świecie poniechał, do teatrów nie uczęszcza, bale, rauty, tańce, domy rodzinne skromnemi



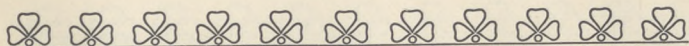
zдобne cnotami, za nic ma, źle o nich mówi i w ten sposób obywatelom, którzy jeszcze porządnego stanu się trzymając, w ideałach żyją, szkodzi, sprzeciwia się, i sen z ich godziwymi rozrywkami uznojonych ciał wypłasza. Po szóste: Że mogąc jeździć, sam na swych nogach chodzi i biednego woźnicę, jakoteż cech karciarzy do upadku przywieść byłby w stanie, jeźelibyśmy jego rozkładowym skłonnościom prawnej nie położyli tamy. Po siódme: Że w nocy z piątku na sobotę, zarzuciwszy nawet chodzenie, po obłokach latał, a na zapytanie stróża nocnego, czemu by to czynił, odparł, ten mu na głowę rzuciwszy okrzyk: *Sic volo sic volo*, co w tłumaczeniu urzędowem znaczy: jak chcę, tak fruwam. Za tych wyżej przytoczonych win siedmioro, oskarżony podlega karze głównej czyli ścięciu, które to ścięcie na zasadzie praw obyczajowych, w związku z utartymi sposobami użycia niektórych obywatelstwo mających wyrazów, i z uwagi na przyjęty społecznie *modus bibendi*, trzeba rozumieć podwójnie: raz, jako stan porażenia latawczych, a nawet chodzeniowych ośrodków podmiotu, a drugi raz — w sensie fizycznego niebytu, spowodowanego odjęciem temuż podmiotowi pewnego przedmiotu zwanego, odnośnie do obywateli przeciętnych, głową, a jeżeli chodzi, jak w danym wypadku, o wartość — nieroztropną i przewrotną kończyną górną.



Przewodniczący siadł. Ostatnie jego słowa brzmiały pod sufitem izby sądowej, podobne do pogrzmiwań piorunu, który się, zgodnie z przepisami elektrotechniki, z chmury na chmurę przewala. Piętrząc ten ogrom win w obliczu naszej prawowitości, mówca nie zaniedbywał po każdym piętrze robić przestanków, abyśmy — tak on sam jako i my — stopień winności należycie ocenić i osądzić mogli. Więc też wszyscy, po skończonym akcie oskarżenia, wpadliśmy w stosowne do zasad działania win oszołomienie. Bolało nas tylko, że podsądny, sam jeden pośród nas ze swoim niezmiennie cynicznym uśmiechem i ze świadomą sobie przewrotnością win nie żałował, owszem, pokrzykując: »wyborne! wspaniałe!«, przyjmował ich na siebie jak najwięcej. Z oburzeniem spoglądaliśmy jeden na drugiego i następnie przenosiliśmy zdziwione oczy na zbrodniarza, na tę najwinniejszą z winnych istotę, która w swem jednym wnętrzu tyle win mogła dotąd bezkarnie mieścić.

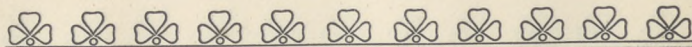
Dlatego z niejaką otuchą i wiarą w sprawiedliwość poruszyliśmy się, gdy wstał oskarżyciel publiczny i w te rzekł słowa:

— »Prześwietny Sądzie! I oto znów karzące złych a dobrych ubezpieczające prawo wstrząsnął dreszcz słusznego oburzenia i zgrozy na widok niniejszego zło-czyńcy, który hojnie, powiedzmy nawet, rozrzutnie przez



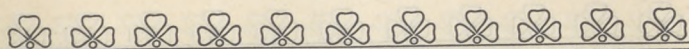
naturę uposażony, mógł być być idealnej przeciętności wzorem, ale którego nieopaczny indywidualizm i opaczność zrobiły tem, czem go tu widzimy — człowiekiem, że się tak wyrażę, opacznościowym. Ponury wizerunek tego wykolejeńca, jakkolwiekby starał się w należytym pokazać oświeceniu, to jednak będzie to tylko cień, zarys nikły, echo echa wreszcie zaprzepaszczonych głębin jego skalanej opaczliwością duszy. Tem niemniej zgarbijmy w jeden kłęb, zogniskujmy wszystką ohydę szczegółów ujawnionych przez śledztwo; uszczknijmy te, że tak powiem, wysoki widome niewidomych wynaturzeń stworzenia, które, niestety, wymagania i reguły językowe każą nam mienić bliźniem i ludzkim; zbierzmy, jako zbiera śmietaną dobra gospodyni, zbierzmy, mówię, wszystek trąd, który wypłynął z na szczęście utajonych dla szerszego ogółu ran skancerowanego ustroju delinkwenta; rzućmy tę ropę na blejtram uwagi waszej, o sędziowie, i stanąwszy na podnózu znieważonego prawa, obejmijmy ten obraz zgorszonym wzrokiem.

Tu mówca swą istotność w rozpatrywaniu win, co już się dawało spostrzegać, wprawną, kieliszkiem *Romane conti* zwilżył i prawą rękę z porozwidlaniami palcami wyprostowawszy, zakreślił nią, jakoby promieniem od wewnątrz prawnych biegnącym, ćwierć obwodu koła i tak dalej mówił:



— »Oto dzień w całym uregulowanym majestacie chodzi ulicami wielkiego miasta, pełen okrzyków rozgłośnych i wzbijających się ku niebu śmiało, bo godziwie i w sposób dozwolony przez prawo, dzień kipiący pożytecznościowemi zabiegami mieszkańców, którzy zatopieni w swych pracach, nawet nie wiedzą, że istnieje sprawiedliwość... Oto tam, świeżo zrodzone, kwilą w kołyskach, bądź biegunowych, bądź wahadłowych niemowlęce zawiązki przyszłych obywateli... Oto w miejskich ogrodach o prawidłowo rozwiniętych i porządnie utrzymanych trawnikach ciż sami obywatele, nieco dojrzalsi prawem używalności nówek własnych, pod bezpośrednim dozorem piastunek i pod zwierzchnią czujnością strażników plantacyjnych, uczą się stawiać kroki, acz swobodne i spieszne nieraz zachceniemi w ruch wprawiane, wszelako z uwzględnieniem należnem ochędóstwa klombów... Oto tam, w uczelniach, gradem lecą słowa nauki podręcznej w bądź otwarsze, bądź w tepsze głowy pomienionych obywateli, według norm statystyki rosnących: może na sędziów, może na ojców rodzin, a może i na złoczyńców, bo któż odgadnie tajniki przeznaczeń? Któż zgadnie, gdzie i kiedy kształtuje się ta przepaść, która oddziela cnotę od wybryków nieokiełznania?«...

Przy ostatnich wyrazach, instynktownie zaszurgaliśmy krzesłami, w ten sposób niejako zaznaczając



przedział, którym się my, cnotliwi, od oskarżonego Rebursisty odgradzić chcieliśmy.

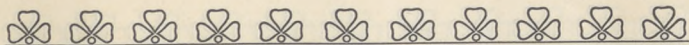
»Aż oto nastaje — ciągnął mówca, rytmicznie głos podnosząc — nastaje żniwo, żniwo złotopienne, że tak powiem. Obywatel dojrzał, wykłosił się, kwitnie, szumi, bywa ścięty, młócony, mełty, wyciera się, pytluje, piecze, kwaśniej, schnie i pokrywa się pleśnią... Oto bruk, ulica... Oto piesi... Wszyscy obuci w obuwie złożone z podeszwy i z wierzchu; wszyscy ubrani w ubranie, które tułowiom prawnojętoboczną równość nadając, spojenie kończyn dolnych od niebezpieczeństwa publicznego chroni, podwójność ich w sposób nierodzący złych myśli uwidocznia i dozwala na pewną nieuniknioną a równowagi tułowia nie psującą tychże kończyn rozbieżność... Oto znów jezdni... Bądź na kurs wzięte, bądź wypożyczone z remiz i wozowni, bądź własne, bądź cudze, różnorakim pędem suną pojazdy, już w jedną, już w drugą stronę, turkocząc ostrzej lub powolniej, wioząc obywateli prywatnych lub ogólnych, posiadaczy lub posiadanych, zasiedziały lub rzutkich, osiadłych lub nieiadłych, obcych sprawiedliwości lub karanych sądownie — a wszystko to porusza się według przepisów o ruchu kołowym i pieszym i musi się trzymać wskazań rozkładów jazdy i taks obowiązujących... A tam jeszcze... Tam w sklepach kupi się tłum obywateli,



kupczy się tam i kupuje... Oto w cukierniach roją się spożywcy pism, słodkiego wypieku i niegorzkich znajomości z damami, które chociaż same w występnej niewiedzy reguł małżeńskich żyją, to jednak, odbierając odbiorcom swym nadmiar nieulegalizowanej jeszcze chęci społecznych z obywatelkami obcowań, tem samem niezakłóconemu urzeczywistnianiu się praw matrymonialnych gdzieindziej nader są pomocne«...

Zauważyliśmy, że oskarżyciel, dając się wymowie swej porywać, nie czuł, jak w międzydaniowych przerwach, które są w tym protokule trzema kropkami oznaczone, lewica jego za kieliszek z *Romane conti* sięga i jego zawartość, przez woźnego Walentego podsycaną, do ust podnosi, i jak następnie jego, oskarżyciela, wargi mlaszczą, w winie smakując, poczem znów rozwierają się i dają upust słowom, coraz bardziej ujawniającym winność. Po ostatniem młaśnięciu mówił:

— »A teraz, sędziowie, jeżeliby nas zapytano, co robi, czem się zatrudnia w tym powszechnym gwarze obywatelskiego życia podsądny? — wówczas, opierając się na materyale oskarżenia, musielibyśmy odpowiedzieć: oto w postawie leżącej, którą wstyd każe nam pokryć milczeniem, urąga światłości dnia, szydzi z pracy, nągrawa się z obyczajów i uwłacza nakoniec samemu życiu — głośnem chrapaniem! Sędziowie, zapytuję was



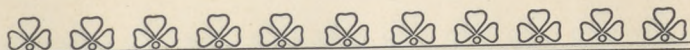
i ciebie zapytuję, niewinna jeszcze, jak mniemam publiczności, ale która łatwo — ach, jakże łatwo! — może utracić swoją niewinność w winie... Zapytuję was, iżali nie jest zbrodniczą winą spać i gnuśnieć, kiedy inni pełnią swoje powinności winne sobie i swoim powinowatym?... spać, powiadam, spać — spać samotnie, bez legalnej towarzyski żywota, bez tej osłody, którą nam zsyła prawo — ojcowskie, dobre, opiekuńcze prawo?... Zali nie jest występkiem ten — *passez moi le mot* — indywidualizm?... I czyż was nie przejmuje zgroza wobec faktu, że wszyscy czuwają na to, by mógł się wysypiać jeden, a co Szekspir tak fatalistycznie uwybraził w powiedzeniu: »By ktoś tam spał, ktoś inny czuwać musi«?... Panowie! Czyż nie jest to burzeniem podwalin społecznych, przewracaniem idei równomiernego podziału pracy?... Pomyślcie, panowie, co za przewrót musi się odbyć w duszy tej nieszczęśliwej Pelagii Agnieszki dwojga imion służącej, która przyszedłszy zamiatać pokój, staje, niby żona Lothowa, osłupiała na widok Rebursisty śpiącego w biały dzień, bez butów i bez — miejmy odwagę wymówić — bez „niewymownych“?«..

W tem miejscu woźny Walenty, uważnie wsłuchujący się w powyższe zdania, odstawił na bok poładwicę (na zimno), którą właśnie przed przewodniczącym trzymał, i zastłoniwszy sobie wolnemi dłońmi usta, prychnął w spo-



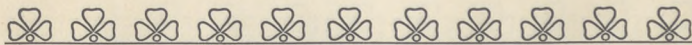
sób nieprzyzwoity i gminny... Cała uroczystość naszego ważącego losy publiczne skupienia, cały ten nasz wewnętrzny rozpęd ku niezłomnościom jakimś, ku nieubłaganym środkom dobro umacniającym, wszystka ta, słowem, solenna wzniosłość chwili, podobna majowej, plon niosącej chmurze, nasuniętej na nas mową oskarżyciela, została, niestety, na czas jakiś rozwiana. Przewodniczący z łagodnym dostojeństwem rozkazał niepowściągliwemu służbiście wytrzeć sobie nozdrza i podjąć zawieszoną koło połędwicy (na zimno) czynność. Oskarżyciel, gdy się uciszyło, tak dalej mówił:

— »Lecz oto inny obraz. Najgłębsza noc. Ludzie, a raczej obywatele, uporządkowani wewnątrz i zewnątrz, śpią, a raczej spoczywają w czystej białej nocnej, która ani zbytnią ilością swoją, ani pokrowce i opony cechującymi szelestami otamowawczymi członkom się nie narzuca, ani ich, nadmiernem unaocznieniem w obecność styczość ze skromnymi spojrzeniami wtrącając, nie wstydzi, ale je, owszem, zbawiennie od przeciągów chroniąc, umiarkowanemi je rozchyleniami nieznacznie ku jawności ośmiela i ściśle tylko potrzebną im, w rozluźnienie nieprzechodzącą, nastęrcza im swobodę. Tak okryci doborowych tkanin przylegalnością, obyczajom ulegli, śpią obywatele przy legalnych swych, przez odnośny artykuł ustawy przyznanych im małżonkach..



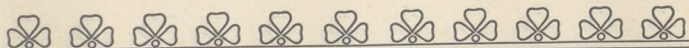
A teraz, panowie, wycofajmy się z tych dziedzin błogosławionych i przejdźmy do posepnego siedliska odrotnoczyńcy, który nie zważając na głębokiej nocy snom przynależną porę i własnej potrzeby odpoczynku zasady gwałcąc, siedzi oto w ubraniu spacerowem, samodzielnie związanej i barwą niezawisłej krawatce, zuchwale i opacznie rzuconej na pyszałkową wydeptość gorsu, w binoklach co chwila migocących nerwowo i niestatecznie, z angielską fajką nabitą francuskim *caporal*'em, siedzi oto przy stosie ksiąg potytułowanych: Kant, Schopenhauer, Schubert, Nietzsche, Przygody Uhleńspiegla... Siedzi, czasem podniesie prawą rękę, potrząśnie fajką, niby indyanin tamahawkiem, i dymiąc zbrodniczymi usty, wyrzuca okrzyk: »Wyborne! Wspania!« — okrzyk mocno i z nietaktem uderzający w ścianę, za którą może w tej samej chwili kleją się bliźniemu oczy senne.

Może właśnie w tej samej chwili, kiedy Reburzysta dulczy i głowi się nad stosunkiem jednostki do bytu, chcąc to zagadnienie — jak wykazało śledztwo — na drodze myślowej rozwiązać; może właśnie, kiedy podsądny, przemierzając pokój i smugę francuskiego dymu z angielskiej fajki za sobą wlokąc, rzeczywistość snu umarza i materyi — jak wykazało śledztwo — zaprzeczając istnienia, chce ją do pierwiastków duchowych



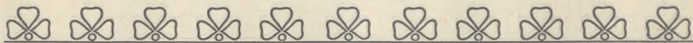
sprowadzić: może wówczas jego sąsiad urzeczywistnia marzenie czuwania, uzmysławia, krępuje i niszczy duchowość, tę niepotrzebną, tę nieludzką duchowość, tę do szalonych ofiar wiodącą, tę nieprzyjaciółkę życia obywatelskiego, tę przeciwniczkę ucieleśnionej, racjonalnej rozkoszy... Może właśnie, kiedy ten odmieniec podsądny, ten nocny rozwiązywacz bytowych zagadek, w posępnej zbrodniczej zadumie patrzy na resztę dopalającego się w lampie knota: może właśnie tam za ścianą też poszukiwana zagadka bytu leży już odgadnięta«...

Oskarżyciel, powiedziawszy to wszystko głosem już snadź z natężenia chrypiącym, odetchnął i spojrzał po nas cokolwiek mniej skromnie, niżby wypadało. Następnie popił z kieliszka i zamlaskał językiem, niby się przedniością *Romane conti* delektując, niby czerpiąc upojenie w obrazach nocnego szczęścia, które co tylko z takim przesadnym może lecz wybaczalnym lubownictwem skreślił i zestawił je z bezsenną i bezsensowną nad księgami ślęczliwością podsądnego. Ten siedział teraz, jedną dłoń trzymając w kieszeni podsądnej swej odzieży spodniej, drugą zaś wraz z łokciem na stole trzymając, palcami jej nóżkę kieliszka muskał, co powodowało chwiejbę kieliszka, trzepotanie się w niem złotego płynu i groziło nawet tegoż rozlaniem; niezależnie od

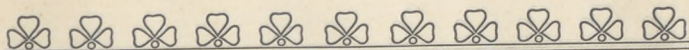


tych objawów zakłócających równowagę chcącego być jedynie wypitym, nie rozlanym, spokojnego, niewinnego, słońcu ducha winnego wina — winowajca rzucał ku nam z po za binokli zaczepne, sardoniczne błysnięcia. Co do nas, to przy winach siedząc tak, nie bez pewnego cierpkiego podniecenia rozglądaliśmy się w wyłuszczeniach nam przewinach; a cierpkość tę oraz to podniecenie z goryczką i pobudliwym działaniem wina zestawiając, wogóleśmy się w tych przewinństwach coraz bardziej rozsmakowywali, coraz bardziej urastały nam serca i żywiej a żywiej płonęliśmy ku rozkoszy, która nie w innym się czemśkolwiek zawierać powinna, jeno w godziwym użyciu w zgodzie z godzinami i w owem najstosowniejsem jej, rozkoszy, odmierzeniu winnem zaśludze. Gdyśmy tak w tem błogiem napawaniu się spożywczem trwali, oskarżyciel obwiódł nas mętnawemi, o ile się zdawało, oczyma, zlekka się zatoczył i spoglądając następnie ku krzesłu, jak gdyby na niem usięście za odpowiednie przy rozpatrywaniu win niżli stanie uznając, rzekł:

— »Zatrzymywać się nie będziemy nad karygodnością przedewszystkiem czytania książek filozoficznych i poetyckich wogóle, oraz nad szkodnictwem buntowniczego poniekąd zgłębiania istoty zjawisk przez ludzi do tego niepowołanych, którzyby pensją profesorską

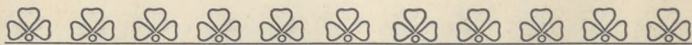


albo urzędem członka akademii racyę tudzież pożytek wywymienionej czynności okupowali; zatrzymywać się nie będziemy, powtóre, nad ohydą zjawiska, że delinkwent w powyżej omówiony sposób czas nieskończoności wykradając i trwoniąc go, trwożnym jest wyrzutem dla reszty obywateli, którzy zobowiązania swe i powinności wypełniwszy, dozwolonych zażywają rozrywek i wyczasów; natomiast przejdziemy do innych, niemniej wstrząsających szczegółów sprawy, któremi pilno nam przytłumić tę odrobinę miłosierdzia, któraby się mogła w waszych sędziowskich, o panowie! tlić piersiach! Śledztwo wykazało, że oskarżony, podczas pisania utworu: »O przeciętności, jakżeś przeciętna!« nieprzyzwoitym śmiechem a także czynieniem głośnych i wręcz z dobrymi obyczajami nielicujących spostrzeżeń oraz wykrzykników, jak »tępogłowcy«, »konkrety«, swego zesputego wnętrza okazał istotność. Bo aczkolwiek, historycznie biorąc, śmiech odróżniać człowieka od zwierzęcia się zdaje, to jednak nieumiarkowana tegoż obfitość napowrót człowieka do niższości bestyjalnej sprowadza. I jeżelibyśmy chcieli odwołać się do powag starożytnych orzeczeń w rodzaju: *vae tibi ridenti quia post mox gaudia flebis* i innych, zanadto byśmy i tak już dość obszerny i wystarczający materiał oskarżenia zwiększyli. Dość będzie zaznaczyć, że śmiechem, bądź hałaśliwym,



bądź ukrytym i przyczajonym w ironii, winowajca złożył i składa najjaskrawszy dowód zbytnej wzruszeniowości, czyli tego pierwiastku, z którego pochodzi wszelkie zło, wszelkie odchylenie się od normy, wszelki polot, ach, jakże często karkołomny!... Pytam was, sędziowie, czy można coś stałego na tak wzruszającej się podwalinie budować?... Nie! Po tysiąc razy — nie! I nie należy, powiem więcej, jest to naszym obowiązkiem człowieka wzruszeniom podległego ściąć, aby raz już usiadł i spokoju nie psuł! I aby raz już w górę nie wylatywał! Niech giną ci, co jeżdżą po obłokach nocami!... Panowie! Kto wysoko się wznosi, ten może spać: leżący zaś na poziomie przeciętnym, jako od spadania zabezpieczony, spokojnie może dozwolonego przez prawo używać żywota i — spać!«

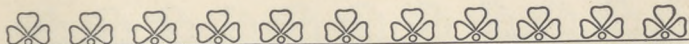
W tem miejscu — a był to już koniec może cokolwiek zadługiej, lecz pięknej mowy — w tem miejscu, gdy oskarżyciel siadł, a raczej upadł na krzesło, my, nie mogąc opanować radosnego wzruszenia i jakiegoś nawet cokolwiek przekraczającego zwykłość entuzjazmu, wszyscy, jak jeden mąż, powstaliśmy, wzniesiliśmy napełnione przez woźnego Walentego wiwatówki i krzyknęliśmy: »Niech żyje potępienie! Niech żyje proza! Precz z przesądem! Precz z poezją!«... Zaczem sędziowych a ustalonych, fermentowi niepodlegających, win



krzepkość do swych wnętrz przelaliśmy. I gdy w ten sposób ulżyliśmy swemu uniesieniu, jedni z nas pilnie zaczęli obłupywać skórki z owoców; drudzy, w ciastach gmerząc, wybierali z nich sobie najupodobańsze; niektórzy zaś, przegniówszy z masłem kilka gatunków sera, sprowadzali je do jedności, umiarkowanie wonnej, lecz pełnej mocy i nader pożywnej. Było nam dobrze. Czuliśmy tę radość, właściwą zdrowo myślącej gromadzie, do potępienia chętniej. Krzywdą, przeciętności wyrządzoną postępkami oskarżonego, miała być powetowana. Ufetowani, od wetów słodko ciężcy, byliśmy nastroszeni odwetowo przeciw zakłócielowi siest, snów, żuć i tyć prawidłowych. Atoli pewnym lękiem zwięzły się nam piersi, gdy wstał obrońca. Strach nas przejmował, że nuż obrona złagodzi winność win winowajcy? Łagodność win to rzecz przecie dobra dla słabych kobiet — ktoś zauważył. My, mężowie — prawil na boczku — chcemy win wytrawnych, bo w trawieniu nasza błogość..

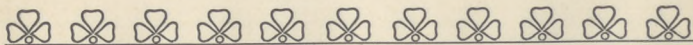
Tymczasem, na dźwięk rozwibrowanego dzwoniem kieliszka, uwagi boczne zmiłły i obrońca przemówił:

— »Sędziowie! Oddając zasłużony hołd potocznej swadzie szanownego oskarżyciela, muszę zaznaczyć, że wolałbym go widzieć raczej przy biurku nowelisty, niż na stanowisku odpowiedzialnego urzędnika.«

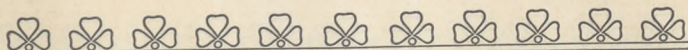


Tu mówiący zrobił umyślną pauzę, niejako dla przekonania się o celności pierwszego strzału. A strzał był dobry, cośmy musieli z niepokojem stwierdzić. Zarzut poetyczności skierowany przeciwko temu, kto sam przeciw poezji występował!... Dobrze. Oskarżyciel pobladł, czknął i z natężeniem wpatrywał się w obrońcę, jak gdyby się i w nim win chcąc doszukać.

— »Posepny szereg« — ciągnął mowca, zadowolony ze skuteczności pierwszego ciosu — »posepny szereg obrazów, albo raczej s z t y c h ó w — wyraz ten pochodzi od *stechen*, *stach*, *gestochen*, kłuć, przebijać... Szereg sztychów zatem, któremi szanowny mój poprzednik usiłował przed chwilą wykluć nam oczy, aby snadź nie widziały prawdy, więcej nas może raził jaskrawością, aniżeli przekonać mógł tem, co zazwyczaj nazywamy rozsądkiem. Boć jeżeli oskarżony spełnia zarzucone mu przestępstwo czuwania, gdy śpi reszta Warszawy, gdy śpi cała Polska, cała połowa kuli ziemskiej nawet, to czyliż tego przestępstwa nie podzielają z nim antypody?... Może szanowny oskarżyciel zechce nam powiedzieć, co się robi ze słońcem, gdy zajdzie na jednej z dwóch półkuli ziemskich? Czyżby też spało?... Jeżeli dobrze zrozumieliśmy jego myśl — nie słońca, tylko oskarżyciela! — to należałoby skazać na ścięcie całą drugą półkulę, zmniejszając świat do połowy, do pół-swiata,



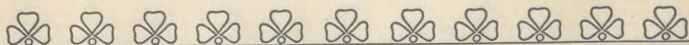
że tak powiem! Nie zaszkodziłoby mieć więcej pobłażliwości dla wszech-świata, szanowny panie, który w dodatku napadasz na zdolność wzruszeniową i żądasz na nią kary głównej!... Czyż nie do tej właśnie zdolności odwoływałeś się w nas, kreśląc pstry obraz... tak, pstry obraz ziemskiego ruchu i błogotrwania, zakłócanego jakoby przez winowajcę, a raczej przez ofiarę nieuzasadnionych oskarżeń?... Czyż szafując nie powagą dowodów lecz pstrocizną... tak, pstrocizną słowną, nie liczyłeś, że porwiemy widelce i noże i, podobni ludożercom, rzucimy się na niewinną ofiarę, aby ją rozszarpać, jak te oto, w szczątkach już tylko rozpoznawalne marynaty z minog, skumbrów i langustów, albo tamte ot konserwy z fląder, kilek, szprotków, sardynek i sielaw?... Zaiste, jakże często prywata i poziome apetyty podszywają się pod dbałość o dobro publiczne, o podwaliny społeczne i inne dźwięczne, ale puste hasła!... Czyż właśnie te podwaliny społeczne nie są bardziej zagrożone przez twoją, szanowny oskarżycielu mowę, w której tyle sprzeczności!... Potępiając wzruszenie, każesz nam zarazem litować się, wzruszać losem jakiejś Agnieszki Pelagii, która miała nieszczęście (och!) ujrzeć swego pana bez »niewymownych«. Obyż tylko takie nieszczęścia zdarzały się kobietom! Wierz mi, panie stróżu obyčajności, że ani jedna z pokrzywdzonych w ten sposób



niewiast, że nie powiem służących, nie uciekłaby się sama pod twoją tępiciejską obronę!... Żądasz od nas litości dla służącej, a nie masz jej dla biednego samotnika, czuwającego, gdy świat zasypia, czuwającego nad księgami właśnie po to, by świat ten mógł drzemać!... I wierzajcie mi, ty oskarżycielu publiczny i wy, sędziowie, wierzajcie mi, że świat ten nie żałuje sobie drzemki, świat ten, a raczej półświat tańczący i objadający się podług ustalonych przepisów, reguł i obrządków!... Tak, sędziowie! Oto siedzi przed wami opacznik, odmieniec. Zetnijcie go, ale wraz z nim zetnijcie i tę drugą połowę świata, która czuwa, gdy my śpimy — my, których duszę stanowi przeciętność. Zetnijcie wszystkich nieściętych jeszcze! Zetnijcie wszystkie głowy płonące ku mrzonkom! Zetnijcie wszystkich, wszystkich zróbcie przeciętnymi; ale baczcie, o sędziowie, żeby wam samym przez tę przeciętność nie odcięto dróg do tego niezdrowo, nie utrudzenie czuwającego świata nieprzeciętnego!«

Obrońca przerwał i zdawało się nawet, że skończył, ponieważ, kiwnąwszy na woźnego, kazał sobie wlać w kieliszek *Romane conti*, siadł i niezwłocznie jął niem zwilżać krtani powyższemi, w kierunku oskarżyciela wypowiedzianemi a częściowo i do nas pitemi sarkazmami nadweryżoną.

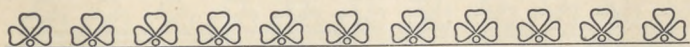
Milczeliśmy. Oburzało nas to, że podsądny śmie



być uważanym przez obrońcę za jakiegoś wskaziciela, jakiegoś poszukiwacza nowych wartości życiowych, kiedy jeszcze starami można żyć aż miło. Jakże? — pytaliśmy się własnych dum dotkniętych, własnego zdrowego przekonania — więc nie dosyć mamy praw, prawd i prawideł? nie dosyć odkrytych już, wskazanych postanowień i zasad, już uporządkowanych, ułożonych w formy, opatrzonych plikami bezbłędnymi skorowidzów, żebyśmy jeszcze mieli się nowymi dociekaniem kłopotać? Zresztą czyż nie pożywniej jest i bezpieczniej wypróbowane już gdzieindziej stosować u siebie odkrycia, jeżeli wogóle mamy ich niezbędną uznawać?... Śmiesznie jest nakoniec troszczyć się o rzeczy oderwane. Rzućmy je, oderwijmy się my od nich i żyjmy!

Tak myśleliśmy i z coraz większą nieżyczliwością spojrzeliśmy na Rebursistę, zwłaszcza teraz, po mowie obrońcy, która go tak dalece snadź rozzuchwaliła, że kilkunasty już kawałek polędwicy (na zimno) ulegał w jego silnych, przesadnie rozwiniętych zuchwach unięściwieniu. Otóż więc to jest mąż »opacnościowy« — myśleliśmy — który wprzód, nim stworzy cośkolwiek, mizerną okruszynę czegoś nowego nim znajdzie, gotów zniszczyć, zećkać pół świata!..

Gdyśmy tak, w rozpamiętywaniach gniewnych, struci siedzieli, przewodniczący zaszcękał w talerz



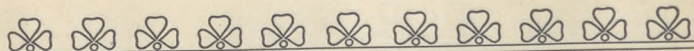
i wśród ciszy przerywanej tylko dźwiękami, żuciem i chlupaniem szczęk i ust naszych, a szczególnie narządów chłonnych winowajcy, rzekł:

— Oskarżyciel ma głos. Czy odpowiada na zarzuty obrony?

Wstąpiła w nas nadzieja. Wycelowawszy oczy ku rzecznikowi reguła, który choć, co prawda, za długo przy winie *Romane conti* obstawał, ale tembardziej właśnie należało się spodziewać, że i tu przy winach podsądnego zechce się mocno trzymać, promieniowaliśmy ku niemu zachętami, pragnęliśmy, aby je odczuł, skupił się i repliką żeby rozerwał, obalił cały ten pozór fałszywej ważności, w który obrońca przystroił był podsądnego. Niestety, jakby na śmiech, jakby na urągowisko pragnieniom naszym i spodziewaniom, ten, na któregośmy liczyli, jak na podporę przeciętności, i który za nią wprzód tak dzielnie walczył, teraz — o hańbo! — uniósł się jakoś nie tylko bez energii, ale, co gorsza, bez równowagi stałej, i powojowato się do poręczy krzesła przytulając, spojrzął jakoby w nieskończoność winną i pojednawczo bąknął:

— Pod... podtrzymuję oskar... obro... żenie...

Było dla nas widocznem, że podtrzymywacz prawnych ustaw, tak beznadziejnie trzymający się krzesła, nie tylko że niczego podtrzymać już nie może, aleby



sam wymagał podtrzymania. Jakoż zajął się tem woźny Walenty.

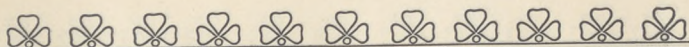
A nas ogarniało rozdrażnienie coraz większe i lęk, żeby ta sromotna chwiejność oskarżyciela i jego z trudem powściągnięta czkawka nie wpłynęły źle na słuszny wymiar sprawiedliwości. Natomiast winowajca rozzuchwalając się coraz bardziej pewnością siebie zdradzał. Kiedy przewodniczący, ponownym brzękiem w kieliszek, dozwonił się przerwania rozmów i ku zuchwalcowi się z miłą twardością zwracając, rzekł:

— Co podsądny ma na swoje usprawiedliwienie?— podsądny nietylko że nie powstał, że wyrazem skruchy albo uprzejmieszego jakiegoś układu, jakiejś przypodobawczości miłej, jakiegoś czołobitnictwa, jakiejś gotowości ustępczej, jakiejś wreszcie drżączki oczekiwanowej, nie starał się zjednać i przychylić ku sobie naszego sędziowskiego *gremium*, lecz owszem, teraz oboje rąk w pantalony wsunął, zarozumiałczego śmieszku z twarzy nie zegnał i zdawało się nawet, że nic nie powie.

Ale przewodniczący otchłannem wejrzeniem wejrzał mu przez binokle do głębinowych rdzeniów duszy i rzekł:

— Cóż powiesz, Franku?

Wtedy ujrzeliśmy z rzewliwym serc roztkliwie-



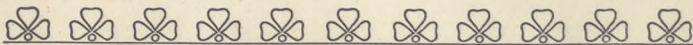
niem, jak siła ducha zrównoważonego, wytrawnie ustalego, przewodniczącym przy rozpatrywaniu win właściwego ducha moc kruszy i rozwalnia najzatwardzejsze wnętrza odmieńców i zakamienialców niepokornych i hardych.

Wynaturzeniec drgnął. Coś ludzkiego przebiegło mu po twarzy, i ten odszczepieniec od reguł szczerpu, ten paliwoda, wprawdzie mową, która się z buńczucznie potłukujących nawzajem i ku jednemu występniemu celowi biegnących wyrazów, lub z ogniw na jedną odszczepliwą myśl z brzękiem nanizywanych składała, ale, bądź co bądź, przemówił i rzekł:

— »O przeciętności przeciętna! O wodo, która się w winie gubisz i odbarwiasz, a żar jego tłumisz i rozcieńczasz wodniście! O ściętości! Toć żebym ja, ten i tamten, nim cośkolwiek zacznie, wprzód się oglądał, czy aby już inny robi rzecz tę samą? — życie-by zmartwiało do dyabła i w lód się ścięto, o przeciętności!«

Dotknął nas.

— Siadać! Siadać! — krzyknęliśmy, w oburzeniu przeocząc, że arogant siedzi — A rozwój historyczny? — krzyczeliśmy — A spadkobranie? A przekazy czyli tradycja? A przykład? A model? A wzorowość?... Siadać!!!...



Przewodniczący, rozbiwszy od dzwonienia kieliszek, ustalił nakoniec ciszę, i rzecznik nieoględnych zaczynów mówił dalej:

— »Woda w lód się ścina dlaczego? Bo jej krople wzorowo podległe zimnu. Gdy jedna się kuli, wpada w ziąb i druga. Ale niechby tylko jedyna z kropel zechciała się oprzeć zamarzaniu i płonęła tem chceniem gorąco, to z pewnościąby wszystka masa wody uchroniona była od ścięcia... Daję ci słowo, o przeciętności, o wodol!... Nie lubię wody. Wolę wino. Jeżeli to jest winą, to zawiniłem... cha! cha! cha!... O przeciętności! Jestem tą kroplą, która chce, kiedy wam wszystko jedno, która płonie, kiedy wy gnuśniejecie, która jest zacięta w marzeniu, kiedyście wy ścięci realnością o przeciętni... cha! cha! cha!«...

— Co on plecie? — wołaliśmy.

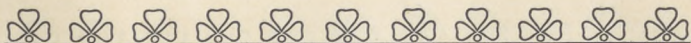
— Odebrać mu głos!

— Ogłuszyć go!

— Ściąć go!

Znów przewodniczący zaszcząkał, tym razem w talerz, lecz dopiero, gdy go wyszczerbił i przeciął, uciszyło się i podsądny mógł podjąć swoją mowę dzwoniącą, jak misa cynowa, cynicznie.

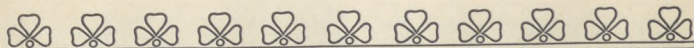
— »Zarzucasz mi, o przeciętności, że się wyodrębniam!... Toż to wy, przeciętni, chcecie się wyodrębnić



od bytu; chcecie oddzielić materię od jej pojmowania; treść odciąć chcecie od formy i pożreć, a formę uprzeciętnić; chcecie odosobnić duszę od ciała: ciału — ciąc drzemkę dać chcecie, a od myśli uciec, o przeciętni!... Oderwać chcecie dobro od zła, cnotę od występku, zapominając, że tylko bezmyślność jest złą i niecną, ponieważ stanowi martwość i niebyt. A wy chcecie uciec od myśli, uciec od siebie chcecie, dojść do *absurdum*, do niecności, czyli do nicości... I dochodzicie, o przeciętni... cha! cha! cha!»

Zbrodzień śmiał się bezwstydnie i spoglądając po naszych czerwona zapalczywością groźnych twarzach, mówił:

— »Nie wyosobnienia ja szukam, ale spójni, utożsamienia bytu z jednostką, albo jednostki z bytem. To wy ugrzęźliście w dualizmie po to, aby odrzucić ducha, a gnić w materii w absurdzie! Do dyabła! Czy możebnem jest istnienie czegoś, jeżeli możliwości istnienia tego czegoś pomyśleć nie można? Nie można pomyśleć obiektu bez subiekty i naodwrot, zatem niemożebne jest ich bytowanie rozdzielne. Byt — jeden. Byt jest mną, ja bytuję we wszechświecie; albo ja jestem we wszystkim, albo wszystko jest we mnie; albo mi się byt objawia przez wszechodczucie, albo ja sobie wszechuświadamiam byt we mnie immanentny... I ja wyświa-



damiam z siebie ciebie, o przeciętności, jako byt nieświadomy. Niszczę was w sobie, jako nieświadomość, a wy mnie, świadomego, ściąć nie możecie!»

— Co on wyplata? — wrzasnął któryś.

— Nie możemy ściąć?... Dowody! Dowody!

— Wody! — ktoś zdowcipkował udatnie.

Na wzmiankę o wodzie, podsądny cokolwiek przybladł, wykrzywiły mu się usta i daleko ciszej, choć nie mniej opacznie, mówił:

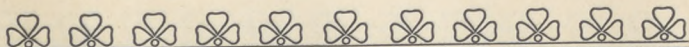
— »Z niezniszczalności materji — używam zrozumiałego dla was terminu — wychodząc, świadomość, która jest tylko — według was — procesem materji (niezniszczalnej) też musi być niezniszczalną... Ja, jako istota świadoma, nie podlegam ścięciu. Przeciwnie, świadomość zabija was, ponieważ jest zaprzeczeniem bezwładu, zaprzeczeniem was... Ściąć mnie, zabrać mi jestestwo świadome może tylko coś, co samo jest jestestwem najświadomszym. Ponieważ wy jesteście nietylko że nieświadomi, ale ścięci, nawet prze-ścięci, więc mnie, o przeciętni, świadomego ściąć nie możecie!«...

— Dosyc! Dosyc! — wołaliśmy, jak w cyrku.

— Toż on ścięty!

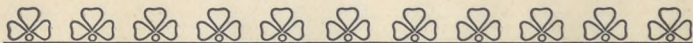
— Po szy go!

Ale oskarżony, niby jakaś licha parodia gladiatorów, podniósł ku górze pięść, w której dymiała an-



gielska fajka z francuskim *caporal*'em, i gdy przewodniczącemu udało się wykołatać jaką taką ciszę (po rozbiciu salaterki, na szczęście pustej), rzekł:

— »Byt — jeden. Byt jeden jak Allach. Początek schodzi się z końcem w pierścień nieskończoności. Lotne powietrze zgęszcza się (Walenty, otwórz wentyl! — rzekł przewodniczący i dobre, wszystko ogarniające spojrzenie posłał woźnemu). Powietrze zgęszczone staje się płynem, bryłą. Bryła rozkrusza się, roztopia, ulatnia. Granica lotności styka się z rubieżą bryłowactwa. Granic niema. Jest myśl jedna wszechprzenikająca. Konkret jest zmar-twiałym stanem myśli. Wejście w empiryę, wypełnienie, jest śmiercią ducha... Im więcej empiryi kto umie w sobie zniszczyć, ten bardziej się uduchowia... (Przewodniczący skośnie lubo bez goryczy spojrział na zniszczony gnat od ćwiartki cielęcej)... Dzieło zniszczenia równe dziełu tworzenia. Sto fur pechblendy daje gram radium. Z miliona spostrzeżeń, ucieleśnień wypadkowych, istnień przeciętnych, mędrzec tworzy źdźbło prawdy. Prawda promienieje: leczy lub rani, wskrzesza lub unicestwia; olśniewa poszukujących jej żywych; zaślepia miłośników bezwładu. Martwość obleka się w reguły; wszystko żywe przeistacza się... Najwyższa dobroć staje się zbrodnią; zło wyradza się w cnotę; *summum ius* — *summa iniuria*... Kto nieskończenie kocha, poświęca siebie;



skończeniec poświęca sobie. Anachoreta idzie na pustynię; wandal pustoszy. Jeden ucieka od tłumu, by zdala pochutliwości swoje krzawić; inny tłum w sobie tłum żądz, *turba cupiditatum*... Ale tłumić go może tylko żądzą inną... Wyzwolenie jest początkiem niewoli... Humor jest płaczem. Byt jeden«.

- Precz z nim!
- Poturbować go!
- Spustoszyć!
- W niebyt go!
- Wyzbyć się go!
- Pozbyć się!
- Nazbyt już się rozgadał!

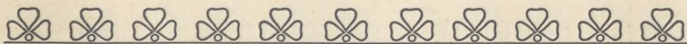
Miara win przepełniła się. Dłużej nie mogliśmy już wytrzymać.

— Na ustęp! Na ustęp! — wołaliśmy, chcąc jak najprędzej ustalić winność winnego.

Przewodniczący zadzwonił w sosyerkę i zaraz poszlim w odosobnioną głąb lokalu sądowego i drzwi za sobą zamknęlim...

Gdyśmy stamtąd wrócili, postawy nasze wyrażały błogość, ukojenie i pewnego rodzaju majestat, jak po piłatowskiem rąk umyciu.

— Winny winien! — brzmiał wyrok naszymi ustami wielokroć powtórzony.



— Wina! — wołaliśmy, a gdy woźny Walenty, na skinienie przewodniczącego, wniósł nowy zasób *Romane conti*, natychmiast zaczęliśmy egzekucję, lejąc w skazańca kielich za kielichem, przy okrzykach: — Winien, więc od win niech będzie ścięty!

.....
 Tu zaszła rzecz zgoła przez nikogo nieprzewidywana i której, jeżelibyśmy chcieli w trzeźwym zastanowieniu dociekać przyczyn, musielibyśmy się ze zdaniem skazanego właśnie zgodzić, że ściętym może być prawdziwie tylko przeciętny.

Jakoż gdyśmy z wszystkiej rozporządzalnej ilości win użytek karny zrobili, wszystkim nam, prócz skazanego, szumiało w głowach. Dusze nasze odcięły się od ciała, jako jasne świeczki, a serca nasze zalała jakaś wszechprzebaczająca dobroć, zapewne ta najwyższa, ze złem się stykająca...

— Łaski! Łaski! — wołaliśmy.

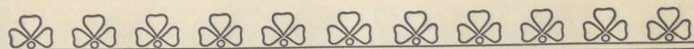
— Darować skazanemu ścięcie fizyczne!

— Nie można go ściąć!

— Miłosierdzia!

Płacze zaczęły się zrywać.

Oskarżyciel, zamiast nad wykonaniem wyroku czuwać w całej rozciągłości, opierał się o obrońcę, niby o poręcz, i obaj w bratnim współdziałaniu wy-



grzebywali z puszki resztę homara i co kilka chwil całowali się wargami namaszczone oliwą.

My wrzeliśmy i fermentowaliśmy, jak wino, i darliśmy się ku skazanemu, chcąc go obejmować. I byliśmy się okryli wstydem, postępując wbrew wszelkim formom i regułom. Na szczęście przewodniczący, jako w rozpatrywaniu win najwprawniejszy, zachował jeszcze zdolność przewodzenia i rzekł:

— Przytomny tu, niestety jeszcze niedość nieprzytomny odmieniec grzeszył filozofią... Chcieliśmy go ukarać filozoficznie, naprzód onieprzytomniając go ścięciem. Robiliśmy dużo. Robiliśmy wiele więcej, niż po nas przeciętna beznamiętność litery wyroku miała prawo oczekiwać. Znęcaliśmy się... Napróżno!... Wina już wyszły... Tak, wyszły już wina... Niema win... A sklepy zamknięte... już... Walenty, czy sklepy już zamknięte?...

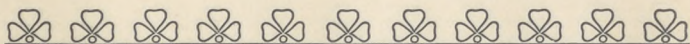
— Zamknięte, psze łaski wielmożnego pa... sądu.

— Franku?... Piłbyś jeszcze?

— Do nieskończenia. Wino wspaniałe!

— Otóż więc... Ponieważ głowa miała mu być odcięta po ścięciu go, a ściętym nie jest... i być nim dla braku win nie może, przeto i ściąć go nie możemy... Czy to jasne?... Pytam, czy to jasne?...

— Brawo! — zawołaliśmy. — Niema win!... Nie ma win winny!... Niech żyje wina!... Niech żyją wina!...



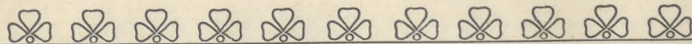
— Ale, żeby sprawiedliwości stało się zadość, zetnijmy skazanego *in effigie*... Tak, *in effigie*!... Proszę panów na ustęp!...

Wszyscy znów i śpiesznie poszliśmy na osobność i jednogodnie wniosek przewodniczącego przyjęliśmy. Gdyśmy wrócili z uchwałą, przewodniczący kazał woźnami przynieść *effigiem*.

— Kiedy sklepy ze »figamy« zamknięte, psze pa... sądu.

Prawda. Gdyśmy nad tą niespodzianką myśleli, naraz jeden z przeciętych — geniusz, który się pomiędzy nas zamieszał i któregośmy nie zauważyli byli, jak to się zazwyczaj z tymi geniuszami zdarza, o ile nie wyróżni ich sama opaczność — jeden z nas tedy potężnem uderzeniem ramienia odkruszył kawał muru sądowego i nożem stołowym dziabiąc, w kilka chwil *effigiem* wykonał. Była to rzeźba, wyobrażająca skazanego, jak klęczy w dziennej swej tualecie, więc bez »niewymownych« i jak trzyma już głowę na pniaku dla ścięcia onej. Podobieństwo skazańca ogólne i w szczegółach było tak niewymowne, wyraz agonii i męki przedściętnej był tak nieprzeciętnie uderzający, że dalibóg chciało się zawołać:

— A jednak ta sztuka to jest, panie łaskawy, hm!...
Geniusz z rękami w kieszeniach (już!...) i z uśmie-



chem zarozumiałym (już!...) wręczył przewodniczącemu dzieło. Przewodniczący spojrział dobrym, wszechogarniającym wzrokiem na wyłom w ścianie i rzekł:

— Przeciętni! Stawiam oto przed wami *effigiem* odmieńca... Czy odmieniec poznaje swoje *effigies*?...

— Wspaniale! Wybornie!

— A więc cię ścinamy w tem, czem obrażałeś przeciętność... W wyobrażeniu cię ścinamy... w wyobraźni... w sztuce... Karzemy cię w tem, czem grzeszyłeś... co kochałeś... Karzemy cię w tem, co kochasz... Czy kochasz, Franku, sztukę?...

— Nieskończenie!

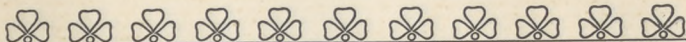
— Otóż więc...

— Ściąć tę sztukę! — wrzasnęliśmy, kończąc.

Ale kiedy woźny Walenty z nożem stołowym podszedł i już się był zamierzył, nagle w samym przewodniczącym, co było do przewidywania najmniej, drgnęło hartowne, przy rozpatrywaniu win wystających ustalone serce. Ruchem Jehowy na górze Moria wstrzymał rękę Walentego i statecznym jeszcze, ale już ku lekkoduszności pochylonym głosem rzekł:

— Niech żyje *effigies*!

A nas ta lekkoduszność w wir oszołomienia popchnęła. Czuliśmy potrzebę szumu, głosów, krzyków nieprzekrzyczanych, niewyłośzonych, niewyszumianych.



— Niech żyje *effigies!* — powtarzaliśmy.

— Niech żyje wyobrażenie!

— Niech żyje wyobraźnia!

— Niech żyje sztuka! — wreszcie ktoś krzyknął.

Wszystko nam było jedno, jak słusznie powiedział o nas podsądny, któregośmy skazali byli i któregośmy ułaskawili... Wszystko nam jedno. Tak jak wprzódy krzyczeliśmy: »Precz z poezją!« — tak teraz darliśmy się: »Niech żyje!« — byle był krzyk, było życie...

Jeden z przeciętnych, zataczając się z nadmiaru świętości, winnej winu, podtoczył się do odmieńca i rzekł z patosem:

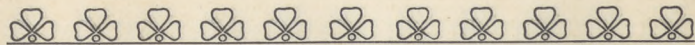
— Chociaż my ciebie uwolnili, chociaż ty nie święty, ale ty, serce, nie żyjesz... Ot, wiesz co, pluń ty na te metafizyczności, absoluty... Żyj ty, bracie, jak my wszyscy... Tu poszedł, tam poszedł... tu się rozewał, tu się nagadał... tam zjadł, tu wypił... pokochał się... Ot tobie życie! A nie to: siedzi — biedny — myśli — błądy...

Tu zapłakał.

Podsądny (teraz już uwolniony) wyjął ręce z kieszeni, wziął płaczącego za oba uszy (przeciętne) i rzekł w sam bębenek jednego z rzeczonych uszu:

— Przeżuwacze! Sentymentalniki! Kon-krety!

Wypowiedziawszy te nieprzystojne słowa, odmie-



niec podszedł elastycznie ku oknu, otworzył je, i nim spostrzeżliśmy, co chce czynić, wyfrunął pod obłoki, zbiegł światem, i zniknął.

Uczynek ten odmienia za nieusprawiedliwiony znanymi już regułami przyrody musieliśmy uznać i zarazem przypuścić możebność istnienia nowych jakichś, nieskodyfikowanych jeszcze reguł, które mimo to światem rządzą.

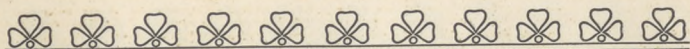
.



1875

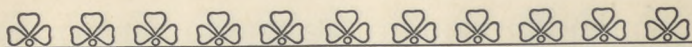


BAJECZKI



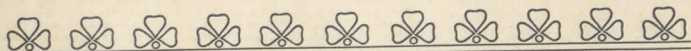
WSTĘP

Od czasu wynalezienia bajek, zwierzęta, skłonnejsze do czytania i przyjmowania dobroczynnych wpływów literatury, to i owo w naturze swojej przeinaczyły. W bajeczkach poniższych o takich właśnie ulepszonych stworzeniach mowa.



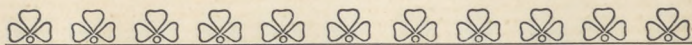
KROK I LIS

Kruk siedział na gałęzi, trzymając w dziobie kawał sera. Ujrzał to Lis i mówi: »Słyszałem, że pan ślicznie władasz tenorem, i że to u was rodzinne. Zaśpiewaj, proszę«. Kruk zjadł naprzód ser, a potem rzekł: — »Czy masz pan młodszego brata? Tak? a więc przyjdź z nim jutro, o tym czasie, w to miejsce, to wam powiem, żeście kpy obadwa. Czy nie wiesz, że jestem tym samym krukiem, którego już rak wystrychnął na dudka wychwalaniem przodków. *Malo accepto stultus sapit* — wiesz pan. Czytałem, i, ostatecznie, albo się korzysta, albo nie. Pan, widzę, masz jeszcze dużo starej naiwności, chociażęś lis. Żegnam«. I odleciał.



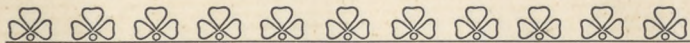
ORZEŁ I KRUK

Widząc Kruk, że Orzeł leci w górę z baranem w szponach, rzekł: — »Dobrze, że jestem krukami: przynajmniej się nie nadźwigam«.



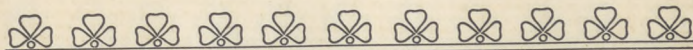
MŁYNARZ, SYN JEGO I OSIEŁ

Młynarz z synem prowadzili osła na sprzedaż. Młynarz nie chciał trudzić zwierzęcia, siadając na nie, a syn wolał biegać po przydrożach, zerwać od czasu do czasu kwiatek, albo rzucić kamieniem w ptaka i oczywiście, chybić. Gdy tak idą, spotkali gromadę gapiów krzyczących: patrzcie, patrzcie — idzie trzech osłów. Młynarz popatrzał na nich, policzył, i rzekł: — »Was więcej«. I szli dalej.



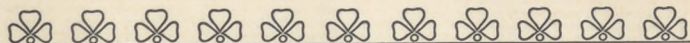
WDZIĘCZNY LEW (*Leo generosus*)

Myśliwy, spotkawszy Lwa rannego w łapę, spytał, co mu dolega. — »A coś mi włożyło, chciej-no zobaczyć«. Myśliwy spojrzął, wyjął cierń z rany, opatrzył ją i, zadowolony ze swej czułości, z radośnie bijącym sercem, chciał odejść. Ale zwierz zawołał: — »Czekaj-no, nic pilnego«. To mówiąc, uderzył myśliwca zdrową łapą i, zabiwszy, zjadł z dobrym smakiem, ile że był głodny.



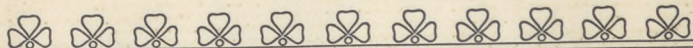
WILK I JAGNIĘ

Jagnię piło ze strumienia, a widząc w oddali zbliżającego się Wilka, poczęło uciekać. Wilk biega szybciej od Jagnięcia, to też łatwo je dopędził i pożarł.



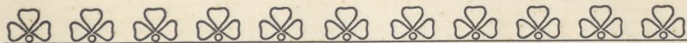
LEW I KOMAR

Komar, rozgniewany na Lwa, że ten większy od niego, wyzwiał go na pojedynek. Wyzwanie przyjęło — z pewnem zdziwieniem i ciekawością, ale przyjęło. Komar zatrąbił do ataku i zaczął pić krew z lwiego nosa. Lew poczekał, aż owad nikczemny całkowicie krwią jego się wypełnił i obrzękły spadł na ziemię. Wtedy zdeptał go końcem pazura i odszedł do domu.



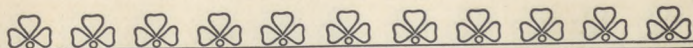
PUSTELNIK I NIEDŹWIEDŹ

Pustelnik zaprzyjaźnił się z Niedźwiedziem tak, że byli prawie nierozłączni. Pewnego razu Pustelnik spał, a po twarzy mu chodziła mucha. Widząc to Niedźwiedź, póty ją spędzał, aż Pustelnik się wyspał. A kiedy już wstał i rozmawiali o czym innym, Niedźwiedziowi ani przez myśl nie przeszło wspominać o tym wypadku. I do dziś Pustelnik nie wie, jak to Niedźwiedź uratował mu życie.



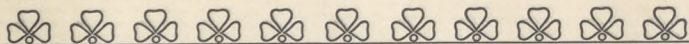
KTO RAZ SKŁAMIE, TEN SKŁAMIE I DRUGI RAZ

Mały Tomasz pasał owce. Pewnego razu, chcąc zażartować ze starszych, przybiegł do wsi z krzykiem, że wilk zjada owce. Starsi, uzbrojeni w kłonicę i widły, pobiegli, a nie zastawszy wilka i widząc owce w słusznym zdrowiu, poznali, że z nich zakpiono. Wskutek tego zbili małego Tomasza na kwaśne jabłko. Po raz wtóry bał się już żartować ze starszych. A teraz jest zupełnie poważnym, dużym Tomaszem i żartuje tylko z młodszych.



GOŁĄBEK I PSZCZÓŁKA

Widząc srebrnopióry Gołębek, że Pszczółka tonie, rzucił się i wyciągnął ją na brzeg za skrzydełko. Uratowawszy Pszczółkę od śmierci, zaczął myśleć, jakaby go za to miała spotkać nagroda. A że od Pszczółki, prócz miodu, niczego spodziewać się nie mógł, zjadł więc ją samą, i wkrótce potem, za karę, zginął w *tir au pigeon*.



PRZYJACIELE

Zajac miał za przyjaciół: konia, wołu, barana i osła. Kochał ich bardzo a znał jeszcze bardziej. Zdarzyło się, że, szczerwany psami, uciekał do lasu przez łąkę, na której paśli się wszyscy czterej. Zwracać się w nieszczęściu do przyjaciół jest rzeczą nie tylko ludzką, ale i zajęczą. To też zajac chciał już prosić krórego z nich, albo i wszystkich, o pomoc, gdy wtem przemknęły mu przez myśl ich niezawodne odpowiedzi:

— Chętnie, ale dziś nie mam czasu, może jutro — powie koń.

— Zaraz, zaraz, tylko jeszcze trochę poleżę, bom się przejadł nieco — rzeknie wół.

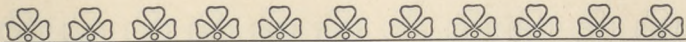
— Widzisz, kochany Zajączku — oświadczy baran — pomódz, to ja bym ci pomógł, tylko, że sam boję się o swoje kudły.

— Dobrze — mruknie osieł — ale naprzód do-



starcz mi lwiej skóry, żebyś miał czym psy nastraszyć.

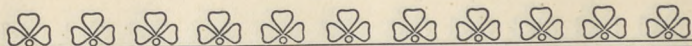
To sobie pomyślawszy, zając nie tracił czasu na daremne prośby, ale naprzetaj śmignął do lasu i to go ocaliło.



WZÓR PRZYJAŹNI

Lwu w klatce uwięzionemu Pies był przydany za towarzysza, pocieszyciela i sługę. Sprytem kulturalnym, zuchwałą siebie pewnością i szczekliwem podufalstwem Lwa oszołomiwszy, Pies lekce go sobie ważył, żer mu z gęby wydierał, a nawet pozwalał go sobie, króla pustyni, gryzać. Widząc to, publiczność, przed klatką zgromadzona, mawiała: zaprawdę, ten ci jest przyjaźni najwznieśliwszy obraz. I mówiąc tak, rzewnego istnieniem przykładu zacności ubezpieczona od potrzeby mienia jej — onej zacności — w sobie, klepała żony swe i dziatki po tłustych miejscach, i weselnie szła do kamienic swoich.

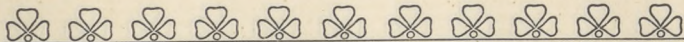
A Lew sobie, z psem samowtór zostawszy i ukąszenia od niego doznane zalizując, rozmyślał: — »Wstyd mi, Lwu, było na psi żywot godzić, więc obrazy od niego znosiłem, ale oto przebrała się miara i wobec



tych ludzi, którzy dziś głupio za przyjaciół nas mieli, jutro go rozszarpię».

Zdarzyło się atoli, że pies, z pobudek nieznanych, tejże zdechł nocy i Lwa zemsty wywarcie na sobie udaremnił. Gdy to nazajutrz do przeświadczenia Lwa doszło, jał powietrze rykiem gniewnego zawodu rozdzierać, pożywienia w ten i następne dni odmawiać, i dla swego mściwego niespełnienia zamiaru tak był wewnętrznie udręczony, iż wkrótce zmarł, by Psa zdechłego duszę, choć na elizejskich polach doścignąć i zamierzonym pogłębić odwetem.

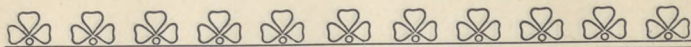
A dozorca, w ten i dni następne, do publiczności, klatkę, w której Lew, jakoby z tęsknoty za psem, umarł, pokazując, mawiał: zaprawdę, ten ci był przyjaźni najwznieślejszy obraz.



SĄSIEDZI

W zapuszczonym ogrodzie, niezbyt daleko stąd i niebardzo blisko, w miejscu, gdzie dawniej był kwietnik, a dziś wszechwładnie rozpanoszyły się chwasty, pomiędzy innym zielskiem rosła lilia.

Sąsiedzi i sąsiadki, jako: oset, szalej, łopian, rdesty, pokrzywy, cykorya dzika, skrzypy i inne osoby, z początku uważały lilię za krewniaczkę, a mogły się mylić, patrząc na jej liście grube i zwyczajnie zielone. Otaczały ją nawet pewną opieką: każdy chwast, z lekka dając jej uczuć swoją wyższość, doradzał to lub owo. Oset — żeby sobie zapuściła kolce; pokrzywa — żeby starała się wyrobić w swoich liściach jak najwięcej jadu; babka — żywiącego soku; mlecz wypytywał lilię o kwiat i zachwalał swój puszek; łopian, pod pozorem osłaniania lilii cieniem, zabierał jej słońce i t. d. Lecz wreszcie, choć z wielkim trudem, lilia wygórowała nad zielsko i wydała kwiat — biały, wielki, bujny kielich.

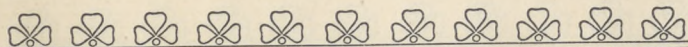


Tu zakipiało w otoczeniu. Wszystkie chwasty oburzała ta bezwstydną wielkość kielicha i ta niepokalana jego białość. Jak można coś podobnego! Jakie to aroganckie i zarazem niepraktyczne! Zdaleka rzuca się to każdemu w oczy i razi, bardzo razi..

Tak mówiły chwasty, a w duchu życzyły lilii śmierci, bo już doprawdy zanadto przygniatała ich dumę rzadką pięknnością swego wzrostu i kwiatu.

Gdy wielu czego pragnie, łatwo to następuje — cóż dopiero, kiedy wszyscy. Jakoż niedługiem życiem rozkoszowała się lilia.

Do ogrodu, który dla swej opustoszałości mógłby być raczej zwać się rozgrodem, przez obalony płot wtargnął raz osieł. Bystry wzrok tego zwierza zaczął szukać jakiegoś p o ż y t k u i wkrótce dojrzał ulubiony chwast — oset. Rażno pokroczył w tym kierunku i szybko zaczął wcielać do swego wnętrza kolczaste liście ostu. Ponieważ w tej czynności zawadzała mu lilia łaskotaniem w nozdrza, złamał ją, zdeptał, stratował; najadłszy się, ryknął — i poszedł dalej.

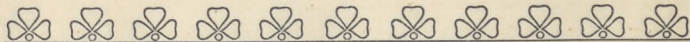


WILK USPOŁECZNIONY

Wilk pewien, za młodu, pojmany był i wychowany przez ludzi; ale nauczywszy się ich mądrości, zbiegł do boru i przystał do gromady zwyczajnych dzikich wilków, którym obce było dobroczynne uspołecznienia światło.

W dzikiej gromadzie panował obyczaj, iż jeżeli kto poć słońiny upolowywał, to go przywlekał do boru, gdzie wszyscy wilcy on łup szarpali i żarli, a wytarłszy gęby, uważali całe to zajście za rzecz zupełnie zwykłą i ze stosunków wilczych istoty wynikającą. Wilk uspołeczniiony z biesiad tych chętnie swoją dziel bierał.

Atoli zdarzyło się i jemu samemu poć słońiny u swoich dawnych mądrości społecznej nauczycieli upolować. Który poć do boru gdy przywłókł, i całego zjeść odrazu nie mogąc, chciał go z ludzkiej



przezorności pobudek w ziemię na jutro zakopać, aliści przyszła gromada i obyczajem swoim zjeść resztę poćcia życzyła. Co widząc, Wilk uspołeczniiony rzekł jej:

— O najmilsi wilkowie! Nim zrec ten poćć zaczniecie, posłuchajcie słów moich.

Zaczem zrobiło się cicho i Wilk uspołeczniiony mówił:

— Jako nas matka loika uczy, ja, do waszej gromady należąc, jestem jej przynależytością, i wszystko, cokolwiek w posiadaniu swoim być widzę, należy do was wszystkich, czyli jest dobrem ogólnem.

— Juścić, że tak — rzekła gromada.

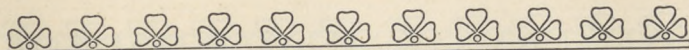
— Jeśli więc, o najmilsi, ja mam, dajmy na to, poćć słoniny, to i wy go macie. Zali nie tak?

— Juścić.

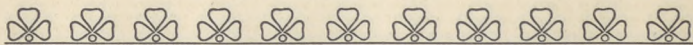
— A jeżeli ja utracę ten poćć, to i wy go wachać nie będziecie? A przeto, o najmilsi, moja krzywdą jest krzywdą waszą. Kto mnie skrzywdzi, ten skrzywdzi ogół, czyli wszystkich. I jeśli mnie odbierzecie poćć, to tak, jakobyście go odebrali sobie. Zali nieprawda?

— Ano juści — zamruczał ogół, czyli wszyscy.

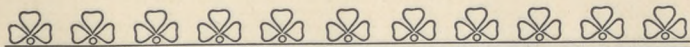
— A przeto mówię wam: poszli won!

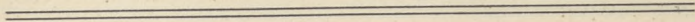


Zaczem praw loicznych szanując niezłomność, gromada odeszła. A tak mądrym wybiegiem Wilk uspołeczniony swój obronił poć i żył nim jeszcze dni kilkoro. Zaś gromada, jakkolwiek kruczeniem brzucha wątpliwość zaświadczejaca, w loicznym ukontentowaniu zupełnem, mrąc z głodu, pozostała.

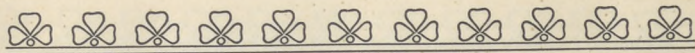


PRZYPOWIASTKI DLA DZIATEK

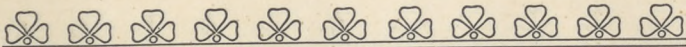


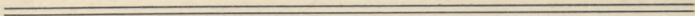


PRZYPOMNIENIE DLA DZIECI



ZAMIANA SERC



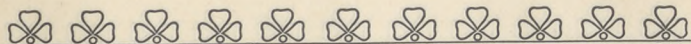


ZAMANA FENG



Była sobie pewna dziewczynka, która miała tuzin kubeczek i bawiła się nimi z tuzinem chłopczyków. A zabawka była taka, że przelewało się z jednego kubeczka w drugi, z drugiego w trzeci, z trzeciego w czwarty i tak aż do dwunastu, czyli do tuzina. Kubeczki napełnione były powietrzem, i śliczny to był widok, kiedy owa substancja w wesołych podrygach przelewała się do kubeczek. Kubeczki pobrzękiwały drucianymi pałeczkami i żartobliwie stukały o siebie wypukłymi klepeczkami, pomalowanymi w żółto-czerwone paski. Mama tylko nie była zadowolona z tej zabawki, ponieważ pryska tam, gdzie się coś przelewa, i może splamić sukienkę lub serwetę. Tak to zawsze starsi zapominają, że sami byli dziećmi.

Dwunasty z tuzina chłopczyk również nie lubił tej zabawki, gdyż był to chłopczyk wiecznie nadąsany i grymaśny. Miał on serce tak głośno pukające, jak



zegar; czasem nawet zdawało się, że bije kuranty. Pewnego razu chłopczyk powiedział do dziewczynki.

— Wiesz co? głupia to zabawka kubełki! Znam lepszą.

— Naprawdę? Jak mamę kochasz? — spytała dziewczynka.

— Jak mamę kocham — potwierdził chłopczyk, — zabawka w zamianę serc: ja ci dam swoje, a ty mi dasz swoje. Dobrze?

— Dobrze — odpowiedziała dziewczynka, zaciekawiona nową zabawką.

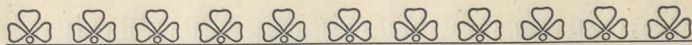
Chłopczyk prędko wyjął z kieszonki scyzoryk, chlast! chlast! po lewym boku, wykrajał serce i oddał je dziewczynce. Serce trzepotało się przez chwilę, jak ryba wyjęta z wody, ale niebawem przycichło i leżało spokojnie na ręce dziewczynki, niby jądro orzecha tureckiego, tylko dużo większe i czerwiejsze.

— No, a teraz ty mi daj swoje — wyszeptał chłopczyk cichutko, ponieważ osłabiła go ta operacja.

Ale dziewczynka zrobiła z buzi podkówkę i zaczęła płakać.

— A co ja będę miała, jak ci dam swoje serce?...
u... u... u...

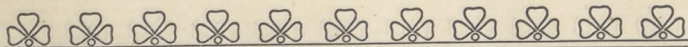
— Głupia! przecież moje włożysz sobie w piersi. Czekał, zaraz ci rozkraję. Zobaczysz, jakie to będzie zabawne.

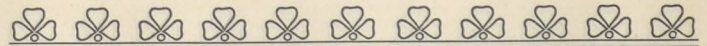


— No, mamusiu, ja nie chcę, ja się boję... Nie bawię się z takim brzydalem... O, krew, krew... Mamusiu!... Idź sobie od nas, boś niegrzeczny!

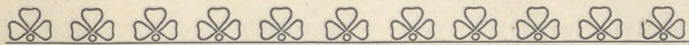
Chłopczyk bardzo się rozgniewał i zmartwił. Poszedł do kuchni, wziął od Maryanny igłę z nitką, zaszył sobie pierś jako tako ścięciem »przed igłą«, porwał za swe wzgardzone serce i uciekł. Po drodze zaś rzucił je jakiemuś buldogowi. Pies pożarł serce chciwie, co jest rzeczą dziwną, ponieważ buldogi rzadko kiedy bywają głodne.

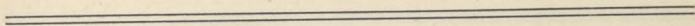
Chłopczyk ten pewnie byłby umarł; całe szczęście, że wykrawając serce nader pośpiesznie, nie wykrajał go doszczętnie. Chorował długo wprawdzie i płakał, ale właśnie łzy nie wylewały się na zewnątrz, tylko zraszały tę pozostałą część serca. Dlatego też urosło mu drugie serce, tylko mniejsze, nie pukało już tak głośno i nie biło kurantów.



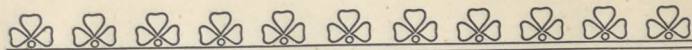


KLARCIA





KAROL



I.

Pewna dziewczynka, imieniem Klarcia, była grzeczna, posłuszna, i miała mamę. Wy też pewno macie mamy, kochane stokrotki!

Mama nieustannie powtarzała Klarcii: — »Klarciiu, trzymaj się prosto! — Klarciiu, nie gniew sukienki! — Klarciiu, czy chcesz być podobną do córki stróża, ordynarnej dziewczyny, co nie ma nawet buziek ani lalki?«

Klarcia nie chciała być podobną do córki stróża, to też trzymała się prosto i nie gniew sukienki.

Potem Klarcia chodziła na pensję. Mama wtenczas mawiała znajomym paniom i panom, że Klarcia uczy się *à merveille*, to znaczy cudownie. Jak to miło, kochane aniołki, gdy kto może powiedzieć *à merveille*, i to akcentem paryskim!

Na pensyi nauczycielki przepadały za Klarcją. Zawsze miały jej coś do powiedzenia:

— Dlaczego panna dziś nieprzygotowana?



- I znowu niedostateczny!
— Rzym nad Dunajem! ależ to okropność!
— Mój Boże, jakie one były gadatliwe te nauczycielki! Ale Klarcia tylko uśmiechała się. Przecież umiała już tyle: nie gnieść sukienki i trzymać się prosto!

II.

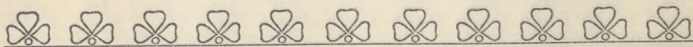
Gdy Klarcia wyszła z pensyi, ożenił się z nią pewien bogaty staruszek. Był to poczciwiec i taki przyjacielski! Sam lubił panienki młode i miał wielu przyjaciół, zwłaszcza młodych, gdyż młodzieńcy szanują starców.

Jeden z owych młodzieńców nie mógł prawie żyć bez dobrego męża Klarcii. Często go odwiedzał. Klarcie także bardzo lubił. Nie dziwcie się, drogie dzieci: przecież zawsze jeszcze trzymała się prosto i nie gniotła sukienki.

Pewnego razu Klarcia przyszła do mamy i powiedziała:

— Mamo, ja się nudzę.

Ale mama, jako niewiasta doświadczona, wiedziała, czego potrzeba kobiecie: trzymać się prosto, nie gnieść sukienki, a potem wyjść za bogatego staruszka. Więc tylko popatrzała na Klarcie, wzruszyła ramionami i wyrzekła:



— Jutro mamy bal na biednych u baronowej de Filantrop. Przyjeżdż. *A propos*, jak zdrowie męża?

Klarcia rozdarła jedną rękawiczkę przez pół, u drugiej urwała palec serdeczny i poszła do domu. W drodze spotkała córkę stróża. Była to zawsze ta sama ordynarna dziewczyna, choć już miała buciki a nawet męża.

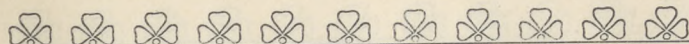
— I kochacie się? — zagadnęła Klarcia.

— Pytanie! — odpowiedziała ordynarna istota i mrugnęła jedną powieką, co u pospolitaków oznacza figlarność.

Klarcia westchnęła i wróciła do domu. Otworzyła okno w swym buduarze, usiadła na pięknym fotelu w złocisty deseń, i zamyśliła się.

Czas był wiosenny. Drzewa owocowe na gwałt pączkowały. Bukiety bzu na stole pachniały. Na gałązce jaśminu, tuż przy oknie, śpiewał słowik. Śpiewał o tem, że fijołki powychylały się z traw, że noc majowa, taka ciepła i cicha, że tak rozkosznie zbudzić się rano... Śpiewał, że układa nokturn dla swej samiczki.

Niezaprzeczenie był to piękny śpiew. Klarcia słuchała i słuchała. Chciałaby ucałować i te fijołki, co mówią, że już wiosna, i tego słowika, co tak śpiewa... Ale słowik, jak na złość, wyfrunął z jaśminu i poleciał budować gniazdo w krzewinie młodych świerczków. Wtedy Klarcia załamała ręce i powiedziała:



— A więc tak!

Co ten okrzyk miał znaczyć — niewiadomo, ale odtąd największy przyjaciel staruszka zaczął jeszcze częściej go nawiedzać. Klarcia przestała się nudzić i trzymać się prosto, a sukienkę miewała raczej zgniecioną.

III.

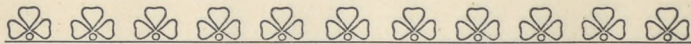
Pewnego dnia siedzieli we dwoje na kanapce w złocisty deseń. Klarcia wsłuchiwała się w brzęczenie pszczoł za oknem. Młodzieniec palił papierosa.

— Ach, jaki zapach! — rzekła Klarcia. — Chciałabym, żeby zawsze była wiosna.

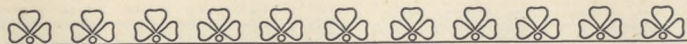
— Phi! — odrzekł młodzieniec, wydmuchując dym, i chciał pocałować Klarcie w uszko. Lecz Klarcia odsunęła się, co nawet było niegrzecznie. Wtedy młodzieniec wygiął ramię, by Klarcie objąć.

— Ach, Boże! — zawołała Klarcia. Byłaby pewnie powiedziała coś więcej, tylko że młodzieniec zasłonił jej usta wąsami. Klarcia okropnie się zażenowała, jak to łatwo możecie sobie wystawić. Wtem do pokoju wszedł dobry staruszek i wpadła pszczoła o strasznie żądle.

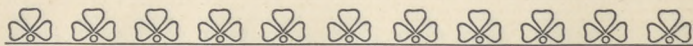
Młodzieniec raptem wstał, porwał za kapelusz



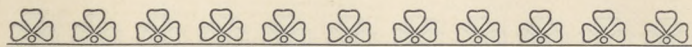
i szybko wybiegł z pokoju, bez pożegnania. Zapewne zląkł się pszczoły, bo nie można przypuścić, żeby dobrze wychowany młodzieniec chciał popełniać niegrzeczność względem dobrego staruszka, swego przyjaciela. Odchodzić, nie żegnając się, można tylko, gdy się opuszcza liczniejsze towarzystwo.

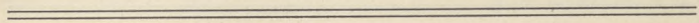


z wyjątkiem wyjątku z pokonania, bez przesady, zapanowa-
nia, nie pacy, do nie może przystąpić, żeby dobrze
wyłączyć, natomiast, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli,
z wyjątkiem, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli,
dot, nie, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli,
konieczne, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli, jeżeli.

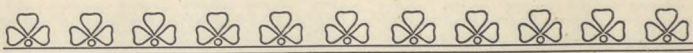


BRZYDKI CHŁOPCZYK





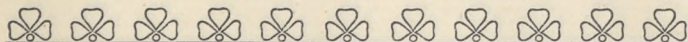
BRZYDKI CHOROBY



A teraz opowiem wam kochane dzieciaczki o jedynym brzydkim chłopczyku. Ach, co to było za brzydactwo!... Posłuchajcie tylko.

Od urodzenia już był on taki leniwy, że to przechodzi wszelkie pojęcie. Cały dzień wylegiwał się w kołysce, a jedynym jego zajęciem był wrzask do tego stopnia przeraźliwy, że aż mama musiała mu zatykać usta kawałkiem cukru zawiniętym w szmatkę. Biedna mama, ile ona łez wylała przez tego nicponia, tegoby nie mogło obliczyć dwóch najstarszych profesorów matematyki. Nikt nie nazywał go inaczej, tylko Jaśkiem. I słusznie. Powiedzcie: gdyby tak was nazywano, czy nie spalilibyście się ze wstydu, wy grzeczne, kochane Jasieczki?... Ale Jasiek nie dbał o to, nawet się nie rumienił.

Wreszcie brzydal ten zdecydował się porzucić kołyskę, ale tylko po to, aby sprawiać mamie nowe zmartwienia. Nie chciał się nic a nic uczyć. Z popłatanych przez niego elementarzy możnaby założyć sporą



papiernię, wskazówek używał do robienia sobie w piasku ogródków! Co powiecie — pewnego razu nie zaważał się wylać z kałamarza wszystkiego atramentu, dlatego tylko, żeby uwolnić muchę, która tam była wpadła. Dla głupiej muchy robić taką szkodę!...

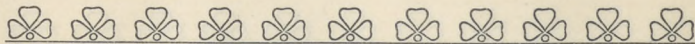
A raz znowu było tak. Przyszedł do mamy dziadek po proszonym chlebie. Miał duży kostur, dużą brodę, duży worek i duży zielony daszek nad oczyma. Mama dała mu czerstwą bułkę i powiedziała w dodatku: — niech Pan Bóg opatrzy.

Jasiek przyglądał się dziadkowi uważnie — niestety, uważniej niż sylabom — naraz wymknął się z pokaju; po chwili przybiegł zadyszany i podał dziadkowi zieloną okładkę od książki.

— Na, masz kapelusz! — zawołał takim tonem, jakby okładka warta była pół miliona.

— Ach! — krzyknęła mama — toż ten urwis obdarł »Wiązanie Helenki«! Co ja pocznę z tym chłopakiem!... Za karę nauczysz mi się od »Piła piłuje« do »Woznica wozi«...

Jasiek jednak nie chciał »piłować«. Od książki odbiegał i włóczył się to po łące, to po lesie. Jak myślicie, co on tam robił? Oto kładł się na brzuchu i przyglądał się albo mrówce, jak wlecze skrzydło chraścząca, albo pszczołe, jak ssie miód z kwiatka.



Pominąwszy to, że kłaść się na brzuszku jest niegrzecznie i że tak robią tylko źle wychowane chłopczyki, niszczył on przytem ubranie i czas próżniaczo przepędzał. Było też na co patrzeć!... I czego on nie wymyślał, żeby się stać uprzykrzonym. Mamie zwłaszcza dokuczał ciągłymi pytaniami:

— Mamo, a jak grzmi, to co jest?

— To Bozia jedzie po niebie — mówiła mama tajemniczo.

— A jakie ma Bozia konie, kare czy siwe?..

Pękać doprawdy ze śmiechu, co on raz zrobił! W czasie burzy i ulewy wybiegł do ogrodu, przemókł do suchej nitki i zaziębił się. Mówił, że chciał zobaczyć, jakie Bozia ma konie. No, czy nie głupi bęben? Mama naturalnie zadała mu od »Katarzyna szczury łapie« do »Wilk wyje«.

Albo ni z tego, ni z owego, zapytuje Jasiak:

— Mamo, co to znaczy być dobrym?

— To znaczy, widzisz, hm... kochać Bożię i bliźnich.

— A czy reneta kocha Boga i bliźnich? co, mamó?

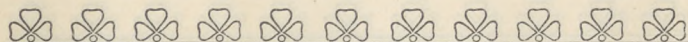
— A to utrapieniec!... jakże może jabłko kochać

Bożię!

— Bo mama mówiła wczoraj, że reneta dobra.

— Widzisz, reneta nie ma duszy.

— A ja mam duszę, co mamó?



— Ty masz.

— A gdzie ja mam duszę, co mam?

— Eh, odczep się smarkaczu! Już mnie głowa przez ciebie rozboleła...

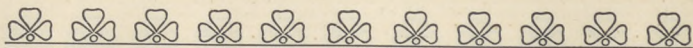
Istotnie mama przyłożyła sobie do skroni dwa plasterki cytryny, przywiązała je chustką, poczem wyrzekła:

— Ucz się; jak się będziesz uczył, to się wszystkiego dowiesz!

I co powiecie! Odtąd Jasiek zaczął się pilnie uczyć. Ale uważcie tylko dlaczego? Bo chciał wszystko wiedzieć. Nie naśladowcie go, kochane dzieci: słyszałyście przecie nieraz zdanie: »Dzieci nie powinny wszystkiego wiedzieć«. Była więc to naganna i harda ambicyja w tym brzydkim chłopaku. Dał on jej dowody i w późniejszym życiu.

W gimnazyum, naprzykład, na egzaminie umyślnie spóźnił się z własnym wypracowaniem, bo odrabiał drugie dla kolegi. Czy wiecie, dlaczego to zrobił? Jedynie, żeby kolega miał mu coś do zawdzięczenia. Jaki szpetny charakter!

Co większa, gdy mu umarła mama, nawet nie nosił po niej żałoby — do tego stopnia był wyzbyty z czulszych uczuć. Nawet nie wziął swojej części spadku, nie szanując ostatniej woli mamy. Oddał go



siostrze, twierdząc, że sam na siebie zapracować potrafi. W tem, jak widzicie, dał dowód wielkiej zarozumiałości.

Wogóle, w stosunkach z ludźmi był szorstki, brutalny.

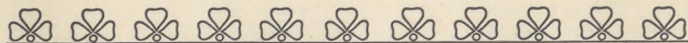
Nie powiedział nikomu żadnej grzeczności. A przecież to tak niewiele kosztuje, a zjednywa serca!

— Co ja się mam kłaniać tym błaznom? — mówił. I rzeczywiście nie kłaniał się.

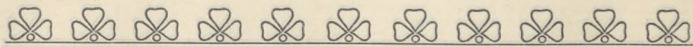
To też marny los zgotował sobie.

Żył sam, opuszczony. Nie miał ani żony, któraby pytała go: »Mój drogi mężusiu, czy mi do twarzy w tym nowym staniku?« A to tak miło, gdy żona zapytuje, czy jej co do twarzy! Nie miał ani teściowej, któraby mówiła: »Mój panie, moja córka ma czerwoną żyłkę na oku, czyżby płakała!« Nie miał też ani synka takiego malutkiego, co wybiega naprzeciw, gdy wracacie do domu, gramoli się na kolana, chwytając malutkimi rączkami za wąsy, albo raptem wykrzykuje: »D a d u z u, j a c h c e n e d z w e d z a!« Tak, tak, kochane dzieciętki — nic z tego wszystkiego nie miał Jasiak — niecnota.

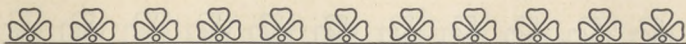
Jak żył, tak też i umierał, sam. Za trumną nie szedł nikt, tylko jeden policyant podprowadził ją do końca ulicy; zresztą miał inny pilny interes na rogu.

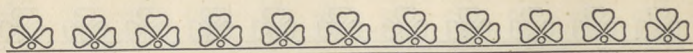
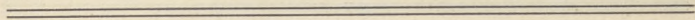


Na cmentarzu leży Jasiek w kącie wilgotnym. Gdyby nie wilgoć, to i tej kępki niezapominajek z pewnością tu nie było. Jeden kwiatek zabłąkał się aż na mogiłę. Mała muszka przylatuje tu czasem i siada na kwiatku. To pewno praprawnuczka tej, którą Jasiek wyratował ongi z atramentu. Ale wy omijajcie to miejsce, kochane, lube dziecieczki!..



PRZEBACZENIE





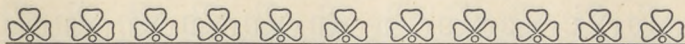
Miał Chłopiec kochankę, w której wszystko było dobre i piękne. Jeden tylko szpecił ją narów: gdziekolwiek znalazła kałużę błota, zaraz w nią wzięła i nuż się babrać. Długo tak było, aż Chłopiec powiada: »Kiedyś taka, to ja ciebie nie chcę«. I poszedł sobie daleko, daleko.

Ale był to Chłopiec niemądry i nie wiedział, że jak się kocha, to się kocha, bo niema tej winy, którejby nie przebaczyło kochanie. Więc, w samotności, darmo przypominał sobie zły narów kochanki: o kochaniu jej zapomnieć nie mógł. Płakał, tęsknił i mówi: »Już nie mam cię, moja kochanko!... O jakże cię pragnę, chociażbyś samym była brudem! Gdzie ty? co robisz? Jakie masz sukienki?... Tak mi żałośnie, smutno bez ciebie i gorzko«.

Usłyszał te lamentsy Czarownik.

— Czego płaczesz, dobry Chłopcze? — spytał.

— Jakże mi nie płakać? Tej którą kocham, nie masz przy mnie!



Tu opowiedział co i jak.

— A chciałbyś ją mieć znowu?

— Czy chciałbym? bez niej życia nie czuję, duszy nie mam.

— Masz duszę, masz, mój Chłopcze: przez nią pamiętasz i cierpisz. Ale jeśli mi ją dasz, to cię nauczę, jak odnaleźć kochankę.

— Bierz wszystko, tylko mi ją daj odszukać.

— Zrobisz tak. Gdziekolwiek zobaczysz kałużę błota, włóż w nią po uszy i wynurzaj się tego, a znajdziesz, czego szukasz. To mój sposób, a teraz proszę cię o duszę.

— A nie oszukujesz mnie? Słowo?

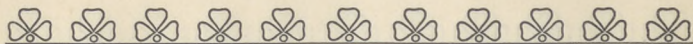
— Słowo.

— No, to weź ją sobie, tę duszę, która mi sprawia tylko udręczenie.

Tu Czarownik kazał Chłopcu otworzyć usta, zapuścić w nie na sznurku haczyk, i po chwili wyciągnął z gardła coś w kształcie tiulowej szmatki, którą starannie zwinął w małą kulkę, włożył sobie w usta, pogryzł i połknął.

— No, bądź zdrow, Chłopcze — powiedział, i odszedł.

Chłopcu zrobiło się przykro. Zaczynał uczuć w sobie czczość i nudę i niechęć do samego siebie.



Kwiaty, które przedtem podniecały go jak usta kochanki, przemieniły mu się w garść barwnych śmieci; w zadumanych cichych drzewach widział tylko płataninę koślawych sęków; zieleń traw przesianych słońcem raziła go jednostajnością. Czuł za to nieprzepartą chęć unurzania się w błocie coprędzej.

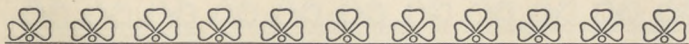
Jakoż znalazł sporą kałużę i skoczył w nią bez namysłu. Zaledwie się pogrążył, aliści drgnął z wielkiej radości, bo oto zatrzepotała się w nim dusza kochanki, dobra i litosna. Zaraz też inaczej spojrzął na otaczające go błoto. »Biedne — myślał — wszyscy stronią od niego, z wyjątkiem prosiąt, niech więc ma w swoich objęciach przynajmniej jedną ludzką istotę — mnie. Co to za rozkosz topić swoją białą czystość w takim czarnem, biednym, lepkiem błocie!«...

Tak myśląc, tonął coraz bardziej, że tylko mu włosów trochę było widać. Później i te znikły. Na powierzchni kałuży z trudem wygramolił się bąbel, pękł i skończyło się.

A tymczasem, gdy się to dzieje, porzuconej ko-chance zaczęło się dłużyć i mówiła: »O, czemuś mnie opuścił? Porzuciłeś swoją kochaneczkę, ty niedobry... Jestem taka sama, sama... Gniewam się na ciebie«...

Usłyszał to Czarownik i mówi:

— Czemu płaczesz, dobra Dziewczyno?



— Jakże mi nie płakać? ten, którego kocham, nie jest przy mnie.

— I dlaczegóż to, Dziewczyno? Albożes nie ładna? I to masz ładne i tamto.

— Ładne, prawda?... Jednak mnie porzucił, brzydal ten.

— A kochał cię?

— O, bardzo.

— I całował?

— O, bardzo.

— A jakże on to cię całował? pokaż no mi, dziewczyno, to ci zaradzę.

— Ot tak... — i pocałowała Czarownika. Ten się oblizał i rzekł, oddając pocałunek.

— A może i tak całował?

— No, i tak czasem.

— A tak nie?

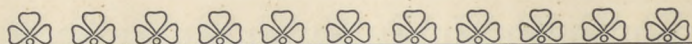
— I tak się zdarzało.

— No, to rzeczywiście brzydko, że cię porzucił. Ale trzeba mu przebaczyć, gdyż niema tej winy, którejby nie przebaczyło kochanie.

— Ach, to trudno, on taki niedobry! Tak mnie zostawić samą!

— I nie całować ot tak?

— Tak.



— I tak?

— Och, tak...

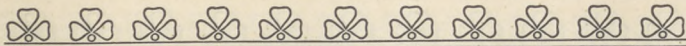
— A może tak?

— No, i tak...

— A jednak trzeba mu przebaczyć koniecznie.

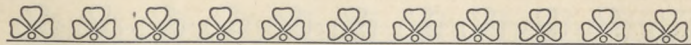
Tu Dziewczyna, widząc, że opór na nic się nie zda, popłakała jeszcze trochę i — przebaczyła.

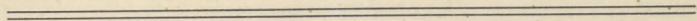
Bo niema tej winy, którejby nie przebaczyło kochanie.



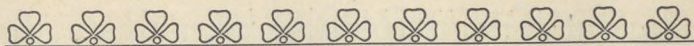


ŚMIERC PTAKA



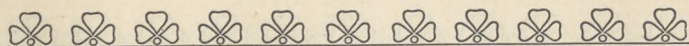


SMITHSONIAN



Przyszedł na świat w kraju gorącym, bujnym i kolorowym. Co za wola doli go tam rzuciła? czy ten kraj piękniejszy był nad inne kraje? czy wogóle one istnieją te inne kraje: zimne, złe i ubogie?—nad temi pytaniami by najmniejsza go dolegliwość zastanawiać się nie zniewała. Kochał swoją samiczkę złocistą, i był od niej kochany; żadna gadzina pełzająca nie mogła mu szkodzić, bo on, Ptak, mieszkał w niebie, gdzie wszystkim dość przestrzeni nieobjętej, i światła, i wonności; czasem, kiedy wyfrunął wysoko, wysoko, widywał morze, do mgły lazurowej podobne... słowem, żył, był szczęśliwy i na tem koniec.

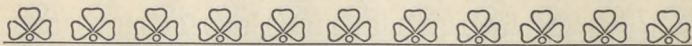
Pewnego dnia rozgniewał się na samiczkę, a to z trzech względów. Naprzód, zdawało mu się, że jego towarzyska patrzy zbyt uważnie na jakiegoś pospolitaka, mającego bardzo żółto w dziobie i sam dziób tępy aż do dziwactwa. To jedno. Powtóre, czuł się dotkniętym jej spokojną obojętnością, która była tylko



chwilowem i niezbędnem uciszeniem się żądz żywszych. I wreszcie pragnął zaspokoić głód samczego autorytetu, która to potrzeba co pewien czas musi mieć swoje zadowolenie, tak jak u samiczki — potrzeba odczucia siły swoich ponęt.

Pogniewał się, sfrunął na ziemię, chodził sobie, chodził, dąsał się i myślał, że gniewną nieobecnością wyrządzi swej żonie sporo udręczenia. Ale pomysł taki zwykle bywa nieowocny, ponieważ samiczka, dla swej odruchliwości nadmiaru, nie może wdawać się w myślowe retrospekcyje i woli chwilę przytomną, niżli upojenie przeszłe — cóż z tego, że piękne, jeśli już dokonane — i przyszłe — cóż, że obiecujące, jeśli ją ominąć zdolne; idea czasu, niezapełnionego żadnem cieczeniem zewnątrzności, z którejby można mieć radość, niewątpliwie rozsądziłaby małeńką, złotą łebetynkę ptasią. To też samiczka, nie widząc długo swego towarzysza, bez najmniejszego, jak to on sobie obliczył był, rozgoryczenia, wstąpiła w bliższy z żółtodzióbym cudzogniazdkarzem związek.

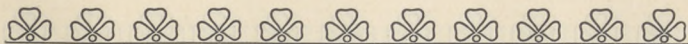
Tymczasem Ptak, nagniewawszy się dostatecznie, chciał już, tknięty żałością, wracać. Ale — ach! — kto niebacznie włóczy się po ziemi, tego ziemską spotyka przygoda. Jakoż Ptak, zamysłony o swej towarzyszcze ukochanej, wdepnął w samotrzask, który nie omieszkał natychmiast się za nim samozatrzasnąć.



Co było potem, możnaby jedynie ze snem złym równać — snem długim i bolesnym. Ptaka, zamkniętego wraz ze stoma innymi ptakami w dużej klatce, w prawdziwych koszarach ptasich, więziono i wieziono, noszono, huśtano i rzucono, wśród jakiegoś zgiełku, bez określonej i spokoj rodzącej myśli. Otaczała go mętna i hałaśliwa obcość, nie dająca mu ześrodkować się i odbierająca otuchę; trwoga zabijała w nim ciekawość i udaremniała rzeczy tych dzikich poznanie.

Nareszcie zrobiło się cicho. Ptak dostał miejsce w zimnym kraju, w domu pewnej Staruszki, i był jak małe żywe światełko, rozwidniające ubogi jej żywot. Ale jemu samemu było niedobrze.

W mieszkaniu panowała szarość i smutek. Ni plusku wodospadu, ni liści szelestu, ni barw migotliwych, ni woni gorącej, ni kłaskania ptactwa—nic. Staruszka miała syna. Syn ten, podobnie jak Ptak, kochał pewną samiczkę, ale go opuściła, czy też odumarła. Odtąd, zatopiony w myślach o niej, wiecznie chodził po pokoju i głucho stukał nogami, co wcale nie było zabawne. Czasami przystawał przed klatką, kładł między przęsła jej palec i drażnił się z Ptakiem. Robił to jednak w roztargnieniu i myślał o czym innym, a raczej o dziewczynie swej, która go opuściła, czy też odumarła. Z początku Ptaka to zajmowało. Palec wydawał mu się niezależną i zuchwale



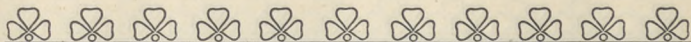
wścibską osobistością, z którą należy bój toczyć. Rzucił się na wroga, obejmował go pazurkami, niby gałązkę, i dziobał z wielkim piskiem wojennym. Trwało to dopóty, póki nie dostrzegł związku człowieka z palcem, i nie uświadomił sobie, że ostatni jest tylko ślepem narzędziem ludzkiej bezmyślności. Odtąd przestała go podniecać ta komedya.

W pierwszych dniach swego pobytu więziennego, pobudzany tęsknotą i żalem, śpiewywał:

Ti-ti-ti,
ti-ti,
ti...

Śpiew ten rodził się w nim jako przypomnienie dalekie, i śpiewem tym Ptak o coś jakoby wołał. Ale wkrótce, znużony daremnością wołania i jednostajnym życiem w zamknięciu, przestał śpiewać i osowiał.

Staruszka, posądzając go o nostalgię samczą, politowaniem wiedziona, i ze względów higieniczno-moralnych, wpuściła mu do klatki pożyczoną od sąsiada samiczkę. Lecz Ptak wobec niej zachował się nietylko że obojętnie, ale nawet szorstko. Wydziobał jej kupkę piór, podrapał, i nastroszony, jak mały żółty język, długo i zabójczo patrzył na nią, wciśniętą w kąt jego drucianego mieszkania, aż ją stamtąd wydobyła Staruszka.



Dom ptasi mieścił się na parapecie okiennym, na którym tuż obok rosła w doniczce jakaś Roślina podzwrotnikowa, może nawet pochodząca z ojczyzny Ptaka, chociaż tam on, zajęty swoim szczęściem, wcale jej nie widywał. Jeden liść tej Rośliny, podobny do długiego szerokiego miecza, przedostał się do klatki i Ptak zaczął go dziobać.

— Proszę mi dać spokój — rzekła Roślina surowo.

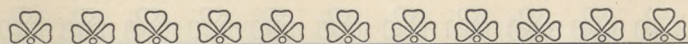
Ptak przeprosił ją za obrazę i zawiązała się znajomość.

— Czy i ty jesteś w niewoli? — spytał.

— Poniekąd — rzekła Roślina: — korzenie mam uwięzione w donicy, ale pień i korona moja wolne. Rosnąć i kwitnąć mogę, jak mi się podoba, a nawet, dzięki donicy, mam ten przywilej, że mogę podróżować.

Ptaka zastanowiła ta odpowiedź. Czyżby i on nie mógł sobie tak życia urządzić? Wszakże jego cielesność to niby korzenie Rośliny, uwięzione, ale on — może sobie o czem chce myśleć, i to będą jego liście i kwiaty. Postanowiwszy to, spróbował myśleć o swobodzie.

Raz, korzystając z przypadku otwartych drzwi klatki, wyfrunął był w mniemaniu, że wydostaje się na wolność. Ale gorzko się zawiódł. Poza swoją klatką znalazł przestrzeń pokoju — takiej samej klatki, tylko większej. Bił skrzydłami o ściany, o sufit, o starą



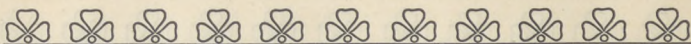
szafę, o piec i inne jakieś sprzęty, aż straciwszy nadzieję wszelką, wrócił do więzienia swego dobrowolnie, zziębnięty i pełen rozpacz.

I odtąd złamała się w nim arterya wiążąca go ze światem zewnętrznym, zapadł się jakoby w głąb własną i odrętwiał.

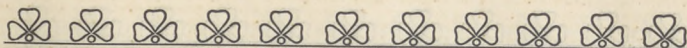
Wtedy po całych dniach siadywał nieruchomo na ubielonej kałem maleńkiej grządce i podobny był do tych kwiatów napuszonych, drzemiących na łądkach, jak puchowe główki schylone nad łąką. Tylko że w główce tej działo się coś dziwnego: rozwijała się w niej maleńka duszyczka.

Pewnej nocy, gdy było ciemno, cicho i samotnie, zdawało się Ptakowi, że światłem jakimś, z wnętrza jego idącym, przebite ma powieki, i że przez nie, przez te snem zwarte łupiny, zaczyna widzieć. Widzi siebie, jak wyfruwa z klatki, potem z drugiej klatki, z pokoju, dalej — przelatuje obręb zimnego i brudnego powietrza w tym obcym, więziennym kraju — trzeciej klatce i, na koniec, wydostaje się na wolność.

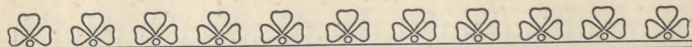
Jest w swojej ziemi. On, który jej nie znał, gdy w niej przebywał, teraz widzi ją w dojmującej rozkoszy wizyjnej. Widzi niebo nigdy nie chmurne, o przezroczystości bezdennej — niebo, jak ciche, leżące wody, a on, Ptak, fruwa i świadomie odróżnia złocistość piór swoich



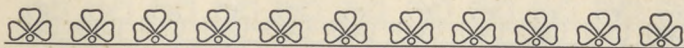
od lazurowej jego barwy; czuje powietrze tak miękko podkładające swą płynną wiotkość pod jego skrzydła, tak go bacznie i lekko niosące; widzi drzewa, które są gajem i chronią się od gorąca we własną cienistość — i drzewa nagie, wysokie, i coś sobie samotnie podniebnym wierzchołkiem szepczące, i drzewa zabawne otyłością, i drzewa, niby kochankowie szczupli, sposobni do zwartszych uścisków, i drzewa o korze pachnącej i niespożytych owocach; widzi i kwiaty wielkie jak drzewa, i kwiaty wyrastające z kamieni, i głązy o barwie kwiatów, i kwiaty podobne do amfor, o wodzie wiecznie zdroistej... I widzi morze do mgły lazurowej podobne, morze, które widywał był i dawniej, ale czuł je wówczas jako nieprzytomną chęć polatywać i śpiewu: a teraz pojął oną lazurowość, która tak właśnie morza toń przenika, jak on, Ptak, jest żywym i wolnym przenikniętym chceniem. A nie jest to chcenie cierpką żądzą, która rzecz swoją dopiero ima, ale wykwita ono w nim jednocześnie i jako stan upojny i jako treści onegoż zjawy; rodzi się ono, i w tym samym momencie rodzi się też wypełniająca je rzeczy chcianych widomość: niebo nigdy nie chmurne, o przejrzystości bezdennej, i morze do mgły lazurowej podobne, i gór samotność, i drzew ekstaza gorąca, i piór ukochanej złotość... Widzi ją, tę swoją ukochaną, której nie znał, gdy byli razem,

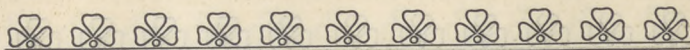
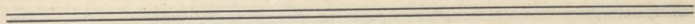


widzi ją teraz, jako migający we wszech-rzeczach pęd do zwania się w jedno, widzi ją, jak frunie i łączy sobą, swym śladem złotym i niebo nigdy nie chmurne, i morze lazurem omglone, i drzew wysmukłość do swoistszego objęcia sposobnych, i zarośli wieniec, leżący jak piana barw na dali krańcach; widzi w zachwycie tę swoją jedynie ukochaną, jak żywo szczebiocząca, zdolna do przyjmowania i udzielania radości w każdym mgnieniu, wzbija się z nim, ze swoim Ptakiem, do góry, i lecą w niebo nigdy nie chmurne, nad morzem do mgły lazurowej podobnem, nad gór nieruchomem schyleniem i wśród fal powietrznych wiotkości, lecą wyżej i wyżej, i on, Ptak, uczuwa rozkosz nieobjętą, rozszerzając się, jak to niebo, na wszystkie strony, rozkosz tak niezmierną, że pali mu jego małą, świeżo zrodzoną duszyczkę i pochłania w swej świetlistości...

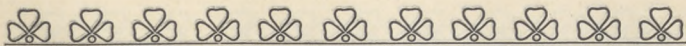


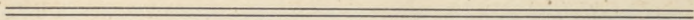
SIELANKI



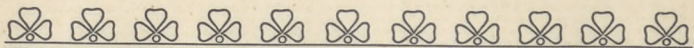


BILARD

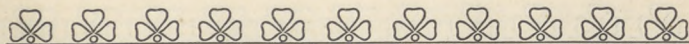




BLANK



Nareszcie przybył, obity deskami, opakowany jak dziecko w pieluchach. Przywieziono go na umyślnym wozie, mocnym półtorakolejowym. Doniosły ten wypadek zgromadził natychmiast rzeszę ciekawych z dworu całego. W tłumie tym wyróżniały się postacie kucharza, ogrodnika i lokaja, usuwając na drugi plan widzów mniej znakomitych, jak Filipka, Andryjka, Petryka i Potapa. Pierwsi uważali za swój obowiązek udzielać od czasu rad, tyjących się zniesienia i ustawienia bilardu. Wybiega z lekcyi Telemak, panicz, i swą osobą dostojną powiększa zbiegowisko. Zjawia się i pani hrabina w całym uroku toalety rannej: w szlafroczku, czepeczku, pantofelkach... Sama obejmuje kierownictwo nad znośzeniem i odpakowaniem, ożywiona, czynna. W zapomnieniu rozprawia z kucharzem, ogrodnikiem i lokajem. Znoszą. Niosąc, zachęcają się: razem! razem!... Filippek, syn woźnicy, przytknął rękę do brzeżka i jest przekonany, że bez niego wszystko poszłoby na nic.



Odbijają... O rozpaczy! Marmur pękł na siedm kawałków!...

Hrabina, zapominając o swym negliżu, biegnie do pana Mentora (inni śpią jeszcze) i z załamaniem rączek poznajmia kłeskę.

— Wyobraż pan sobie... na szczątki!...

— Co na szczątki?

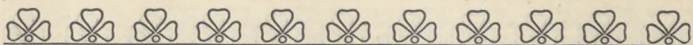
— Błat!... Błat!... Czy słyszy pan?... Co na to powie hrabia?... *Mon Dieu!*... Oto obraz naszego szczęścia: gonimy je, szukamy go... *nous nous affaisons*... i w końcu znajdujemy co? *Rien, rien, si ce n'est que les tristes débris*...

Westchnienie podnosi hrabinie tiul na piersiach.
Mentor:

— Czy się nie da naprawić? Gdzież się to stało?...

— Albo ja wiem?... *Et mon mari qui se rejouissait tellement d'idée d'avoir chez soi un billard!*... Jakie szczęście, że go niema w domu! Ale jak mu tu oszczędzić tego zmartwienia?...

Tymczasem na dworze, po odpakowaniu i odbiciu desek utworzyło się wielkie rumowisko z drażków, tarcic, desek, sznurów, gwoździ, papierów, rogózek... Podczas kiedy wszyscy, zaprzątzeni, żwawo się krzątają, na ruinach tych zasiadł Filipek, ten sam, co przy znoszeniu dał tak skuteczną pomoc. Teraz spoczął na laurach,



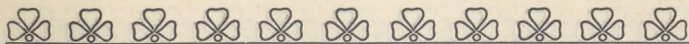
a raczej na pudle z desek, i poważnie wpatrzył się w te pozostałości. Myśl jego zatrzymała się snadź na wniosku, że wszystko dąży ku ruinie, gdyż raptem wstał, wydobyl kozik, i ukroiwszy szmat rogożki, począł umykać z nim w kierunku stajen. Obejrzał się parę razy, ale nikt ścigać go nie myślał. Wszyscy, tacy gwarni przed chwilą, stali teraz niemi, niby sparaliżowani, zarażeni kalectwem bilardu. Kucharz tylko, człek lekkomyślny, lekceważący nawet całość ustrojów żywotnych, bynajmniej się nie wzruszył.

— Wielka mi rzecz! Pozlepia się, zrówna i już. Pęknięte!... Jak przykryć suknem, to albo zobaczysz co? Jeszcze jak będzie można grać!...

Lekka opinia ta podrażniła miłość własną lokaja.

— E, co pan tam?... Ja chodziłem koło tego, to wiem. To nie byle co! Jak ci tyle ot, co czarno za paznokciem, wlezie pod sukno, to już... Tu trzeba, panie, żeby ci równo było jak...

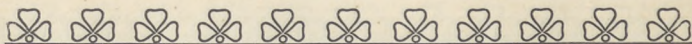
Hrabina powoli przeszła w stan cichej rezygnacji. Pozostała jej tylko obawa o męża. Tak długo się zbierała, zawsze coś stawało na przeszkodzie. Nakoniec myśl w czyn zamieniona *et voilà quelle détresse!* Ponieważ nie lubuje się w roli ptaka złej wieści, więc hrabiemu o tem nie będzie się pisało. Trwoga ją tylko zdejmuje, czy hrabia wytrzyma cios tak gwałtowny bez przygotowania?...



Wytrzymał.

Tu w całej pełni zajaśniała moc i hartowność hrabiowska. Zaiste, szczytny to był widok. Wobec blatu splekanego, ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy z czerwonego marmuru, której mogliby mu pozazdrościć dawni wodzowie. Mimowoli przychodziła na myśl owa przypowieść o chłopcu spartańskim, co wołał żeby mu lis szarpał wnętrzności, niż żeby krzykiem bólu miał przynieść ujmę swemu męstwu. Wyświetliła się również i druga cecha natury hrabiego. O ile słabe dusze upadają pod ciosem, o tyle w charakterach silnych ujawnia się potęga odporności. To też hrabia, nie tracąc czasu na daremne żale, sprowadził odpowiedniego mechanika i razem z nim, pracując od świtu do późnej nocy, zdołał jako tako posklejać szczątki i ponaprawiać uszkodzenia.

Jeżeli mężowie, zahartowani na polu walki lub w bojach życiowych, schodzą z wyżyn swych i oddają się na chwilę krotochwilom dziecinny, to jakież to uroczy widok i rozrzewniający! Czyż nie można się rozczulić wobec opisu Homera o tem, jak to ów Hektor waleczny, którego zabiciem tak się szczycił Achilles, bawił się, niby z rowiennikiem, z synaczkim swym Astyanaksem! Dziwne też wzruszenie ogarnęło dwór, kiedy hrabia cały dzień, pierwszy dzień, przepędził na bilardzie, godząc do bil kijem, czyniąc duple, tryple,



kwadry, fałszerze, cofańce, *coups de roi*, *coups secs*, *coups massés*, *kwetscher'y* i langiery.

Jeszcze jedna okoliczność rzucała światło na charakter hrabiego, wykazując nowy jego punkt styczny z wielkimi mężami. Hrabia nie mógł żyć bez poklasku. Lubił, żeby go podziwiano. Natura jego ekspansywna czyli »wypańszczona« nie była zdolna do polegania na swem własnem »ja«. Towarzystwo było dlań niezbędne, by przed nim błyszczeć. Był to żywioł jego konieczny. W danym wypadku brakowało mu tak zwanej przez bilardzistów »galeryi«. Cierpiał dużo z tego powodu i starał się brak ten uzupełnić, zwołując żonę, Telemaka i Astyanaksów. Ale to mu nie wystarczało, gdyż widzowie ci mało, albo wcale z grą nieobeznani, nie animowali jej, jak się wyrażał, dostatecznie. Mała *Sophie*, czyli Astyanaks pierwszy, na widok maszynek w bandach do oznaczania punktów, krzyczy:

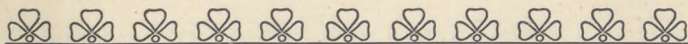
— Patrz, patrz te małe rzeczy, co robią muzykę!

Marthe, czyli Astyanaks drugi, zauważyła:

— O, tatuś wygrał. Wiesz, jak się trafi w kulę, to się wygrywa. Prawda, tatuściu?

Tatuścio robi karambol z kwadry, którego zawiłość przechodzi pojęcie Astyanaksów.

— Jakie one głupie — woła Telemak bardziej pojętny. — Niech one nie przeszkadzają.



Hrabia znudzony i niezadowolony z otoczenia.

— Idźcie sobie, bo tylko robicie dystrakcję.
Niech tam kto poprosi tu pana Mentora.

Mentor zły, że mu odebrano spokój, z klątwą w duszy przychodzi na pokoje. Ile razy hrabia zrobi jakie dobre uderzenie, zwraca się po sąd do niego:

— Widziałeś pan?

— Widziałem — odpowiada Mentor. A po całej seryi tych »widzeń«, wraca do siebie, klnąc po cichu:
Veni, vidi et vesperum perdidit!

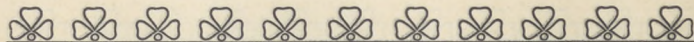
Uroczystością było dla hrabiego, gdy przyjeżdżał jego partner ulubiony, sąsiad, Syn Ojca Bogatego. Właśnie zajęci grą. Syn Ojca Bogatego zapisuje różnice. Jest i Telemak obecny i jego Mentor. Ostatni zapytuje:

— Któż kogo?

— Ja przegrywam — mówi Syn Ojca Bogatego — ciągle. Kreda gałgan.

Hrabia:

— Ej, nie kreda gałgan: gra gałgan... Widziałeś pan ten *coup*, co?... Dziewięć... Dziesięć... A to jak się podoba?... Jedenaście... Jaki efekt, co?... Dwunastego nie robię... *Pardon*, zrobiłem. Dwanaście... Ot tego uderzenia są trzy sposoby. Biorę najtrudniejszy... Aj, aj, co za obrzydliwy lufcik!...



Syn Ojca Bogatego przychodzi do kija i słowa:

— Czas już zdaje się i na mnie... Jeden... Hrabio, tu mały fałszerzyk?

— Fuszer tylko tak gra. Ja gram langierem... Eh, nie pan do tego!

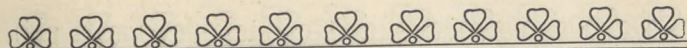
— Po fuszersku, lecz zrobiłem. Dwa... Znowu kiks.. Głupia kreda.

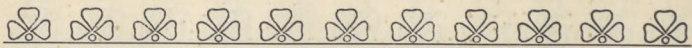
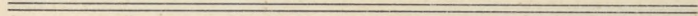
— Gra, panie, gra... Ot ten karambol dobrze robi księżę Zadziwił. Spróbuję... *Superbe!*... Wiesz pan, grajmy rubla punkt, gra się a n i m u j e.

— *Bon, va!*... O, ten trudny. Gram go ot tak... Faj — kiks!

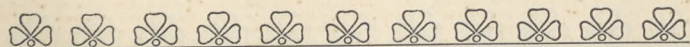
— Chciało się Zosi jagódek!...

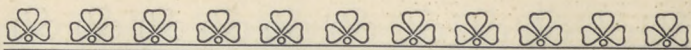
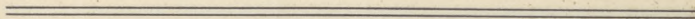
Telemak patrzy uważnie i uczy się. Mentor »widzi«. Astyanaksy dawno już śpią w swoich łóżeczkach, jako bile w swych łóżach.





CZARNA TOPIEL



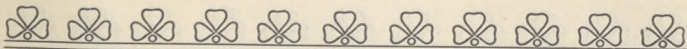


....Wychodzę na ganek. Tam, poza gęstwiną kalin, bżów i sumaków, wystrzela w górę potężna lipa — ozdoba sadu. Rozpostarła dwa konary, niby ramiona, i chce objąć zachodzące słońce, które zwolna, jakby z żalem, chowa się za krawędź lasu, rzucając na niebo parę ostatnich smug purpurowych...

Cisza taka... Od stodoł dolatuje skrzyp wrzعیądz. To gumieny zamyka podwórze, zamyka i pobrzękuje kluczami...

Brnę po rosie do »wody«, jak tu nazywają stawy. Księżyc wypłynął wielki, srebrny, i oświetla mi ścieżkę.

Niema w okolicy większych nad tutejsze stawów. Jeden z nich — główny, łączy się z dwoma innymi przez gardziele, zarosłe oczeretami, sitowiem i tatarakiem. Stawy utworzyła rzeka, która teraz ot pełźnie jak żmija zdradliwa, pełźnie, a z boków jej kłębią się mgły i opary białe...



Na grobli, prowadzącej do młyna, spotykam jakąś babinę. Stoi zapatrzona w wodę.

Podchodzę bliżej i pytam:

— Cóż to babciu, zgubiliście co?

Albo ty mi, synku, uśnij,

Albo ty mi już urośnij...

znękanym głosem nuci stara, zamiast odpowiedzi, i wyciąga rękę. Daję jej miedziaka. Żebraczka bierze pieniądze, rzuca go do wody i coś mruczy. Podchmielona widać. Nie słucham już dalszego jej mruczenia...

Milszy mi nokturn młyna — przyjaciela, co właśnie dojrzał mnie już z daleka i nawołuje szumem i warkotaniem, i kłania mi się kołem, połyskującym w księżycu.

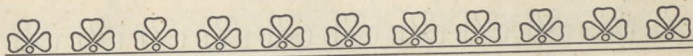
Dwa tygodnie znamy się dopiero, a przecież jesteśmy z sobą na stopie serdecznej zażyłości.

W dzień staruszek ubielony wypatruje mnie swem okiem szczytowem, o rżęsie białej z pyłu mącznego: w nocy — przyzywa terkotem gadatliwym... Jeszcze parę kroków i wstępuję na pomost przyjacielski.

— Jak się macie, Andrzej. Cóż tam słyhać? robota jest?

— Dobry wieczór panu... Kto nie wałkoń, tego robota znajdzie. Chwalić Boga, robi się — odparł Andrzej sentencyonalnie, wyjmując fajkę i spluwając.

Młynarz, Andrzej Gawęda, chodzi w długiej suk-



manie chłopskiej i siwej czapie barankowej; przednio miele zboże i również dobrze miele językiem — trochę z dworska. Przystając mówić, szpuntuje usta fajką, którą ćmi zawzięcie, choć innym na młynie palić zabrania. Oczywiście powoduje się zazdrością, bo młyn swój kocha, a w sprawach miłości cenimy wyłączność pewnych przywilejów. Spluwa po mistrzowsku, przez zęby.

Młynarczyk Grzela krząta się, przesuając jakieś worki. Na pomoście, zwiesiwszy nogi nad wodą, siedzi krewniak Andrzeja — Wicek. Chłopak ten widocznie coś cierpi, bo zamyślony wiecznie, a duszę schował tak głęboko, że w oczach mu jej nie widać.

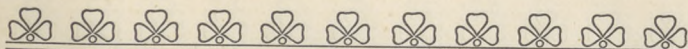
— Dlaczego wasz Wicek zawsze taki nieswój? — zwróciłem się do Andrzeja.

— Et!... — młynarz machnął ręką i strzyknął przez zęby w sam środek dyla — bo i prawda, że nie swój, ino kobity, co go otumaniła... Wicek, ciemiego, ocknij się, mało to masz dziewczuch?...

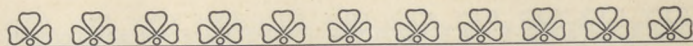
Ale Wicek milczy, jak pień. Majda nogami w zamysleniu i posępnie spoziera na fale, co z szumem podlatują i chlupocą pod kołem.

Siadam na okrągłaku i patrzę na staw...

Z zarośli nadbrzeżnych zerwał się wietrzyk i dmuchnął zwilgłym zapachem tataraku i mokrej rzęsy wyciągniętej za dnia siecią. Od czasu do czasu wyrzuci



się ryba, błysnie łuską i pluska w wodę. W świetlanej smudze migocą drobne fale... rosną, rosną... pędzą do szluzu i obalają wielkie, omszałe kolisko. Dźwiga się powoli ciężka machina, parska i otrząsa z siebie strugi perliste. Lecz oto znów szoruje zziązana woda, kładnie grzbiet spieniony pod skrzydła koliska, a szumem opowiada coś!... Może opowiada o rybaku, zapuszczającym na noc saki, gdy luna wieczorna zarzewiem obrzuca mu głowę, może o łozinie nadbrzeżnej, co rankiem zalotnie przegląda się w toni; może o wilku rzeczonym, co, ugodzony ością, dogorywa w kępie sitowia; może o topielcu, jak chyboce się w szuwarach, gdy raki szarpiają jego zwłoki przegniłe... Słucha młyn — staruszek, aż wzdrygnie się, zadygoce zgrzyt i kołat wyda z wnętrza, zrywa się, by ujrzeć te dziwy i płynie pod wodę i z Andrzejem w długiej sukmanie, i z Wickiem smętym, i z Grzelą młynarczykiem. Płyniemy tak, hen, ku tym ceniom posępnym, gdzie tajemniczo drzemie Czarna Topiel. Czy, że olchy wysokie cieniem długim ją mroczą, czy, że światła boi się to miejsce, dość, że ciemne ono i ponure, jakby wiedziało, że jest śmierci tajnikiem. Głębia tam ma być niezmierzona. Rybacy uważają ten odmęt za nader niebezpieczny. W Czarnej Topieli — powiadają — wir jakiś nurtuje. Widziano, jak drzewa kłocę zakręcały się tam, niby wiórki, i, targnięte niewi-



działną siłą, w nurt się pogrążyły. Ma być też dziwna tam woda: czasem ciepła, to raptem jakiś prąd zimny ją przerznie...

— Nie wiecie, Andrzeju, co to za babina włóczy się tu i w staw rzuca pieniądze?

— A... to pewnie pan mówi o tej waryatce starej — to matka Czerwonego Franka.

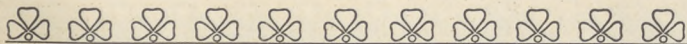
Ponieważ objaśnienie to nie było zbyt wyczerpującym, miałem zapytać o tego czerwonego Franka, gdy wtem Grzela zakrada się z tyłu Wicka i raptem, udając, że go chce zepchnąć do wody, chwytą za ramiona i huką mu nad uchem: »hula na wodę!«.

— Grzela pójdziesz ty... — odwarkuje Wicek, ale jakoś flegmatycznie, jak gdyby widmo niebezpieczeństwa, co nagle zajrzy w oczy, nie bardzo go przerażało.

— Nie żartujta, chłopaki, z takich psich figlów już niejeden kark skręcił.

Do tej uwagi ogólnej, Andrzej dodaje Grzeli parę szczegółowszych kuksańców, poczem siada w wielką powagę. Chwilę milczymy. Młynarz pociągnął z cybucha, spojrzął na księżyc i oświadcza, że należy spodziewać się na jutro deszczu.

Powietrze przepełniają ciepłe opary, nasiąknięte aromatem pól i łąk kwiecistych. W oddali spoczywa cicha wioska, tylko w jednej chacie, na skraju połyskuje



w oknie światółko czerwone... Coś zadudniło na mostku... to konie pędzą na wyżerkę nocną. Przeleciały i znowu cicho, jeno wewnątrz młyna klekoce gadatliwie.

— Andrzej, co to za Czerwony Franek — ponowiłem pytanie.

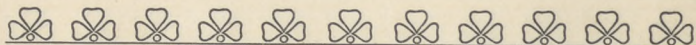
— E, to stara historia... też z psich figlów.

— Opowiedzcie mi, mój Andrzej?

— Ano... Grzela biegajno zobacz, czy dobrze od-sypuje... Z tym Frankiem to tak było... A nie zaprusz tam ognia, Grzelaaa!

Poszedł młynarczyk, Andrzej zaś poprawił się na pniaku i, patrząc w dal księżycową, tak zaczyna przy jednostajnem wtórowaniu warkotu młyńskiego.

— Będzie temu, żeby nie zełgać, lat ze trzy, jak przywędrował tu jakiś obieżyświat, Bóg jego wie — zkąd. Na imię mu było Franek, ale we wsi wołali na niego »Czerwony Franek«, bo miał ci czuprynę jak ta krew, a ślepie to jak sam dyabeł. Siedział on Franek pod lasem, z matką, a miłował ci tę matkę, jak... Leśnika raz pojuszyl, że o chróśniak ją terpał... O ojcu różnie powiadali ludzie, osobliwie baby: wszystkiego się wy-wiedzą, wszystko spenetrują. Siądą se na przyźbie i sep, sep, sep... ot, babskie nasienie. (Tu Andrzej pociągnął

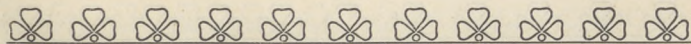


z fajki i wydmuchnął z dymem swą lekceważącą opinię o babach.) Mało to raz Franek wpadał do wsi i pomstował:

— »Łeb — wrzeszczy — rozwałę psia ścierwieli... od mamy wara!« Mamą ją nazywał, dworką pono była... Wszystkie dziewuchy, choć to niby boi się, a zęby szczerzyły do Franka, mizdrzyły się: taki ci był... I z wszystkiego się umiał wymigać. Policyanty go raz goniły, bo często gęsto coś zwereszył — i nic: wymigał się. To — mówi — tamto... i wykpi się. Inszy, to choć ci na plecy upadnie, a nos zbije: ten nic — jak na psa łyko wdział. Jeszcze sobie przekpiwa... Trzymałem ja pod tę porę wietrak za Kamionką. Kiepski to był zarobek choćby i ten wietrak. Ode wsi kawał, a młyn za pazuchą. Trafiało się, że wichrzysko takie ci, że ha!—dmie, aże śmigi trzeszcza, a tu mlewa ani poświeci... Założ, człeku, ręce i leż.

— No i cóż ten Franek, Andrzej? — przerywam.

— Zara będzie i o Franku. Pan toby chciał tak duchem: urodził się — peda — i umarł — i już. Wszystko trza dokumentnie... Więc, panie święty, myślę ja sobie i kalkuluję. Mam gębę rozdziwiać patrzący, jak trą się gołe kamienie? Rzucę wietrak do psa i pójdę do Opilskiego za czeladnika. Opilski miał ten młyn wtedy i kuli tych okoliczności kiedym niekiedy tu zaglądał. O też to był kawał filuta ten Opilski!... A cwana bestya, że i żyda



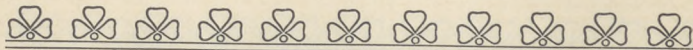
potrafił otumanić. Spojrzeć na niego — Jezusek układny, a w duszy — gadzina...

— Mieli się żenić z Marychną — westchnął Wicek melancholijnie.

— O, widzisz go, odezwał się mazgaj... Myślisz, że wzdychaniem i bekiem u dziewczki co wskórasz?... Sapie drażał jak dudy na chórze. I tyli czas!... Wicuś, wybij ty sobie z głowy. Nie zatracaj duszy. Toć już za gospodarzem ta twoja Marychna. Dwoje już ma przychowku: jedno ponoć Frankowe.

Ale Wicek westchnął jeszcze boleśniej, jeszcze głębiej. Blaski księżycowe spływają mu na włosy i na twarz bladą, i rzeźbią na tle ciemnem jego profil o smutnym wyrazie. Andrzej ciągnie dalej.

— Oj, nie Marychnać to była, ale cała Maryna. Dziewka, jak kafar, kraśna niby wiśnia, a podchlibna, a umizgus dziewucha... ho, ho!... To kwiatek se wepnie w stanik, to wstążkę jaką założy, aby ino na nią chłopaki patrzyły. Nie bardzo tam ona i chciała za Opilskiego, ale ojcowie ciągiem jej kładli w uszy: będziesz — mówi — młynarzowa, pani — mówi — całą gębą. I przekabacili dziewuchę. Już było po zmówinach, a na tę porę przypytał się do wsi on Czerwony Franek. Odrazu się zwąchali z Maryską, że to Franek do czego jak do czego, a do dziewuch to był taki skory, jak wilk do

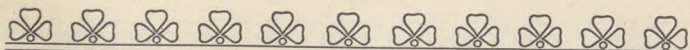


jagnia. Spiewki różne śpiewywał, na harmonii grał pięknie... Jak ci rozciągnął ten miech na dwa łokcie, potem prawą ręką do siebie, palcami drobniutko, a lewą na basie — hu, ha!... W tył głowę odrzuci i w oczy dziewczusze patrzy... to ci o mało dziewczka ze skóry nie wyskoczy!... Na nic rozbałamucił Marynę... W odwieczny, kiedy z pola powrócą od roboty, po rosach idzie z lasa granie onej harmonii... Usłyszy Maryna, zakasze kiecki i leci... Rowy przeskakuje a leci... Do późna w noc zasiadywała się w borze — mówiły baby. Z Opilskim Franek byli na udry. Ale Opilski jak Opilski — lis. W łyżce wody by Franka utopił, a pary z gęby nie puści, zęby ścina. A może się bojął zadzierać, kto jego wie... Franek, żeby sobie z Opilskiego choć tyle robił — gdzie tam. Nawet na młyn przychodził... Schodzili się tu zamanówszy to dworscy, to wsiowy który-niektóry: pogadać, pobaraszkować...

W tem miejscu Andrzej przerwał, stuknął o pniak fajką, wytrząchnął z niej popiół, przedmuchał, aż za-skwiercało w cybuchu, i schował ją do kieszeni kapoty. Następnie podszedł do drzwi, wsadził głowę w czarny otwór i krzyknął:

— Grzela! a czego się tam tłuczesz po wyżce? Złaz ino.

Zatupały buty Grzeli po schodach, wynurza się



z latarką sam Grzela i oznajmia, że razowa już zmełta, i że oś trzeba jutro nasmarować.

— No, to zastawiaj! Dość na dzisiaj!

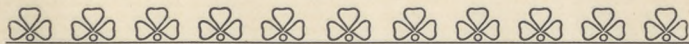
Grzela, chętny widać do odpoczynku, spuszcza stawidło co żywo. Uderzyła woda o stawidło, warknęła gniewnie, że kładą jej tamę i odpływa, pomrukując. Przerwała się w połowie ostatnia gama terkotu, szarpnęło coś w środku i młyn stanął. Wstrzymuje bieg kolisko, mokre, jak gdyby spocone ze zmęczenia... Cisza, tylko syczą i popluskują cieniutkie pasemka wodne, ciurkające przez szczeliny. Daleko gdzieś na łące koń zarżał przeciągle, przeraźliwie... Donośniej teraz, na tle ciszy, brzmiał głos Andrzeja:

— Łońskiego roku, coś jakby o tym czasie, jestem ja na młynie, jest i Czerwony Franek. Gadu-gadu o temowem... jeszcze było przy tem paru fernali i stary Kumosiński, rybak dworski. Zgadało się, kto lepiej pływa. Opilski się przechwala i na Franka z podełba zerka. Kumosiński, ba i wszyscy mówią, że Opilski we wodzie jak ryba, bo go znam: od małego w rzece się chlapał. »Co barłoczyta — krzyczy Franek — Opilski, Opilski!... a na Czarną Topiel się nie puszczał!« — A na to Opilski, jak to on umiał, słodziuteńko tak!... Judasz zatracony! — »A to puść się, Franusiu, puść — pokaż żeś chwał, co



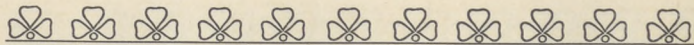
ci to szkodzi... Ale ty pewnie boisz się. O Franusiu, chwacki z ciebie chłopulek, ale do dziewczuszek, skory — ale w gębie!»

— »Ejże, panie Opilski — mówi Franek, a ślepia mu latają, jak u żbika — macie wy dużo plew we młynie, ale to nie z moich słów, ino z waszych«. Opilski przy-mrużył jeden ślip i podjudza: — »Ano, to załóżmy się, że nie przepłyniesz Czarnej Topieli?« — »Założmy się — woła Franek; zerwał się i podskakuje do Opilskiego — może nie!... załóżmy się... dobra!... dwa razy przez Topiel śmignę, jak nic... Idzie, panie Opilski?« — »Idzie« — mówi młynarz. — »Garniec okowitki?« — »Niech będzie i garniec« — mówi Opilski i patrzy jakoś tak na Franka, że tylko — tylko co nie powie: nie będziesz ty, Franulku, pił mojej okowitki, nie będziesz ty mi szczupaczków wykradał, nie będziesz ty do Marysi podchodził... Dobrze. Wzięli się za ręce, przeciął Kumosiński i zaraz hurmem wyszli. Po drodze wstąpił jeszcze do karczmy. — »Ja funduję — mówi Opilski. — Garniec swoją drogą, a funda swoją drogą... Wszyscy wypilił po jednym. Franek wypił raz — splunął. Opilski mówi: — »Wypij — mówi — jeszcze, na drugą nogę — mówi — żeby ci się lepiej pływało«. Wypił. Dobrze... Wziąłem ja Franka tak za połę od spencerka i mówię: Franek — pedam — daj ty spokój! — »E, co mi tam zawracacie —



krzyknie. — Albo mi to pierwszyczna?... Chodźta, chłopcy!« — Nie słuchasz, myślę, to nie słuchaj, nie mój koń, nie mój wóz... Poszlim. Przyszlim nad Czarną Topiel, oł, co tam ją ano widać — czarna, jak noc na nowiu... Franek zdjął spencerek, i coś jakby go tknęło. Spojrzał na nas — ale nic. Rozebrał się do cna, podszedł nad burtę i zaczął rozgartywać rękoma sitowie... — »A przegnąj się« — mówi Kumosiński. — »E, co mi tam« — mówi Franek, i zara chlust do wody... Poszedł jak ten szczupak — ino się czarna woda zakotłowała... Uplynął tak kawałek, odwrócił jeszcze głowę i krzyknął:

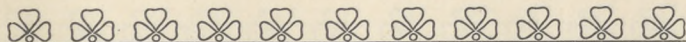
— »A pamiętajta, chłopcy, o mamie!... — »A co, boisz się, Franulku — krzyczy Opilski — wróc się, wróc: idź do mamy pod pierzynkę!« — »Żeby cię cholera! — odkrzykuje Franek. — Powiedzcie mamie, żem ja...« — Coś chciał Franek mówić, aleśmy nie dosłyszeli: zachłysnął się, widać... Płynie dalej. Patrzym i coraz któryś powie: źle — nie wytrzyma. — »Nic mu nie będzie, nie bójcie się — mówi Opilski — złe złego nie weźmie«. — Widzim, Franek naprawdę płynie jakoś dobrze, smyrga rękoma mocno... Już wypłynął na środek Topieli... Naraz widzim, coś nim szarpnęło... Ale nic: wyrzucił się jak ryba, i płynie. Przepłynął tak może jeszcze ze dwa staje i zawraca. — »No, — mówi Opilski — trzeba stawiać garniec!« Patrzym, a Frankiem jak nie zakotłuje coś,



jak nie zakręci — tylko mu czerwoną głowę widać... — »Trzymaj się« — krzyknął jeden fornał... Nasłuchujem, patrzym... Kumosiniński aż zsunął się z burty. Jedno raz Franek wyskoczył tak do pasa i woła: »Ratujta, chłopcy!« Myślim przekpiwa pewnie... I gdzie tu kogo ratować?... A on znowuż: »Ratujta, ludzie!«... Ale gdzie tu ratować? Łódki niema, nic niema... Jeden na drugiego patrzy. Ja pływać — ani weż, tamci kiepsko. Oglądamy się za Opilskim, a Opilski gdzieś zemknął — Judasz... Jeszcze raz krzyknął Franek, ale już słabo, raz jeszcze nim wyrzuciło i tyleśmy go widzieli...

Wicek przysiada się bliżej. Wspart na kolanach łokcie, objął twarz dłońmi i słucha chciwie. Grzela chrapie na worach pod ścianą. Andrzej tak kończy:

— Potem, to i bosakami go sięgałim. Pięć bosaków powiązalam, ale gdzietam!... Oplątało go na dnie, widać. Przepytywalim rybaków z dołu, czy gdzie nie wypłynął. Ale gdzie zaś... Jak kamień w wodę... Jeden z fornałi, co jeździł drugiego dnia po drwa do lasu, idzie do matki: »Wasz — mówi — Franek utopił się«. A w starej, pono, zaraz coś jakby pękło. Nawet nie zapłakała. »Utopił się — mówi — a to dobrze... Gdzie powiadacie?« — »A w Czarnej Topieli« — mówi fornał, bo potem opowiadał. Wyszła ci ona z chaty, zostawiła drzwi na oścież. »A zamknijcie, matko« — mówi fornał.



»Dobrze, dobrze, pójdę do niego« — mówi stara. I poszła. Fornal zamknął drzwi na kłódkę, zabrał się i pojechał... A teraz to co i raz ktoś spotyka ją wedle Czarnej Topieli. Postoi, postoi i mówi: »Franku, dobrze ci synku?« Mówi tak, i żeby choć zapłakała — nic. Zrozumienia niema... Niejednemu to z żalości aże w gardle zaprze: da starej to grosz, to chleba kromkę, to sera krajanekę... Weźmie stara, nawet »Bóg zapłać« nie powie. Owynie chleb w szmatę, a grosz do wody rzuca. »Naści — mówi — Franku, złoto!«... Potem to już nikt groszy nie dawał jej, bo i po co! Ale tak, do jedzenia, to jej dają, choć tam do gęby to ona i niewiele, widać, kładzie: chuda zawsze jak wiechetek.

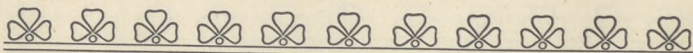
Andrzej wtłoczył rękę w kapciuch z tytoniem i tak siedział w milczeniu, jakby wpatrzony w obrazy pamięci, która, poruszona, nasuwała mu jeszcze więcej wspomnień. Wicek całkiem zanurzył twarz w dłonie. Grzela chrapał na workach.

Podniosłem się do odejścia.

— A może panu latarkę — zbudził się Andrzej. — Grzela, rusz no się...

Grzela przeciera zaspane oczy i przeciąga się, ziewając.

— A bo co?

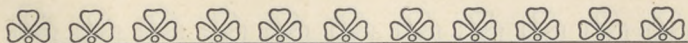


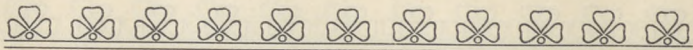
— Poświecisz panu.

Nie trzeba, Andrzej, pójdę przez wieś. Toć widno. Dobranoc wam!

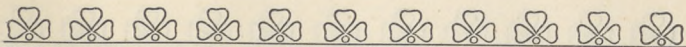
Dobranoc panu... Bóg zapłać za odwiedzinę. A jutro niedziela, niech pan zajdzie. Pojedziemy za wodę na kwaśne mliko. Dobranoc... Wicek, ocknij się! Grzela! Spać!..

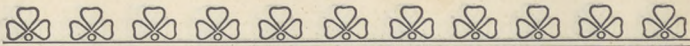
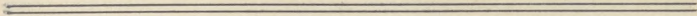
Jeszcze parę wyrazów urywanych, głośniejszych pogoniło za mną, i ogarnia mnie cisza — nieruchoma, bezdenna cisza nocy wiejskiej.. We wsi już zalatuje z sadu woń kwitnących drzew wiśniowych.. Przymrużywszy małe okienka, śpią chaty, jak ptaki powtułane w gęstwę. Gdzieniegdzie zamigocze zielonkawa szyba. W jednym oknie — tam na skraju — świeci się..





KAPIEL

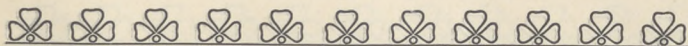




I.

W południe upalne, zgiełkliwy potok ludzki, rzekł-
byś, wysycha. Fala tłumu wsiąka w głąb mieszkań.
W łożysku ulicy widzisz mielizny prażone słońcem,
po których gdzieniegdzie, jak krab, pełźnie wolna
drynda, leniwie kołyszająca tułów granatowy i krwawą
twarz woźnicy. Wzdłuż murów skurczony cień wydaje
się zeschniętym i jakoby spopielonym. Flizy, wysuszone
żarem, zgrzytają i chrzęszczą pod podeszwami butów.
Krok cichnie tylko na asfalcie, którego miękką stopnia-
łość przypomina torfiasty grunt łąkowy. Myśl po ochłodę
wybiega na obszary łągów, gdzie wilgotny aromat leży
na darniach, gdzie na mokradłach trzciny ledwie się
chwieją, gdzie wiklina schylona gałązki maczając w wo-
dach strumienia, niby palce zielone, cienkie, w fali wło-
sów, bruździ ją i muska omdlałe.

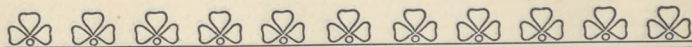
Wisła wygrzewa się w słońcu i od zbyt jaskra-
wych promieni zasłania się muślinowym obłoczkiem
pary. Gorąco wyszało wiele wody i potworzyło miałkie



zatoki między brzegiem a piaskami. W jednej takiej zatoce, odgradzonej od koryta żółtym grzbietem mielizny, kąpie się dzieciarnia.

Przyodziewek jej niekłopotliwy. Stanowią go: kurtka o powierzchni wolnomyślnej, ułatwiającej koszuli a nawet ciału bezpośrednio zetknięcie ze słońcem, i majtki, o ile ten rzeczownik można stosować do dwóch nogawek z indywidualnością odrębną, nie ulegających rygorowi szelek i korzących się jedynie przed prawem ciężkości. Jedni składają te szmaty na bulwarku, inni na krypach, i hurmem skaczą w płytką do kolan wodę, biegają, nurzają się, szamocą i potracają, wśród okrzyków, harmidru i wrzawy. Gwarne zamieszanie zwiększa jakiś pies, który biorąc snadź dzieci za dwunożnych pobratymców, naśladuje ich ruchy, albo też samodzielnie upędza się za jaskółkami i straszy je szczekaniem.

Na bulwarku mieści się galerya widzów — widzów przymusowych, mających narzucony sobie obowiązek pilnowania odzieży i niecierpliwie wyczekujących na chwilę przelania tej zaszczytnej lecz nudnej godności na swych zastępców; do widzów zaliczają się również i ci nieszczęśni, którym zabroniły się kąpać mamy. W liczbie tych upośledzonych wyróżnia się grupa trzech chłopców. Wszyscy trzej o białych, wyblakłych włosach, o twarzach bladych i mizernych, o dużych, smętnych



oczach. Siedzą na wilgotnym piasku, trzymając się za ręce. Najmłodszy trochę kaszle. Patrzą niewesoło na żwawość innych, a co powie starszy, zaraz powtarzają dwaj młodszy.

— O, gdzie ten pies łązi! — woła pierwszy z umiarkowaniem zdumieniem.

— O, gdzie ten pies! — podchwytuje drugi obojętnie.

— O, gdzie ten pies r a z i — sepleni najmłodszy, zgółta nie pojmując o co idzie.

Trzy pary oczów zatrzymują się dalej na malcu w czapce z rozłupanym daszkiem. Ów malec, w podkasanej barchance stoi nad wodą, wznosił oko mężne do trybuny widzów, niby gladyator, i wykrzykuje zuchwałym dyszkancikiem:

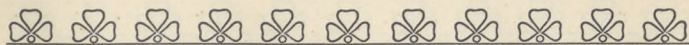
— Żebym tylko umiał koszulę włożyć, zarazbym się kapał!

— O, nie u m i jeszcze koszuli włożyć — zauważa drwiąco głowa trójcy.

— O, nie umi koszuli włożyć — potwierdza melancholijnie średni.

— O, nie umi koszuli w r o ż y ć — kończy najmłodszy obojętnie, niezdolny stanąć na wysokości krytycyzmu braci.

— A to ci frajer! — odzywa się sąsiad trójki,



pędrak czteroletni może o gładko wystrzyżonej czaszce i o sprytnych oczach. Wykąpał się był niedawno, ale mu żal odejść; przykucnął na bulwarku, oczyma bierze udział w zabawie i staje dęba z uciechy, gdy pies robi wystraszoną minę przy nurkowaniu chłopców.

Spojrzenia galeryi chwytają kolejno osoby i czyny mniej lub więcej bohaterskie, wyodrębniające się z ogólnej krętaniny i wrzawy. Oto, na łasze, jakiś nagus prze-myślny wyciąga z wody gałęzie i ogłasza tonem zaborcy nowych światów:

— To moje!

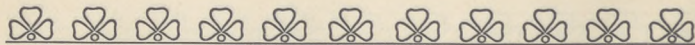
Nikt nie myśli podawać w wątpliwość jego prawa do łupu, niemniej przeto w okrzyku »to moje« brzmi groźba straszliwa, skierowana do niewidzialnych ale możliwych przeciwników tego zaboru.

Ot tamten szturga przed sobą wodę kawałkiem tyczki i naucza:

— Widzicie, ja gruntuję, jak idę.

Kilka zmoczonych głów zwraca się ku niemu, ale nie znajdując w czynności gruntowania onego pobudki do rozmyślań lub zarzutów, pierzcha i zmusza wynalazcę czerpać radość jedynie w zadowoleniu wewnętrznem.

Oto inny spryciarz próbuje skierować na siebie uwagę ogółu. Pełza po mieliznie, i wymachując rękami, oznajmia wszem wobec:



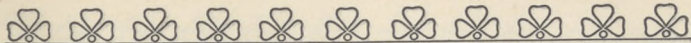
— Patrzcie, ja po kozacku pływam!

W brzmieniu głosu jego czuć dumne przeświadczenie, że pływa najlepiej ze wszystkich Kozaków, jacy kiedykolwiek rozkrzewiali sztukę pływania w dorzeczu Wisły.

Ale ni tamci, ni nawet ten, który wygarnia brudną ciecz ze spodu łodzi rybackiej, nie zaskarbili sobie uważnych stronników, co zresztą nie zakłóca ich werwy. Za to pomysł »zbijania kaczek« znajduje licznych i pilnych naśladowców. Rodzic owego pomysłu wyłowić był z dna gładki kamyk i rzuca nim po wierzchu fali. Kamyk, wyrzucony w ten sposób, odbija się o grzbiet wodny i długo skacze, podobny do jaskółki rozbawionej kąpaniem piórek w przelocie. Zbijanie kaczek, wymagające zręczności rzutu, staje się celem popisów, i niejedna »kaczka«, zamiast o wodę, trąca o grzbiet nieogłędneho kąpielowca.

II.

Patrzą widzowie na one igrzyska, aż ten i ów, znudzony beczynnem przyglądaniem się, zagnęła postanawia dać członkom słuszniejsze ukontentowanie. Oto, czynem brzemienny, wstaje widz w kaftanie tabaczkowym, podnosi kamień, trzyma go przez chwilę za plecami i, upatrzwszy sposobność, godzi prosto w żebro



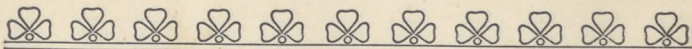
rudowłosego trytona. Galerya wita celność strzału wybuchem wrzasków, nie zajmując się przytem osobą strzelca. Ów zaś myśli już o czem innym. Stoczył się nad wodę, zwiesił nogi i pryska naokoło, niepomny, iż czyn rzucony w przestrzeń wraca, odbiwszy się niby kamień o skałę, i uderza w działającego pewnem następstwem. W chwili bowiem najmniej oczekiwanej, właściciel żebra i rudej głowy, pałający zemstą, skrada się chyłkiem do burty, wywleka pasek z czyjegóż tobołka, i jak grom szybki wlepia trzy ciosy nieopatrzemu baliście.

— O Jezu! — wykrzykuje smagnięty, zamierza się pięścią i rwie do bójki. Wtem gaśnie zwada. Pies obalił w pędzie wyżej zauważonego młodzieńca, nieumiejącego wkładać koszuli, obalił go, wsiadł nań i nie daje mu powstać. Wznieca to rozradowanie powszechne, w którym rychło kona waśń pojedyncza.

Inny wichrzyciel znalazł sobie zajęcie, aczkolwiek mające tylko bardzo pośredni z kąpielą związek, ale niepozbawione nadzwyczajnej rozkoszy. Wymachuje on sążnistą wicią przed nosem dzieciucha w długiej sukience i pyta złowrogo:

— No, podejdiesz pod tę witkę?

— Jaki mądry — odpowiada hardo zaczepiony, w tył się cofając. Napastnik, widząc tę niedojrzałość



bojową, traci zapach i werwę zaczepną: wszelako dla stwierdzenia zwycięstwa, uderza ofiarę przez środek sukienki.

— No, nie bij się, powiem mamie... — płacze bity i ostatecznie mierzi bijącemu zwycięski wawrzyn.

Przypatruje się tym wypadkom wódz smętnego trójprzymierza, czy trójbraterstwa, i ucisk niewinności wydziera mu z piersi okrzyk:

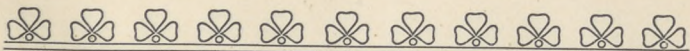
— Dalej, nie stawiaj się łazuchu!

— Nie stawiaj się, łazuchu! — wtóruje brat średni.

— Nie stawiaj się, raz uchu! — uzupełnia najmłodszy, daleki od zrozumienia doniosłości tak obelżywego trybu rozkazującego. Na szczęście pogromca sukienki puścił zaczepkę braci mimo uszu. Może zgnębiła go osobliwsza trzykrotność wroga, a może zalała mu serce raptowna gorycz: że oto już Bóg wie odkąd strzeże odzienia, gdy onego mieszkaniec w najlepsze się kąpie. Zaczyna tedy błagać i grozić:

— Teciak, ady wychodź prędzej, czego się guzdrzesz?... Widzisz, jakiś ty... Czekaj!...

Długo, długo, żaden objaw lądowy ni wodny nie pozwalał spodziewać się rychłego powrotu Tecka, ani też dawał znać, gdzieby się tenże obracał. Wreszcie na widowni ukazała się postać, mająca twarz czerwoną, szyję czarną, środek ciała żółto-oliwkowy i nogi szkar-



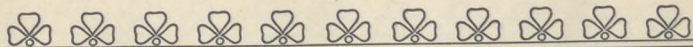
łatne. Jak najdłuższej kąpeli mogła potrzebować tylko istota o tak różnolitem ubarwieniu. Jakoż był to ów Tecieć. Usypując drogę srebrzystymi kroplami, zbliżył swe czerwone oblicze tuż do samej twarzy wartownika rozpromienionego nadzieją, i rzekł:

— Czego się drzesz, g u d ł a j u? Jak będzie pora, to ci sam wylazę.

Powiedziawszy to, opuścił łąd stały i na nowo pogrążył w falach swój barwny organizm.

III.

Już tu i ówdzie zaczynają się zrywać gniewne szemrania galerników przeciwko samolubstwu Tećków i Miećków, gdy nowe, niecodzienne zjawisko tłumi bunt w zarodku. Nad brzegiem ukazują się dwa mopsiki w towarzystwie lokaja. Pies - a n d r u s czempredzej wybiegł z wody, obwąchał przybyszów dość lekceważąco i wrócił do przerwanej zabawy. Tłuściochy zbliżają się do wody ostrożnie i z obawą, podnoszą łapki i skomlą. Lokaj zachęca je ruchem ręki, by raczyły zażyć kąpeli. Wkońcu jeden ulega namowie i robi parę kroków naprzód, lecz utraciwszy grunt z pod krótkich łapek, wystraszony, podaje tył, co widząc, upada na duchu i drugi, i obaj zmykają. Za nimi biegnie przewodnik ich złorze-



czący jak wódz po rozsypce hufców. Pies-andrus, jak gdyby chcąc zaznaczyć swą wyższość wobec galeryi, zaczyna jeszcze rażniej wykonywać nader zawile podrygi i wywijasy.

Teciek, tym razem już na dobre, wychynął z wody, narzucił dziurawy kubrak na swe kolorowe ciało i rzekł:

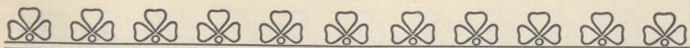
— No dymaj, Kostek, a śpiesz się chorobo!

Zdmuchnęła Kostka z bulwarku ta zwięzła pobudka. Zaś jej autor zagłębił prawą rękę w jedną z dziur kubraczanych, wydobył z za podszewki niedopałek cygara, zapalił i jął raczyć się dymem. Dla galeryi stało się rzeczą widoczną, że jeżeli wśród nagich trudno rozpoznać wielkość, to niewątpliwie uwidocznia ją kubrak i zawartość jego podszewki.

Nagle Teciek, dopaliwszy niedopałek cygara i mniemając, że od wielkości nieodłączną być winna skromność, przywdział spodnie sam i skarcił paru jeszcze obsychających nagusów temi słowy:

— Oblecz się ścierwo jeden z drugim! Będziesz to gicałami łyskać?..

Podczas gdy zgromieni posłusznie wkładali na mokre ciała odzież, zbliżyły się ku nim dwie dziewczynki, oparły główkami jedna o drugą, objęły w pół i spoglądają poważnie i bez żenady; czasem robią sobie

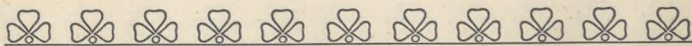


po cichu zwierzenia: może zazdroścżą chłopcom, może chciałyby się do nich przyłączyć, może się boją mam?... Kto wie, co one tam sobie szepczą?

Nadchodzą dwie inne dziewczynki z koszykami. Zbierały na wybrzeżu ostrużyny i wióry, i aż tu zasły. Złocą się w słońcu ich jasne główki z rozwianemi włosami; obie uśmiechnięte, przystanęły na chwilę i odchodzą, oglądając się jeszcze zdala. Tam znów jakaś samotnica, ze śladami łez na buzi, spogląda na chłopców, rozjaśnia oczy na mgnienie i mija ten obręb wesołości, zajęta jakąś swoją troską nieznaną...

IV.

I tak raz wraz, z omglonej dali wiślanego zbocza wyłaniają się nowe postaci: to nieletni zbieracz papierków, które łamie, ślini na kancie, oddziera część zapisaną, resztę chowając w zanadrze; to rybak z wędką na ramieniu, z dzbankiem w ręce, poszukujący miejsc głębszych lub zaciszniejszych; to szewski terminator »pchnięty na momencik do tego pana z podzelówką«; to ucniak zbiegły ze sz t u b y; to, wreszcie, jakiś stały pobytowiec nadwiślany, wolen, jak małża, wolen dążeń ambitnych i działań skierowanych ku gromadzeniu dóbr ziemskich...



Przesuwają się one postaci wolno, jakoby płynąc. Jedne łączą się z widzami; drugie pociąga kąpiel; inne, parte naprzód silniejszym celem, mijają zbiorowisko, stopniowo maleją w dali, topnieją niejako w gorącym błękiecie do wymiaru ledwie widnych szarych punktów— i nikną.

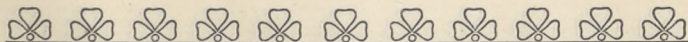
Wycofuje się z grona widzów i trójca o smętnych oczach, w które nie wlało wesela patrzyenie bezczynne. Najmłodszy zgarnął w sukienkę kilka białych skorupiek, wstał i pocałował starszego, niewiadomo czem powodowany. Średni jeszcze woła:

— O, Lutek, Lutek!

— Chodź, głupi — przynaglił dowódca trójki.

Dźwignęli się ciężko, jak spracowani drwale, i pokroczyli zwolna, zostawając nieodzownego Lutka w pełni uciech kąpielowych.

Z rozognionej kopuły nieba spływają blaski na krucze, płowe, brunatne i złotawe główki dziecięce, i na jedną rudą. Pluszcze woda roztrącana nagimi ciałkami, które już to łączą się w jedną hałaśliwą gromadkę, już to w rozprężeniu bezładnem biegną w różne strony, brodzą, gonią się, szamocą, przewracają i pławią... I daleko po wybrzeżu rozpryskują się ich szczebioty, okrzyki dźwięczne i śmiechy. Fale, miałkie, zda się dziecinne, biorą chętny udział w tych igraszkach — lekkie, bez-



pieczne, żwawe i pływkie jak dzieci. A tam w oddali, za mielizną, szumi nurt z powagą, siłą właściwą. Szumi głębia spokojnie, jeno czasami rzuci z wiatrem groźny pomruk, niby matka dzieciom rozswawolonym.

V.

Zbiegowisko jakieś z przewagą dorosłych. Gromadki mniejsze i większe to skupiają się, to rozchodzą, czemś żywo zajęte. Najlicniejsza otacza chłopca siedzącego przy zawiniątku, z którego widać rękaw brudnopopielatej kurtki i nogawkę majtek cajgowych.

Chłopiec siedzi nieruchomy, zdrewniały; jedną ręką ściska zawiniątko, na drugiej wsparty; dłoń przywarta do ziemi a palce kurczowo grzebią piasek. Jedni patrzą na chłopca ciekawie wypytując, inni z politowaniem: ci milczą też, jak gdyby szanując boleść. Niektórzy przepytują się między sobą szeptem i gwarzą.

— O, tu, widzisz rzeczy... rzeczy...

— To brat jego?

— Może i brat. Przyszli razem.

— Wartoby matce dać znać.

— O, już, nie bój się, i tak się dowie!

— Skąd to?

— Pono ze Smoczej, mówią.



Chłopiec, słuchając niby a nie słysząc, naraz wstał, spojrzął na wodę, i porwawszy zawiniątko, cwałem pobiegł w stronę mostu.

— Może to złodziej — ktoś zauważył, jakiś sceptyk widocznie.

Wśród ciszy ogólnej zabiera głos wyrostek z wędką, gestykulując:

— Psiekrwie berliniarze!... Koło pyska im płyną!... Żeby co byli rzucili, pomorki!... Żeby ich sflazyło!

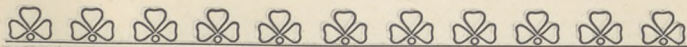
— Mój Boże, jakie tyż to ludzie s o m — oburza się jakaś babina o skrzepłej twarzy.

— O, tam ostatni raz go wyrzuciło — objaśnia ktoś z tłumu. I setki oczów wlepiają się w to miejsce na wodzie, jak gdyby właśnie ten punkt czemkolwiek różnił się od innych. Tak samo fala wdzięczy się tam do słońca, grzbiet wygina szklisty i mknie dalej, pluszcząc.

— Wicek, długo tyż może być taki topielec pod wodą?

— Kto je wi — odpowiada Wicek i dodaje: — Żółć pęknie, to go wyrzuci.

Rozmawiający postali tak w milczeniu, wpatrzeni w wodę, niby w oczekiwaniu jakichś objaśnień od niej. Wszakże niedługo wyrwały ich z zadumy jakieś sprawy osobiste.



— Dał co stary?

— Ale, chorobę w bok... Chodzi, będziesz tu
stoić i gapy łapać?

I poszli.

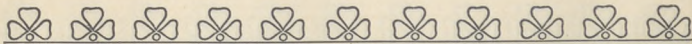
Owdzie kobiecina o siwych, suchych oczach, o smagłej cerze jak jesienny liść dębu, mówi niby i niby śpiewa, nie zwracając się do nikogo wyłącznie.

— Masz kąpanie, synalku, masz. Tak tyż i mój. Jakby dziś... Pójdę, mam, pójdę. A to idź, mówię. Tak tyż i poszedł, robak... Czternaście lat już miałby... Tu noc prawie, lecęć ja nad wodę, chcę go sprać, a on, robak, zimniutenki leży... Nie rychło go wyjeni, nie rychło... Oj, ryczałam ci ja, ryczałam... Woia Boska...

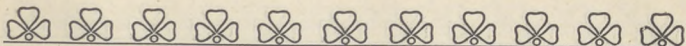
Terminator jakiś, czy bodaj sam czeladnik, stojący najbliżej, odzywa się:

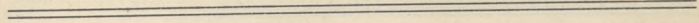
— Zawsze to woda wodą. Trzy razym się topił, a żyję, jak mnie pani widzisz. Pływać pływam, ale trzymam się od wody zdaleka. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Co ja się mam popisywać?... Wypadki chodzą po ludziach.

To mówiąc, utopił ręce w kieszeniach, wywinął młynka na pięcie i stanął tyłem do wody. Widać szarpnęło nim tak obrotowo przeświadczenie o własnej roztropności.

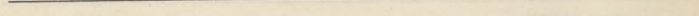
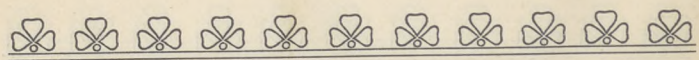


Zmierzchało się. Szkarłatny krąg słońca, płonąc, zniżał się nad wodą, aż ją zapalił, i paliła się woda niby gromnica przy dnia skonie. W purpurowym szlaku majaczyły ciemne sylwetki łódek ratunkowych tam, w dali. Tu, nad brzegiem, łuna barwiła twarze. Raz po raz któraś z tych twarzy gasła i tonęła w mroku. Tłum się przerzedzał, gwar rozmów milknął, i wśród zwiększającej się ciszy słycać było łopotanie chorągiewek na masztach galarów.

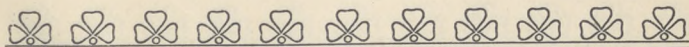


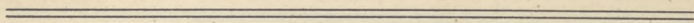


Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

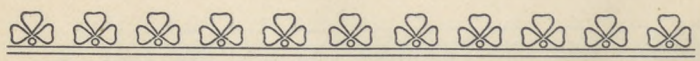


FUJARKA

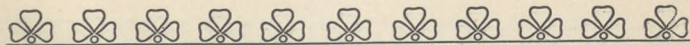




PLANKA



Jak głodna kania, polatująca nad stadem kuropatw, nim na jedną najprzezorniej wyróżnioną spadnie: tak Walek, z pod daszka czapki, niebieskiem okiem rozejrzał się po wierzbach. Na jednej upatrzył sobie młody pęd o kiju gładkim a prostym, podskoczył, przyciągnął go do dołu, oderżnął przy osadzie, powiódł po nim dłonią — gładki; ściał koniec tuż przy witkach, zbałał wzdłuż pod światło — dobry. Zaczem z cieńszego końca w krąg odłupał korę, siadł, położył kij na kolanie, zrobił nacięcie wokoło grubszego końca, i obracając, ostukał korę trzonkiem kozika, leciutko, by jej nie uszkodzić. Następnie ścisnął ją dłońmi, wykręcił, naciął równo z cieńszego końca i, w skupieniu tajemniczem, zwolna wyciągnął z rurki wierzbowej długi biały pręt błyszczący nagością i miazgą. Przytknął pręt do ust — słodkie. Żał urzynać. Pobił nim o rurkę, aż wydała dźwięk, pierwszy, niemowlęcy. Urzynał. Przykrajał stempel, nagryzł go i wetknął w rurę, że tylko jego koniuszek było widać z naciętej w korze szparki.



Teraz kozik zamknął, schował, zdjął czapkę, przytknął otwór fujarki do ust i zagrał. Wypuścił jeden akord próbny. Dobrze gra. Znowu przywarł się do niej, jak do ust dziewczyny, i gra.

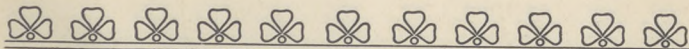
Wierzba, która z bólem przyglądała się odcięciu sobie gałązki, teraz zapomina o świeżej ranie, drży listkami i słucha. I rany nie czuje, i o wicherze jesiennym nie pamięta, o wicherze, który liście z niej darł jak włosy, i o śnieżycach zapomniła, kiedy to kulić się i skrzypieć ziąb ją zmuszał. Wszystko złe minęło. Gra. To ona gra — jej rodzona latorośl. Niedawno wic słabiutka, pręt chwiejny, łodyżka... i skąd jej to granie?... Skąd w niej te brzmienia przeciągłe, tęskliwe?... Czyż to wiosna, która była w niej zaklęta i śpiąca, budzi się teraz i wyfruwa ze śpiewem?... Pod korą latorośli, w wilgotnej, słodkiej miazdze, obejmując twardą biel młodzieńczą, spała wiosna... Walek zrobił jej otwór, wyzwolił z pod kory. Wyfrunęła i gra. To nie Walek gra, to ona sama — wiosna. Lecą dźwięki urywane... To płyną faliście, długo... To jeden ton wyłania się, bije ku górze, albo rozplywa się w przyziemnych nad trawami drganiach. Tam za borem, za borem... odzywa się echo nut uciekających już, podczas gdy nowe, świeżo wydmuchnięte z fujarki biegną jeszcze pełne i głośnie za bór, za bór...

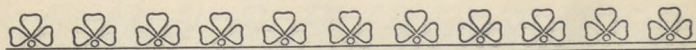
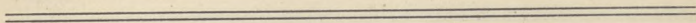
Słuchają wierzby, skupiły się i, zazdrosne, zwieszają



gałązki, stroszą liście i chcą niby zatrzymać ich oponą tę synowsko drogą im i synowsko ulatującą w dal melodyę. Nie damy jej uciec, tu niech gra nam, niech śpiewa rodzicielce, która mękę dla niej poniosła. Ale śpiew fujarki zbyt wielką tętni żałością, ażeby wierzbynom tylko śpiewać rodzonym; zbyt rwący on i tęskny, ażeby miał Walek się trzymać, choć go wydobył. Nie wdzięczny on, choć taki wdzięczny, on — dźwięk fujarki wierzbinojowej...

Przestał grać Walek. Usta ma poczerwieniałe, jak maliny: strzechę włosów porusza mu wiatr i głaszcze go po twarzy spokojnej, obcej rozżaleniu fujarczanych dźwięków. Bo tęsknota zim i jesieni ukrywa się w nim, jak miazga wiosenna pod wierzby korą.





SPIS RZECZY

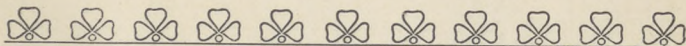
BAJKI

Str.

Z pamiętnika Muchy	3
Mundus vult decipi	23
Lycoperdon giganteum	59
Sokrates i Obrazoplujca	113
Rebursista	125

BAJECZKI

Wstęp	166
Kruk i Lis	167
Orzeł i Kruk	168
Młynarz, Syn jego i Osieł	169
Wdzięczny Lew	170
Wilk i Jagnię	171
Lew i Komar	172
Pustelnik i Niedźwiedź	173
Kto raz skłamię, ten skłamię i drugi raz	174



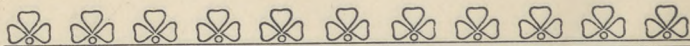
	Str.
Gołąbek i Pszczółka	175
Przyjaciele	176
Wzór przyjaźni	178
Sąsiedzi	180
Wilk uspołeczniony	182

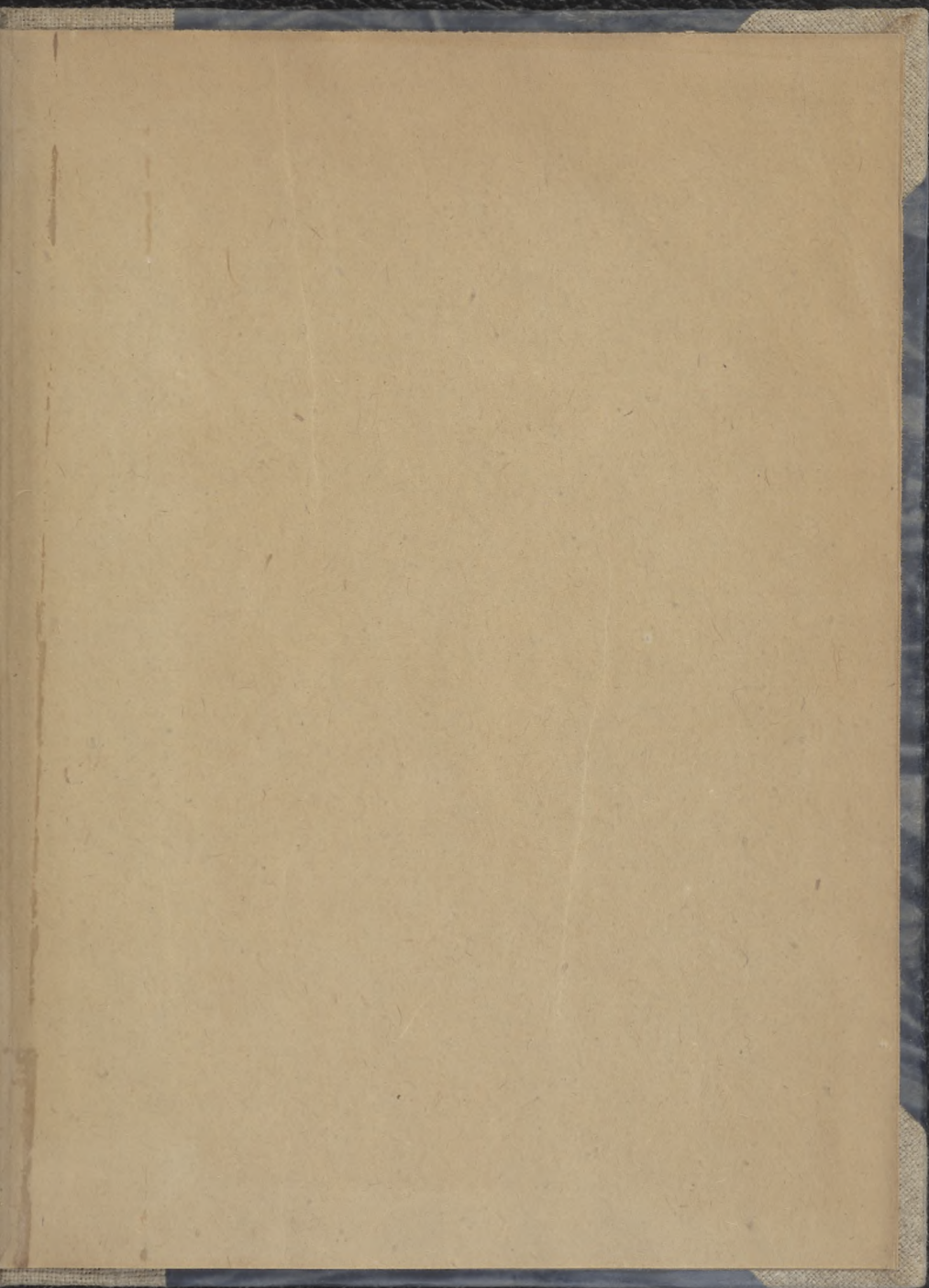
PRZYPOWIASTKI DLA DZIATEK

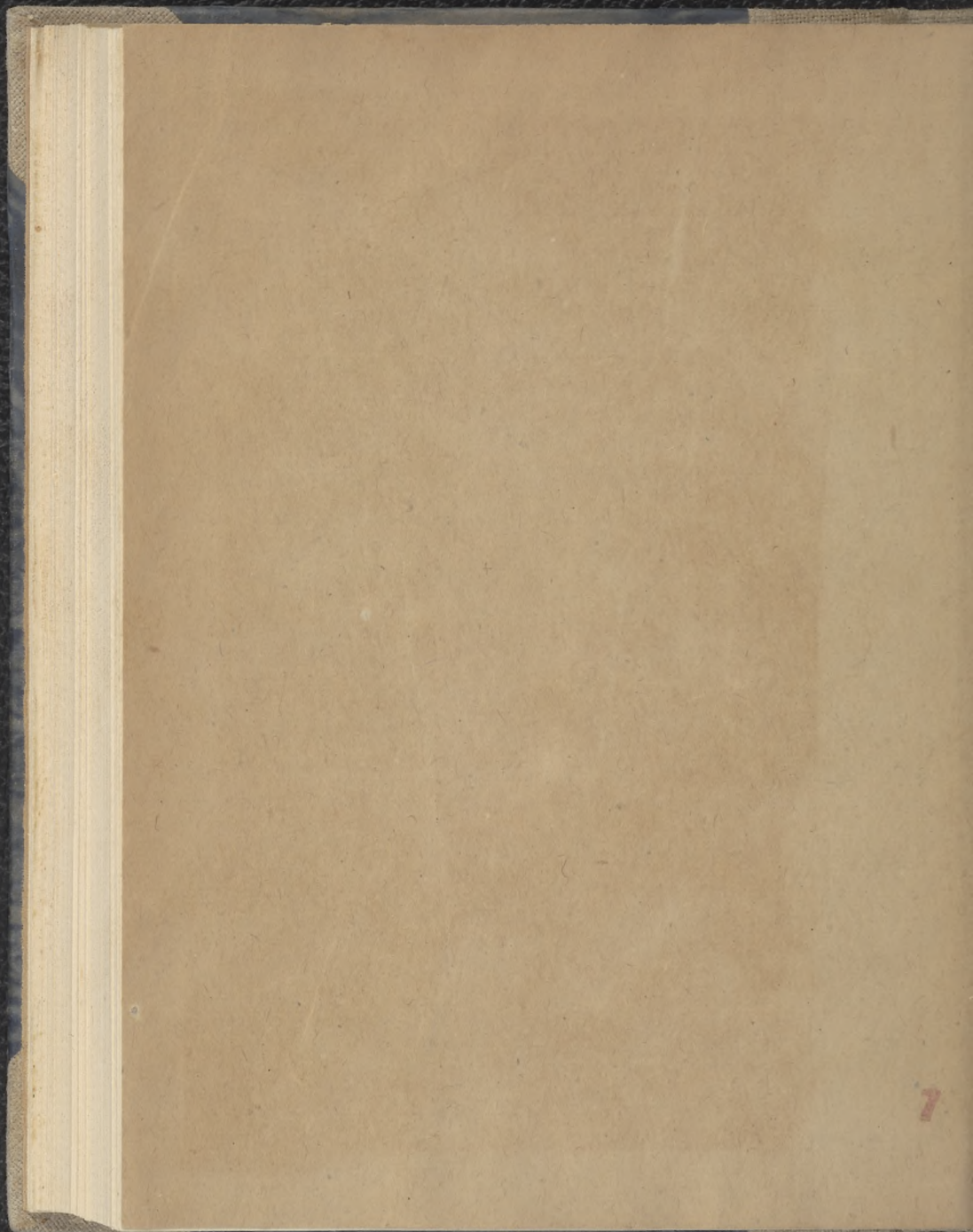
Zamiana serc	187
Kłarcia	193
Brzydki chłopczyk	201
Przebaczenie	209
Śmierć ptaka	217

SIELANKI

Bilard	229
Czarna Topiel	239
Kąpiel	257
Fujarka	275











2007528

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012389450